

ROBERT JORDAN

CONAN NISZCZYCIEL

TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN THE DESTROYER
PRZEŁOŻYŁ MAREK MASTALERZ

I

Słońce zalewało zamorańską równinę bezlitosnym blaskiem, prażąc kolumnę, która ciągnęła między kamiennymi wzgórzami. Jeźdźcy mieli na sobie czarne napierśniki i hełmy ocieniające twarze. Czarne były również kolczugi na ich ramionach i nagolenniki nad czarnymi butami. Ich stroje i ekwipunek miały barwę najciemniejszej nocy. Nawet bojowy rysz tunek rumaków był czarny. Każdy z wojowników nosił przy biodrze ciężką szablę, a u wysokich łęków kołysały się maczugi nabijane ostrymi szpikulcami. Jednak dłonie, które powinny dzierżyć lance, trzymały drewniane pałki, kije i sieci, tak grubo splecione i ciężkie, że wystarczyłyby do złapania tygrysa.

Na końcu kolumny jechał ciągnięty przez dwa konie wóz o wysokich kołach.

Podskakiwała na nim olbrzymia klatka z grubych jak męski nadgarstek sztab żelaza. Woźnica nie odkładał długiego bata, coraz to smagając grzbiety koni. Pomimo gorąca i ciężaru zbroi oddział posuwał się szybko i gdyby woźnica opóźnił dotarcie do celu, jego życie byłoby niewiele warte.

Mężczyzna, który jechał na czele, był o głowę wyższy i szerszy w ramionach co najmniej o szerokość dłoni od najrośniejszego z podwładnych. Na czarnym, lśniącym napierśniku widniał znak, który świadczył o jego męstwie i pozycji. Był to otoczony skomplikowanymi arabeskami skaczący złoty lew. Wojownik obrał sobie ten symbol przed laty i wielu mówiło, że walczy z okrucieństwem dorównującym temu zwierzęciu. Cienkie, poblądłe z wiekiem blizny — jedna przechodząca przez nos i druga biegnąca od kącika lewego oka do skraju szczęki, mówiły, iż nie jest nowicjuszem w sztuce walki. Jednak teraz blizny były skryte pod warstwą kurzu, który osiadł na złanej potem twarzy.

— To bezcelowe — mruknął pod nosem. — Żadnego pożytku, na Erlika!

— To, co robię, zawsze ma cel, Bombatto.

Wielki mężczyzna zeszytniał, gdy zbliżył się do niego jeden z jeźdźców, w hełmie i masce z miękkiej czarnej skóry. Bombatto nie sądził, że jego głos dociera dalej niż do jego własnych uszu.

— Nie widzę potrzeby... — zaczął, ale jeździec w masce przerwał mu głosem, w którym brzmiał ton rozkazu.

— To, co ma być zrobione, musi zostać zrobione. Tak jak jest napisane w Zwojach Skelos. Dokładnie tak, Bombatto.

— Ty tu dowodzisz — odpowiedział niechętnie potężny wojownik. — Jestem posłuszny rozkazom.

— Oczywiście, Bombatto. Ale słyszałem nie wypowiedziane pytanie. Zadaj je.

Wysoki wojownik zawahał się.

— Wypowiedz je, Bombatto. Rozkazuję ci.

— To, czego szukamy — zaczął wolno Bombatto — czy raczej to, gdzie szukamy... Tego nie mogło być w zwojach.

Czarna skóra stłumiła śmiech zamaskowanego jeźdźcy. Bombatto poczerwieniał, słysząc brzmiającą w nim drwinę.

— Ach, Bombatto! Myślisz, że moja moc ogranicza się do wiedzy ze zwojów? Czy naprawdę sądzisz, że wiem jedynie to, co tam jest napisane?

— Nie — wojownik chciał wrzucić ramionami, ale pohamował się w porę.

— Zatem bądź mi posłuszny, Bombatto. Bądź posłuszny i uwierz, że znajdziemy to, czego szukam.

— Ty rozkazujesz, ja wykonuję rozkazy.

Wielki wojownik wbił pięty w boki swego wierzchowca i ruszył galopem, nie zważając na podążających za nim ludzi.

Niech inni wściekle szemrzą, ocierając spływający z nich pot. Spiał konia raz jeszcze, nie bacząc na płyty piany na karku zwierzęcia. Nadal żywił duże wątpliwości, ale zbyt długo wspinał się na obecną pozycję, by ją teraz utracić. Nawet gdyby musiał zajeździć na śmierć ludzi i konie!

Zamorańskie równiny widywały przedziwne rzeczy. Szaleństwo, rozboje i święte przysięgi rodziły osobliwe widoki: raz był to człowiek w bogatych szatach, który rozrzucał po piasku złote monety, innym razem kolumna nagich mężczyzn jadących konno plecami do przodu, to znów procesja tańczących i śpiewających dziewczyc od czubka głowy po palce stóp wymalowanych błękitną farbą.

Było tam wielu innych, niektórzy jeszcze osoblwi od rzeczonych, jednakże niewielu wyglądało dziwniej od dwóch ludzi harujących z oporem na pustkowiu, obok dziury u stóp zasłanego skałami wzgórza. W pobliżu spętane konie szczypały rzadką, twardą trawę. Pierwszy był wysokim, dobrze zbudowanym młodzieńcem. Masywne ramiona naprężyły się, gdy dźwignął grubą kamienną płytę na szczyt ustawionych wcześniej czterech starych głazów. Płyta zachwiała się, więc wepchnął pod nią niewielki kamień. Na jego piersiach, na rzemieniu z surowej skóry, kołysał się złoty amulet wyobrażający smoka.

Młody mężczyzna o błękitnych oczach wyglądał nie tyle na budowniczego, ile na wojownika. U pasa wisiał mu szeroki miecz starożytnej roboty. Twarz okolona była prosto przyciętymi włosami, odrzuconymi do tyłu i związanymi rzemieniem. Nieuważnemu obserwatorowi rzuciłby się w oczy jedynie młody wiek tego mężczyzny. Ci, którzy przyjrzeliby się baczniej, dostrzeżliby wypisane tam doświadczenie, którym można by obdarować parę osób. Doświadczenie, któremu nieobca krew i stal.

Kompan niebieskookiego młodzieńca był jego całkowitym przeciwieństwem pod każdym względem. Był niski, żylasty i czarnooki. Tłuste, czarne, związane na karku włosy opadały mu poniżej ramion. Stał po uda w wąskiej dziurze, pogłębiając ją za pomocą łopaty o złamanym trzonku. Na ziemi obok dołu leżały dwie skórzane sakwy. Mężczyzna nieustannie wycierał krople potu zalewające mu oczy i przeklinał pracę, do której nie był przyzwyczajony, lecz ilekroć jego spojrzenie padło na sakwy, zabierał się do kopania z podwójnym zapałem.

W końcu jednak cisnął w bok złamaną łopatę.

— Chyba jest dość głęboki, co, Conanie? Muskularny młodzieniec wyglądał, jakby nie słyszał. Ze zmarszczonymi brwiami patrzył na swe dzieło. Był to ołtarz, a więc coś, w budowaniu czego miał niewielkie doświadczenie. Jednak w surowych i mglistych górach rodzinnej Cymmerii nauczył się, że długi muszą być splecane, niezależnie od ceny i trudności.

— Conanie, czy ta głębokość wystarczy?

Cymmerianin ponuro spojrzął na towarzysza.

— Gdybyś nie otwierał gęby w nieodpowiednim czasie, Malaku, nie musielibyśmy ukrywać klejnotów. Amphrates nie dowiedziałaby się, kto ukradł kamienie, straż miejska nie wiedziałaby, kto je ma, a my moglibyśmy siedzieć w tawernie Abuletesa z tancerkami na kolanach i popijając wino, zamiast pocić się na pustyni. Kop głębiej!

— Nie miałem zamiaru wykrzykiwać twojego imienia — mruknął Malak. Niezdarnie otworzył jedną z sakw i wyciągnął garść szafirów, rubinów, szmaragdów i opali.

Chciwość zamigotała w jego oczach, gdy na powrót wsypywał do worka iskrzący strumień błękitu, szkarłatu, zieleni i złota. Z przepaszającym gestem zacisnął rzemień.

— Nie przypuszczałem, że może być tego tak wiele. Byłem zdziwiony. Nie zrobiłem tego celowo.

— Kop, Malaku — powiedział Conan, patrząc znowu na ołtarz.

Cymmerianin zacisnął wielką dłoń na złotym amulecie. Dała go mu Valeria i miał wrażenie, że gdy go dotyka, czuje ją blisko siebie. Valeria — kochanka, wojownik i złodziej, wszystko to w ciele zgrabnej, złotowłosej piękności. Później zmarła, zabierając jego życie radość. Widział jej śmierć, a potem jej powrót, gdy przybyła z krainy umarłych, by uratować mu życie. Długi muszą zostać splecane.

Malak raz jeszcze chwycił szpadel, ale zamiast kopać, spojrzął na ołtarz.

— Nie myślałem, że wierzysz w bogów, Cymmerianinie. Nigdy nie widziałem, jak się modlisz.

— Bogiem mojej ziemi jest Crom — odpowiedział Conan — Ciemny Pan Góry. Daje człowiekowi życie i wolę, i nic więcej. Nie zwraca uwagi na dary i nie słucha modłów ani błagań. A to, co człowiek robi z darami Cromy, jest jego własną sprawą.

— Więc po co ten ołtarz? — zapytał Malak, gdy przebrzmiały słowa Conana.

— Tutaj jest inny kraj i odmienni bogowie. Nie są moimi bogami, ale Valeria w nich wierzyła. — Conan zmarszczył czoło i dotknął amuletu. — Może jej bogowie wysłuchują próśb śmiertelnika, jak utrzymują tutejsi kapłani. Być może mogę zrobić coś, by ulżyć w jej przeznaczeniu.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Kto wie, co myślą bogowie — powiedział Malak wzruszając ramionami. Żyłasty złodziej wyszedł z dołu i usiadł ze skrzyżowanymi nogami obok skórzanych sakw.

— Nawet kapłani nie są zgodni, więc co ty możesz...

Tętent końskich kopyt zagłuszył jego słowa.

Malak z jękiem schwycił skórzane sakwy. Natychmiast wcisnął kilka klejnotów do ust.

Jego twarz wykrzywiła się z bólu, gdy je przełykał, po czym cisnął sakwy do dołu.

Desperacko zaczął spychać kamienie i piach, by zasypać kryjówkę przed przybyciem jeźdźców.

Conan zacisnął dłoń na skórzanej rękojeści szerokiego miecza. Zimne, błękitne oczy omiały wzgórze, gdy czekał na pierwszego przybysza. Mogą być kimkolwiek, powiedział sobie, wcale nie musi im chodzić o mnie i Malaka. Jednakże sam w to nie wierzył.

II

Gdy samotny jeździec w czarnym, osłaniającym twarz hełmie i inkrustowanym złotem czarnym napierśniku pojawił się na szczycie wzgórza, Malak roześmiał się z ulgą.

— Jeden człowiek! Może być wielki, ale poradzimy sobie z nim, jeśli spróbuje...

— Słyszałem więcej niż jednego konia — powiedział Conan.

— Niech ich Erlik! — warknął Malak. Wsunął złamaną łopatę pod spory kamień i podważył go. — Nasze konie — wysapał. — Możemy im uciec — kamień potoczył się i wpadł do dołu.

Conan parsknął z irytacją. Koń zwiadowcy dźwigał ciężar zbroi zarówno jeźdźca, jak i swojej, to prawda. Mogli więc spróbować ucieczki, jednak Cymmerianin doskonale wiedział, że nie zdołaliby ujechać daleko. Ich wierzchowce, choć kosztowały tyle co królewski rumak, zostały kupione u ludzi, którzy wiedzieli, że ich klienci muszą jak najszybciej wynieść się z Shadizar i nie mają czasu na targowanie się i sprawdzanie. Po niecałej mili galopu zwierzęta runęłyby na ziemię, a wtedy pościg dopadłby ich bez trudu.

Obserwator wciąż stał na szczycie wzgórza.

— Na co on czeka? — zapytał Malak, wyszarpując zza pasa dwa sztylety. — Jeśli mamy umrzeć, nie widzę powodu...

Nagle odziany w czarną zbroję wojownik uniósł rękę i pomachał nią na boki. Na szczycie wzgórza wpadło z łoskotem ponad osiemdziesięciu uzbrojonych po zęby jeźdźców.

Rozdzielił się, objeżdżając obserwatora, który nadal siedział z uniesioną dłonią. Wojownicy z krzykiem puścili konie w cwał. Okrążyli Conana i Malaka i zatrzymali się w odległości stu kroków od nich.

— Myślałby kto, że jesteśmy armią — powiedział Conan. — Ktoś uważa nas za niebezpiecznych, Malaku.

— Jest ich tylu! — jęknął Malak i obrzucił tęsknym wzrokiem rżące niespokojnie wierzchowce. — Kto przypuszczał, że Amphrates wścieknie się do tego stopnia?

— Być może nie lubi, gdy ktoś mu kradnie klejnoty — stwierdził oschle Conan.

— Przecież nie wzięliśmy wszystkiego! — zaoponował żyłasty złodziej. — Powinien być wdzięczny, że coś mu zostało. Mógłby poświęcić monetę czy dwie na kupno kadziła i pójść do świątyni, by podziękować bogom za to, co ma. Nie musiał...

Cymmerianin nie zwracał uwagi na tyradę swego kompana. Już dawno nauczył się, że trzeba go słuchać z umiarem, by nie oszaleć od bezustannych narzekań na to, co mogłoby i co powinno być, ale czego oczywiście nie było.

Stalowe oczy człowieka Północy spoczęły na czterech z otaczających ich wojowników, czterech, którzy jechali razem i teraz szperali w długim pakunku wiezionym przez jednego z nich przed siodłem. Cymmerianin z powrotem spojrzął na szczyt wzgórza. Inny jeździec o twarzy zakrytej maską stał teraz przed pierwszym i obserwował, co się dzieje w dole.

Nieoczekiwanie wysoki zwiadowca uniósł zakreślony róg z brązu. Głośny ton poniósł się ze szczytu wzgórza i czterech wojowników, którzy nieśli długi pakunek, nagle rozwinęli go między sobą i ruszyli galopem w stronę dwóch złodziei. Inna czwórka jeźdźców wyłamała się z szeregów i dołączyła do pierwszej.

Wielki Cymmerianin spochmurniał jeszcze bardziej. Pierwsi jeźdźcy rozciągnęli sieć, a druga czwórkaniosła długie kije, na wypadek gdyby zdobycz próbowała się wymknąć.

Malak zrobił dwa nerwowe kroki w kierunku koni.

— Czekaj! — mimo młodości Conana w jego głosie zabrzmiała nuta rozkazu, która powstrzymała małego złodzieja. — Poczekamy na nich, inaczej będą polować na nas jak na króliki.

Malak skinął ponuro i poprawił rękojeści sztyletów.

Grzmot kopyt przybierał na sile. Sto kroków, pięćdziesiąt. Dziesięć! Szarżujący wojownicy wydali okrzyk triumfu.

— Teraz! — wrzasnął Conan i skoczył prosto w sieć. Malak z jękiem rzucił się za nim. Miecz Cymmerianina opuścił skórzaną pochwę. Błękitne ostrze cięło róg sieci. Jeździec, który trzymał ją od tej strony, wydał okrzyk zaskoczenia i minął Conana, mając w rękach tylko kawał grubego sznura. Wojownik galopujący zaraz za nim puścił wodze i zamachnął się zakrzywioną szablą. Conan kucnął pod płaskim ciosem, a następnie wyprysnął w górę. Jego stał wślizgnęła się pod czarny napierśnik. Zdawało się, że przebity wojownik zeskokczył do tyłu z siodła galopującego konia.

Conan wyszarpnął skrwawione ostrze i obrócił się, gdy pierwotny instynkt ostrzegł go przed kolejnym niebezpieczeństwem. Górująca nad nim twarz, ukryta pod czarnym hełmem, była wykrzywiona z wściekłości. Gruby kij napastnika mógłby z łatwością strzaskać czaszkę, gdyby tylko władający nim był dość zręczny. Cymmeriańskie ostrze błysnęło w górę, tnąc ciało i kość. Pałka wraz ze ściskającą ją wciąż dłonią poleciała nad barbarzyńcą. Skowyczący mężczyzna złapał się za nadgarstek, z którego tryskała krew szkarłatną fontanną, a koń poniosł go dalej. Conan rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego wroga.

Malak zwarł się z jednym z trzymających sieć, próbując zrzucić go z siodła. Jeden ze sztyletów złodzieja śmignął w szczelinę między hełmem a napierśnikiem. Jeździec z charkotem runął na ziemię, pociągając za sobą Malaka. Czarnooki złodziej natychmiast się podniósł, unosząc drugi sztylet.

Przez chwilę znieruchomiał Conan i jego towarzysz stali twarzą w twarz z pozostałą piątką atakujących. Sieć leżała na ziemi, porzucona. Dłonie pozostałych dwóch, którzy ją nieśli, spoczywały na rękojeściach szabel. Ci z pałkami wyglądali na bardziej niezdecydowanych. Nagle jeden z nich cisnął kij na ziemię. Zanim jednak zdołał do połowy wyciągnąć szablę, rozległ się kolejny dźwięk rogu. Wojownik klnąc schował broń i wraz z pozostałymi wrócił galopem do szeregu.

Malak oblizał usta.

— Dlaczego próbują pojąć nas żywcem? Nie rozumiem tego.

— Być może Amphrates jest bardziej wściekły, niż myśleliśmy — powiedział Conan ponuro. — Być może chce usłyszeć, ile krzyku przed śmiercią wyciśnie z nas gildia katów.

— Na Mitrę! — wydyszał Malak. — Musiałeś to powiedzieć?

— Pytałeś. — Conan wzruszył ramionami. Róg zabrzmiał raz jeszcze. — Przygotuj się, wracają.

Znów czterech jeźdźców niosło rozpostartą między sobą sieć, ale tym razem towarzyszyło im dwudziestu wojowników. Gdy konni pędzili w ich stronę, Conan poruszył się tylko nieznacznie, a Malak wzruszył ramionami i skinął głową. Potem dwaj mężczyźni stali nieruchomo, czekając tak jak wcześniej. Sieć była coraz bliżej. W odległości ledwie trzech kroków od Conana i Malaka połowa jeźdźców znalazła się blisko sieci. Teraz nie można było jej przeciąć ani zabić tych, którzy ją trzymali.

Gdy jeźdźcy skupili się przy końcach sieci, Conan skoczył w lewo, Malak zaś na prawo. Konni z siecią i wojownicy z kijami przegalopowali pomiędzy nimi, klnąc i próbując zawrócić konie. Kij przeleciał nad głową Conana. Jego właściciel stęknął ze zdziwienia, kiedy jego nadgarstek znalazł się w uchwycie Conana, potem wrzasnął, gdy potężnie zbudowany młodzieniec wyrwał go z siodła. Pięść Conana uderzyła tylko raz, rozbryzgując krew i zęby.

Dudniące podkowy ostrzegły Cymmerianina przed atakującym z tyłu. Palce Conana zacisnęły się na kiju, który wyrwał powalonemu wojownikowi. Cymmerianin wstając uderzył na odlew. Gruba drewniana pałka trzasnęła z hukiem w brzuch szarżującego jeźdźca. Oczy wojownika niemal wyskoczyły z orbit, a z jego płuc, w jednym długim jęku, uleciało całe powietrze. Mężczyzna pochylił się i niemal owinął wokół kija, by w końcu spaść z galopującego konia.

— Conanie!!!

Zanim ostatni przeciwnik dotknął ziemi, Conan już wypatrywał przyczyny krzyku Malaka.

Dwaj wojownicy w czarnych zbrojach pochylali się w siodłach, opierając kije o skrwawioną i wijącą się na ziemi postać.

Z dzikim wrzaskiem Cymmerianin rzucił się między nich. Skrwawiona stał zatoczyła szeroki półokrąg. Dwa ciała padały na ziemię, gdy Conan szarpnął małego złodzieja i postawił go na nogi. Malak miał nieprzytomne oczy, a po policzku spływał mu strumyczek krwi. Z ledwością trzymał się na nogach i zupełnie nie nadawał do walki. Cymmerianin spostrzegł, że wojownicy z siecią zbliżają się raz jeszcze.

Barbarzyńca odepchnął na bok swego kompana i rozpościerając szeroko ręce skoczył prosto w sieć. Gdy jego ręce zacisnęły się na jej skrajach, szarpnął. Zdumieni wojownicy

Jordan Robert - Conan niszczyciel

zostali wysadzeni z siodła. Nagle Cymmerianin zachwiał się pod ciosem kija w plecy, zawirował błyskawicznie, ryknął i wbił ostrze sztyletu pod żelazny napierśnik. Podniósł miecz.

Nie było szansy ucieczki. Wiedział o tym. Zbyt wielu wojowników tłoczyło się wokół niego, wymachując pałkami. Kurz wzbijany końskimi kopytami osiadał na jego spoconym ciele. Zapach krwi wypełnił jego nos, a w uszach rozbrzmiewał zgiełk krzyczących ludzi, którzy wściekali się, że nie mogą go powalić. Wkrótce musiał się cofnąć, jednak nie zamierzał się poddać. Jego ostry jak brzytwa miecz ciął ze świstem powietrze. Ktokolwiek stanął na drodze Cymmerianina, padał niezdolny do dalszej walki. Conan z furią wyrąbywał sobie wolne miejsce wśród napierających konnych wojowników, jednak tłum wirował i zamykał się zaraz za nim.

Róg zabrzmiał raz jeszcze i jeźdźcy kłębiący się wokół Conana cofnęli się. Z jawną niechęcią zostawili ciała martwych towarzyszy i jęczących rannych, i zawrócili do otaczających pobojowisko kręgu zbrojnych.

Conan ze zdziwieniem obserwował ich odwrót. Krew ściekała po jego zakurzonej twarzy. Skapywała na plecy i pierś, plamiąc tunikę. Malak zniknął. Nie, nie zniknął. Został pojmany. Był okręcony siecią niczym świnia niesiona na jarmark. Jedna chuda noga wystawała przez duże oko. Żal przepelnił serce Cymmerianina, który postanowił, że jego koniec będzie inny. Conan obrócił się powoli, przyglądając wszystkiemu co go otaczało. Konie pozbawione jeźdźców błątały się między nim a otaczającym go kołem. Mógł złapać jednego z nich i wywalczyć sobie drogę ucieczki, jednak wtedy musiałby zostawić Malaka. Nie zrobił najmniejszego ruchu w stronę wierzchowców. Wokół niego leżały ciała, niektóre nieruchome, inne wiły się lub pełzały. Kilku rannych wołało o pomoc lub wyciągało ręce w kierunku odzianych w czarne zbroje towarzyszy.

— Zbliżcie się! — krzyknął Conan w stronę otaczających go wojowników. — Skończmy to, jeśli nie brakuje wam odwagi!

Tu i ówdzie konie poruszyły się, gdy jeźdźcy szarpnęli ze złością wodze, jednakże jedyną odpowiedzią na wyzwanie było milczenie.

Grzechot kamieni osuwających się po zboczach oznajmił zbliżanie się dwóch postaci, które dotychczas czekały na szczycie. Wielki mężczyzna w inkrustowanej złotem zbroi zatrzęsiał się w odległości dziesięciu kroków od Cymmerianina, ten zaś ukrywający twarz za skórzaną maską podjechał jeszcze bliżej. Conan spiął się. Usiłował dokładnie przyrzeć się temu bliższemu, lecz maska zasłaniała wszystko poza oczami, a płaszcz z czarnej wełny szczelnie okrywał całe ciało. Ale nie było to ważne. Z pojedynczym przeciwnikiem mógł walczyć. Był gotowy.

Samotna postać podniosła ręce, by zdjąć hełm, a potem odrzuciła maskę. Conan jęknął mimo woli. Była to kobieta. Ciemne oczy jarzyły się nad wysokimi kośćmi policzkowymi, splecione w warkocze włosy ciasno obejmowały głowę. Była piękna w taki sposób, w jaki mogą być piękne dojrzałe kobiety, ale w pięknie tym była jakaś dzikość, która uwidaczniała się w silnej szczęce i badawczym spojrzeniu. Jej płaszcz rozchylił się, ukazując nagolenniki i tunikę z czarnego jedwabiu, opinającą jej pełne piersi. Conan westchnął głęboko. Z wszystkich żyjących kobiet nie spodziewał się spotkania właśnie z tą jedną.

— Jesteś tym, którego wołają Conan — jej głos był zmysłowy, a jednak rozkazujący.

Conan nie odpowiedział. To, że opuściła swój wyperfumowany pałac i wspaniałe ogrody dla gorącej pustyni, było wystarczająco dziwne, to zaś, że przybyła spotkać się właśnie z nim, było więcej niż zastanawiające. Jednakże żył wystarczająco długo wśród tych, którzy nazywali siebie ludźmi cywilizowanymi, by wiedzieć, że nie powinien w takiej chwili nic mówić, dopóki nie dowie się czegoś więcej.

Kobieta ściągnęła brwi ganiąc jego milczenie.

— Wiesz, kim jestem, prawda?

— Jesteś Taramis — powiedział po prostu Conan i jej brwi zmarszczyły się mocniej.

— Księżniczka Taramis — zaakcentowała pierwsze słowo. Ponury wyraz nie zniknął z jej twarzy ani też nie » opuściła miecza. Była wysoka jak na kobietę, a teraz wyprostowała się jeszcze bardziej.

— Jestem księżniczką krwi. Tiridates, twój król i władca Zamory, jest moim bratem.

— Tiridates nie jest moim królem — odparł Conon.

Kobieta uśmiechnęła się, jak gdyby stanęła na pewnym gruncie.

— Prawda — sapnęła. — Ty jesteś człowiekiem Północy. I złodziejem.

Conan zeszytniał. Zdawał sobie sprawę, że być może za jego plecami skradają się ludzie z siecią, lecz zarazem aż nazbyt dobrze wiedział, że prawdziwe niebezpieczeństwo wiąże się ze stojącą przed nim kobietą.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał.

— Służ mi, Conanie Złodzieju.

Miewał już wcześniej różnych patronów, którzy dawali mu złoto za specjalne kradzieże, ale w tej chwili jedynym możliwym rozwiązaniem była bitwa z licznymi, odzianymi w czarne zbroje wojownikami.

— Nie — odpowiedział.

— Odmawiasz mi? — zapytała z niedowierzaniem księżniczka.

— Nie lubię, gdy poluje się na mnie jak na zwierza. Nie jestem dzikiem, którego się łapie w sieci.

— Mogę dać ci bogactwo przekraczające twoje wyobrażenie, do tego tytuł i pozycję.

Mógłbyś być panem w marmurowym pałacu, miast złodziejem w plugawych zaułkach.

Conan powoli potrząsnął głową.

— Masz tylko jedną rzecz, której mógłbym pragnąć, ale nie poproszę cię o nią.

— Tylko jedną? Co, barbarzyńco?

— Wolność. — Cymmerianin uśmiechnął się. Był to uśmiech osaczonego wilka. — To wezmę sobie sam.

Czarnooka Zamoranka znów popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Czy naprawdę wierzysz, że mógłbyś pokonać wszystkich moich wojowników?

— Być może zdołałby mnie zabić, ale to też jest wolność, chociaż innego rodzaju. Wolę śmierć niż niewolę.

Nie odrywając od niego oczu rzekła jakby do siebie:

— Zwoje mówiły prawdę — zadrżała. — Wstąpisz na moją służbę, Conanie, i będziesz o to prosił.

Wysoki wojownik w inkrustowanej złotem zbroi podjechał bliżej.

— Nieprzystojnie targować się z takim mętem, pani — powiedział. — Niech stawi mi

czoło, a zabierzemy go do Shadizar oplatanego w sieć jak jego towarzysza.

Nie spuszczać Conana z oka, Taramis machnęła ręką, jak gdyby odpędzała natrętnego komara.

— Bądź cicho, Bombatto.

Jedną rękę wyciągnęła w kierunku Cymmerianina, grzbietem dłoni w górę. Palce poruszyły się, jakby coś nimi formowała. Powietrze na wysokości piersi Conana zafalowało i młodzieniec poczuł, jak podnoszą się włosy na jego karku. Bezwiednie uczynił krok do tyłu. Opanował się i mocniej uchwycił rękojeść miecza.

Ręka Taramis drgnęła, a jej oczy skierowały się na wzniesioną przez niego toporną, kamienną budowlę.

— Wszyscy mężczyźni w głębi serca czegoś pragną, czasami chcieliby w imię tego zabić lub umrzeć — księżniczka zdjęła z szyi łańcuch z delikatnych złotych ogniwek, na którym wisiał przejrzysty kryształ w kształcie kropli łzy. Zaciśnęła go mocno w lewej dłoni, a prawą wskazała na ołtarz. — Spójrz, a zaraz zobaczysz to, czego pragniesz najbardziej, Conanie.

Spomiędzy zaciśniętych na kryształ palców strzeliło purpurowe światło. Konie wojowników stojących w otaczającym ich kręgu parsknęły nerwowo. Jedynie wierzchowiec Taramis stał spokojnie. Raz jeszcze pojawił się błysk, po nim następny, i jeszcze jeden, póki z zaciśniętej pięści nie wylał się blask najczystszyego cynobru.

Nagle na pustym ołtarzu pojawiły się płomienie. Wierzchowce wojowników zaczęły tańczyć i parskać z przerażenia. Conan z łatwością mógłby teraz uciec nie napotykając oporu, bowiem jeźdźcy całą swoją uwagę poświęcili poskromieniu przerażonych koni. Jednak wielki Cymmerianin nawet ich nie widział. Wśród płomieni leżała kobieca postać. Jej długie jasne włosy spływały na ramiona, a umięśnione ciało było gładkie i nieskazitelne.

Już miał wypowiedzieć jej imię, lecz zamiast tego wymruczał:

— Czary!

— Tak, czary — głos Taramis był cichy, jednak w nadnaturalny sposób docierał do barbarzyńcy mimo kwiku szalejących ze strachu koni. — Czary, które mogą dać ci to, czego najbardziej pragniesz, Conanie. Valerię.

— Ona jest martwa — powiedział szorstko Conan. — Martwa, i na tym koniec.

— Koniec, barbarzyńco? — powtórzyła Taramis. Głowa postaci w płomieniach obróciła się. Czyste, błękitne oczy spojrzały na Conana. — Mogę ci ją oddać, Cymmerianinie. Mogę zwrócić ją temu światu.

— Jako żyjącego trupa? — warknął Conan. — Spotkałem już takich. Lepiej niech pozostanie martwa.

— Nie mówię o trupie, barbarzyńco. O ciepłym, prężnym ciele. Mogę dać ci ją taką, jakiej pragniesz. Chciałbyś być pewny, że będzie ci wierna? Nic prostszego. Chciałbyś, by pełzała u

tych stóp, wielbiąc cię jak boga? Ja...

— Nie! — oddech Cymmerianina rwał się z gniewu. — Ona była wojownikiem. Nie chcę mieć... — dalsze słowa nie padły.

— Więc teraz mi wierzysz? — ciemnooka kobieta zrobiła jakiś ruch i postać Valerii wraz z płomieniami zniknęła, pozostawiając nagi, nie wykończony ołtarz. Po chwili kryształ z powrotem zawisł na szyi Taramis.

Miecz Conana obniżał się powoli. Cymmerianin nie lubił czarów, nawet gdy były praktykowane przez magów, o których wiedział, że nie mają złych zamiarów, a tacy byli naprawdę nieliczni. Leczą... dług musi zostać spleciony. Żeby to zrobić, musiał żyć.

— Uwolnij Malaka — powiedział zmęczonym głosem.

— Skoro raz uwolniliśmy ulice Shadizar od złodzieja, myślisz, że puścimy go wolno? — zadrwił Bombatta. — Ta mała szumowina nie ma znaczenia dla nikogo w świecie.

— Jeden złodziej mniej lub więcej nie czyni różnicy w Shadizar — powiedział Conan — a on jest moim przyjacielem. Uwolnijcie go albo dalej przemawiać będzie jedynie stał.

Wielki wojownik znowu otworzył usta, jednak Taramis uciszyła go szybkim spojrzeniem.

— Uwolnij tego złodzieja — powiedziała twardo.

Twarz Bombatty przemieniła się w maskę gniewu. Wściekle szarpnął wodze i pogalopował do tych, którzy pilnowali skrępowanego Malaka. Chwilę później sznury zostały przecięte i żyłasty mężczyzna potoczył się po kamienistym gruncie.

— Prawie połamali mi kości! — zawołał Malak, krocząc w kierunku Conana. — Co było z tym ogniem? Dlaczego wciąż jesteśmy żywi? — jego oczy padły na Taramis i rozszerzyły się.

— Paniii! — gwałtownie zgął się w uniżonym pokłonie, nie spuszczając pytającego wzroku z Cymmerianina. — Jesteśmy prawymi ludźmi, wielce honorowymi, księżniczko, żadna z tych rzeczy, które plotą o nas ludzie o kłamliwych językach w Shadizar, nie jest prawdziwa. My... wynajmowaliśmy się jako... jako ochrona karawan. Nigdy nie wzięliśmy niczego bez zapłaty. Musisz uwierzyć...

— Przestań, człowieczku — rozkazała Taramis — zanim powiem, ile wiem o tobie.

Wzrok Conana wyrażał powątpiewanie. Malak zrobił ostrożny krok w kierunku koni.

— Musimy rozstać się na pewien czas — powiedział Cymmerianin. — Tak jak po walce w gospodzie Pod Trzema Koronami. Powodzenia.

Mały złodziej obrzucił bezradnym spojrzeniem otaczających go strażników i wskoczył na konia.

Gdy Malak odjeżdżał okładając konia biczem i zerkając co chwila przez ramię, jakby nadal nie wierzył, że jest wolny, Conan odwrócił się ku Taramis.

— Co mam dla ciebie zrobić? — zapytał.

— Dowiesz się w swoim czasie — odparła piękna kobieta. Uśmiech triumfu zaigrał na jej ustach. — Teraz czekam na słowa, które chciałabym usłyszeć od ciebie.

Conan nie wahał się.

— Pragnę ci służyć, Taramis. — Dług musi zostać spleciony, niezależnie od tego, jak wiele będzie to kosztować.

III

Shadizar był miastem złotych kopuł i alabastrowych iglic, które z kurzu i skał zamorańskiej równiny wyrastały w lazurowe niebo. Wśród figowców na cienistych dziedzińcach domostw bogaczy tryskały krystaliczne fontanny, a promienie palącego bez litości słońca odbijały się od białych, błyszczących ścian, które kryły chłodne wnętrza.

Shadizar zwany był także Miastem Przeklętym, a nadto posiadał dziesiątki innych nazw, z których każda była mniej chlubna od poprzedniej, i jak najbardziej zasłużona.

W obrębie wielkich granitowych murów miasta przyjemności były równie gorąco upragnione jak złoto, i jedno często zamieniano na drugie. Bogaci panowie na widok dziewczek oblizywali z pożądaniem usta. Gorącookie damy osaczały swoje ofiary z przebiegłością lubieżnych kocic. Obecnie najmodniejszym przedmiotem wielu żartów był pewien szlachetnie urodzony i jego żona, oboje z upodobaniem oddający się cielesnym uciechom niekoniecznie w swoim towarzystwie. Każde z nich na własną rękę knuło intrygi, zbyt zawikłane, aby je opowiedzieć, a mające na celu urzeczywistnienie schadzki z zachwalaną przez innych osobą. Jakież było ich zdumienie, gdy za którymś razem odkryli, że umówili się... ze sobą.

Jednakże jeśli perwersja i rozpusta mogły być uznane za duszę Shadizar, to jego ciałem był handel, który dostarczał złota na zaspokajanie najbardziej wyrafinowanych zachcianek.

Karawany przybywały z najdalszych zakątków znanego świata. Z Turanu i Koryntii, z

Jordan Robert - Conan niszczyciel

Iranistanu i Khorai, z Koth i Shemu. Perły, jedwabie, złoto, kość słoniowa, pachnidła i korzenie — wszystko to składało się na chwałę Miasta Dziesięciu Tysięcy Grzechów. Gdy Conan przejechał bramę wraz z oddziałem wojowników Taramis, na ulicach panował tłok i gwar. Mężczyźni w prostych tunikach z samodziału, niosący kosze pełne owoców i warzyw, umykali przed biczami mulników, którzy wiedli karawany ryczących zwierząt. Ludzie i zwierzęta przelewali się ulicami, wzdłuż których ciągnęły się sklepy z markizami pomalowanymi w jaskrawe pasy. Pod tymi pstrokatymi osłonami stały stoły, na których kupcy wystawiali próbki sprzedawanych wewnątrz towarów. Wyniośli, odziani w jedwabie panowie szlachetnej krwi, tłuszczy kupcy w ciemnych aksamitach, czeladnicy w skórzanych fartuchach i ulicznicy, rzadko mające na sobie więcej niż podzwaniające opaski z monet — wszyscy oni kłębili się między kroczącymi dostojnie wielbłędami z karawan prowadzonych przez zakurzonych poganiaczy o cudzoziemskich rysach i zachłannych oczach. Powietrze było aż gęste od beczenia owiec i gdańskich przeznaczonych na sprzedaż kurczaków, krzyków przekupniów, chichotu zachwalających swój towar ładacznic, błagań żebraków i przysięg targujących się kupców. Wszędzie unosił się zapach, który w równych częściach składał się z aromatu korzeni, smrodu odchodów, woni pachnidła i odoru spoconych ciał. Taramis nie miała najmniejszej ochoty przeciskać się przez zatłoczone, wąskie ulice. Połowa jej wojowników uformowała klin przed jej rumakiem. Ci bez pardonu tłukli pałkami tych, którzy zbyt wolno ustępowali z drogi. Reszta strażników w czarnych zbrojach zamykała pochod. Conan spojrzął na nich przelotnie, po czym przechylił się w siodle i porwał dorodną gruszkę z wózka handlarza. W ciągu dalszej jazdy przybrał pozę leniwej bezmyślności. Udawał, że jest zajęty wyłącznie pogryzaniem owocu i gapieniem się w tłum. Kłębiąca się tłuszcza była wciąż rozpychana na boki. Kupcy i nierządnie, szlachetnie urodzeni i żebracy jednak trawili stragany z wyłożonymi świecidełkami i przewracali stoły przed sklepami. Ponure oczy co chwila zwracały się ku orszakowi. Słońce i skrwawione twarze wyróżniały tych, którzy nie dość spieszenie usuwali się na bok. Ludzie zachowywali milczenie, ale gdy strażnicy zaczęli wygrażać gapiom pałkami, wkrótce podniosły się pokorne okrzyki:

— Bądź pozdrowiona, księżniczko Taramis!

— Niech bogowie ześlą łaskę na szlachetną Taramis!

Wzrok Conana spoczął na karawanie zepchniętej w boczną uliczkę. Wielbłąd — przewodnik, naciskany ze wszystkich stron przez ludzi uciekających przed pałkami, bez przerwy szarpał się na sznurze trzymanym przez chudego, ciemnoskórego mężczyznę w brudnym turbanie. Pozostałe wielbłądy, wyczuwając przestrach przewodnika, stękały i nerwowo przestępowały z nogi na nogę.

Conan mijając karawanę cisnął ogryzek gruszki prosto w nos pierwszego wielbłąda. Szare od kurzu zwierzę ryknęło i stanęło dęba, wyszarpując postronek z rąk poganiacza w turbanie. Przez chwilę nie zdawało sobie sprawy, że jest wolne. Potem skoczyło wprost na kolumnę wojowników, pociągając za sobą ponad połowę z dwudziestu pozostałych zwierząt. Cymmerianin poluzował wodze i spłoszony wierzchowiec pogalopował razem z wielbłędami. Głośne okrzyki rozległy się za Conanem, ale rosły młodzieniec tylko pochylał się w siodle nie robiąc nic, by zatrzymać konia. Stado wielbłądów z Cymmerianinem w środku, roztrzaskując żebraków i przekupniów, weszło w ostry zakręt. Ścigający Conana żołnierze nie mogli go widzieć, ale ta żywa osłona w każdej chwili mogła pójść w rozsypkę. Barbarzyńca wybił się z siodła. Ciężkie kopyto uderzyło go w piersi, gdy toczył się pod nogami galopujących wielbłądów. Zerwał się na równe nogi, przemknął obok gapiącego się z otwartymi ustami handlarza i przykucnął za stertą wiklinowych koszy. Kopyta zadudniły po bruku i po chwili obok przemknęły dwie dziesiątki ponurych, czarnych wojowników z Bombattą na czele.

Gdy pościg zniknął za zakrętem, Conan wyprostował się i poprawił pas z mieczem. Rozmasował miejsce, w które kopnął go wielbłąd, przeklinając w duchu te złośliwe bestie, zupełnie inne od koni. Nigdy nie potrafił dać sobie z nimi rady. Nagle zorientował się, że wypłatacz koszy nie spuszcza go z oka.

— Porządne kosze — powiedział mu Conan — ale nie tego mi potrzeba.

Handlarz z rozdziawionymi ustami ciągle wlepiął oczy w młodzieńca, który spieszenie przeciął ulicę i skoczył w wąską uliczkę cuchnącą moczem i gnijącymi odpadkami. Mknął krętymi, wąskimi zaułkami, klnąc, gdy stopy ślizgały się na nieczystościach. Ilekroć zbliżał się do głównych ulic, przystawał na chwilę, by sprawdzić, czy nie widać ludzi w czarnych hełmach. Kluczył w ten sposób po całym Shadizar, póki w cieniu południowego muru nie wślizgnął się tylnymi drzwiami do tawerny Manetesa.

Wnętrze karczmy było przyjemnie mroczne i chłodne, aczkolwiek przesiąknięte woniami

niezbyt wykwintnej kuchni. Zabiegane służebne dziewczyny obrzuciły wielkiego Cymmerianina przestraszonymi spojrzeciami. Klienci nieczęsto wchodzili do tawerny od strony zaułka, ale też wysoki młodzian z mieczem i sztyletem za pasem oraz oczami lśniącego błękitnym lodem nie wyglądał na zwyczajnego klienta.

W głównej izbie, przy stołach ustawionych na wysypanej piaskiem polepie, tłoczyli się mulnicy i poganiacze wielbłądów, głównie cudzoziemcy. Odór ludzkiego i zwierzęcego potu walczył o lepsze z kwaśnym zapachem podłego wina. Między stołami, oferując swoje wdzięki, paradowały ładacznicze o bujnych biodrach, odziane w skąpe pasma cienkiego, jaskrawego jedwabiu. Wszystkie zmierzyły zwalistego Cymmerianina przychylnym wzrokiem. Niektóre, już opłacone przez żądnych uciech mężczyzn, zarobiły kuksańce za ociąganie się. Nikt z nich jednak nie ośmielił się otwarcie okazać niezadowolenia. Nawet ci, którzy uważali się za zajadłe wilczury, w potężnie zbudowanym młodzieńcu rozpoznali wilka i przezornie skierowali swą złość ku innym.

Conan nie był świadom wywołanego poruszenia. Skoro tylko upewnił się, że w oberży nie ma wojowników w czarnych zbrojach, stracił zainteresowanie obecnymi. Spiesznie podszedł do szynkwasu, za którym królowała Manetes.

Oberżysta był wysoki i chudy jak szkielet. Jego ciemne oczy były ledwo widoczne w zapadniętych oczodołach. Jednakże wygląd zabiedzonego właściciela najwyraźniej nie szkodził interesom, choć Conan nigdy nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

— Jest tu Malak? — zapytał oberżystę.

— Na górze — odparł Manetes. — Trzecie drzwi na prawo. — Wytarł ręce w brudny fartuch i podejrzliwie spojrzał na Cymmerianina. — Będą kłopoty?

— Nie dla ciebie — zapewnił go Conan i skierował się ku schodom. Nie obawiał się niedyskrecji ze strony mężczyzny o twarzy głodomora. Kiedyś uratował jego córkę, którą dwaj Iranistańczycy zamierzali sprzedać w Aghrapur. Manetes zachowałby milczenie, nawet gdyby przypiekano mu piętę gorącym żelazem.

Na piętrze Conan otworzył wskazane drzwi i szarpnął się w tył, dzięki czemu sztylet o włos minął jego gardło.

— To ja, głupcze! — warknął.

Malak z nerwowym uśmiechem schował broń do pochwy i cofnął się w głąb izby. Conan zatrzaskał drzwi.

— Przepraszam — mały złodziej roześmiał się drżąc. — To tylko... no cóż... Na miłosierdzie Mitry, Conanie, Taramis na nas polowała, a ten ogień, to były czary, prawda? Nie wiedziałem, co się z tobą stało, i... Jak się uwolniłeś? Prawie zapomniałem o tamtej bijatyce w gospodzie Pod Trzema Koronami i o późniejszym spotkaniu u Manetesa. Czy teraz wyjedziemy z miasta? Czy oni wykopali nasze klejnoty? Jeżeli nie, najpierw pojedziemy tam i wykopujemy je sami. Te kamienie pozwolą nam...

— Zamknij się — przerwał Conan tę beładną paplaninę. — Nie opuszczamy Shadizar. Przynajmniej na razie. Mam wykonać dla Taramis jakieś zadanie.

— Jakie? — zapytał ostrożnie Malak. — I za ile?

— Jeszcze nie wiem, czego ode mnie chce. Co do ceny... Taramis twierdzi, że potrafi przywrócić życie Valerii.

Oddech mniejszego mężczyzny z sykiem przedarł się przez zaciśnięte zęby. Jego ciemne oczy skakały po izbie, jakby szukał drogi ucieczki.

— Czary — wychrypiał wreszcie. — Wiedziałem, że ten ogień był magiczny. Ale czy myślisz, że ona posiada aż taką moc? A nawet gdyby, czy możesz jej zaufać?

— Muszę zaryzykować, dla Valerii. Winienem jej... — Conan potrząsnął głową. Malak był przyjacielem, ale nie rozumiałby tego. — Ty nie masz takich powodów, więc jeśli zechcesz mi pomóc, oddam ci swoją połowę klejnotów.

Malak rozjaśnił się natychmiast.

— Nie musiałeś tego proponować, Cymmerianinie. Jesteśmy kompanami, prawda? Jednakże przyjmę tę ofertę, żeby było uczciwie. To znaczy, zgadzam się na wszystko, póki nie każesz mi wejść do pałacu Taramis. Przed laty ta kobieta uwięziła w lochach moich trzech kuzynów i dwaj z nich nigdy stamtąd nie wyszli.

— Ona nie odróżniłaby cię od gęsiarki, Malaku. Lecz nie poproszę cię o nic takiego. Możesz być pewien, że Taramis też będzie od tego daleka. Tam, na równinie, pragnęła jedynie, byś jak najszybciej zniknął jej z oczu.

— To tylko świadczy, jak niewiele wie o prawdziwym talencie — mały złodziej czuł się głęboko urażony. — Skoro potrzebny jej złodziej, któż jest lepszy ode mnie? Co ja gadam? Zapalę kadzidło w świątyni Mitry z wdzięczności, że to nie mnie sobie upatrzyła. Co mam dla ciebie zrobić?

— Ja idę do pałacu Taramis. Ty obserwuj go uważnie. Nie wiem, dokąd będę musiał się udać, a mogę nie mieć czasu na szukanie cię przed opuszczeniem miasta. Poza tym dowiedz się, gdzie można znaleźć Akiro.

— Kolejny czarnoksiężnik? — jęknął Malak.

W rzeczy samej, Akiro był czarnoksiężnikiem. Niski, pulchny staruszek o skórze żółtej jak skóra ludzi z Khitai, który co prawda nigdy nie wymienił nazwy ojczystego kraju, ale już raz pomógł Conanowi swą magiczną mocą. Cymmerianin nie ufał mu do końca, tak jak każdemu magowi, ale Akiro lubił Valerię, a to równoważyło nieco brak zaufania.

— Będę go potrzebować, Malaku, do obserwowania poczynań Taramis. Nie chcę, by przypadkiem Valeria wróciła spętana jakimś czarem.

— Znajdę go, Cymmerianinie. Masz czas, by wypić coś na szczęście, czy też od razu musisz wracać do pałacu?

— Wracać? — zaśmiał się Conan. — Muszę tam dopiero pójść! Opuściłem towarzystwo księżniczki bez pożegnania i jej strażnicy przetrząsają właśnie miasto, by mnie odnaleźć. Mam nadzieję, że dotrę do pałacu bez konieczności zabijania kogoś z tych durni.

Malak potrząsnął głową.

— Będziesz miał szczęście, jeżeli Taramis nie wścieknie się na tyle, by kazać wetknąć twoją głowę na pikę.

— Może i się nie wścieknie, ale czegoś takiego nie zrobi. Ona potrzebuje nie byle jakiego złodzieja, Malaku, lecz mnie. Znała moje imię i przybyła na równinę specjalnie po mnie. Cokolwiek zamierza, Conan z Cymmerii jest jej do tego niezbędny.

IV

W porównaniu z otaczającym go miastem pałac Taramis wyglądał niczym raj, choć oczywiście nie był tak imponujący jak siedziba króla. Tiridates mógł sobie być nieudolnym, nasiąkniętym winem pijakiem, ale próba dorównania jego pałacowi była najlepszym sposobem skrócenia się o głowę. Blanki marmurowych ścian pałacu Taramis sięgały do wysokości czterech ludzi od ziemi i były o dwa łokcie niższe od królewskich. Cztery wieże stały w rogach murów, a dwie następne strzegły żelaznych wrót.

Brama stała otworem, gdy Conan zjawił się w pobliżu. Pilnowali jej dwaj wojownicy w czarnych napierśnikach i hełmach zasłaniających twarze, z włóczniami o długich ostrzach, które krzyżowały się pośrodku bramy. Inni, nieruchomi niczym kamienie, których pilnowali, stali na szczytach wież. Dalsi zajmowali posterunki na murach. Conan skrzywił się z pogardą na ich widok. Przypominali statuy i podobnie jak one byli bezużyteczni. W poświacie księżycy nawet ślepy złodziej mógłby przejść pomiędzy nimi bez zwracania na siebie uwagi. Słońce chyliło się już nad zachodnim horyzontem i wartownicy, oczekując końca służby, nudzili się i myśleli głównie o czekającym w koszarach jedzeniu oraz służebnych dziewczkach. Conan znalazł się o trzy kroki od bramy, zanim strażnicy zorientowali się, iż ma on zamiar wejść do pałacu, a nie przejść obok. Zgodnie z ich doświadczeniem tacy jak Conan nie wchodzili do pałacu księżniczki krwi, chyba że pod strażą w drodze do lochów. Włócznie pochyliły się jednocześnie mierząc w piersi przybysza.

— Zjeżdżaj! — warknął jeden z wartowników.

— Przyszędłem na spotkanie z Taramis — oznajmił Conan.

Oczy wartowników przesliznęły się po zakurzonej sylwetce dziwnego włóczęgi.

Szydercze uśmiechy skrzywiły ich twarze. Ten, który odezwał się wcześniej, ponownie otworzył usta.

— Kazałem ci...

Nagle za ich plecami pojawił się Bombatta, jednym ruchem rozpychając na boki tarasujących mu drogę mężczyzn. Wartownicy z łoskotem zatoczyli się na grube, okute żelazem belki wrót. Bombatta zatrzymał się, mierząc Conana wściekłym wzrokiem. Jego ręka oparła się na rękojeści szabli.

— Śmiałeś tu przyjść po... — pokryta bliznami twarz zadrżała z gniewu, gdy masywny wojownik wciągał powietrze do płuc. Jego czarne oczy znajdowały się na tej samej wysokości co oczy Conana. — Gdzieś się podziewał, na Dziewięć Piekieł Zandru?!

— Mój koń poniósł, gdy wielbłądy się spłoszyły — odrzekł niedbale Conan. — Poza tym potrzebowałem jednego czy dwóch kubków wina, by przepłukać gardło z kurzu pustyni. Bombatta zgrzytnął zębami.

— Chodź ze mną! — warknął, odwrócił się i skierował do pałacu. Strażnicy odsunęli się przezornie na bok, ale Bombatta, gdy tylko znalazł się za murami, krzyknął:

— Torga! Zmień tych błaznów przy bramie!

Conan ruszył za nim nie śpiesząc się. Utrzymał własne tempo nie zwracając uwagi na pociemniałego z gniewu Bombattę, który musiał zwolnić kroku, by Cymmerianin nie został z tyłu.

Od bramy do pałacu wiodła szeroka kamienna droga. Conan mijał zadbane ogrody, gdzie szemrzące marmurowe fontanny rozpinają w powietrzu ulotne tęcze wodnego pyłu oraz wznosiły się alabastrowe iglice, znacznie przewyższające pałacowe mury. Wysokie drzewa rzuciły koronkowe łaty cienia, a otwarte przestrzenie porośnięte były ozdobnymi krzewami i rzadkimi okazami kwiatów sprowadzonych z Vendhii i Zingary. Między nimi wily się spacerowe ścieżki. W polu widzenia Conana nad upiększeniem ogrodów trudziło się dziesięciu ogrodników.

Sam pałac otoczony był portykiem z wysokich, żłobkowanych kolumn. Wewnętrzne dziedzińce wyłożono wypolerowanymi płytami marmuru. Ocieniały je balkony wystające z olśniewająco białych ścian. Misternej roboty gobeliny wisiały w korytarzach zasłanych bez umiaru świetnymi kobiercami z Vendhii. Wszędzie biegali niewolnicy, zapalający przed zmierzchem złote lampy.

Bombatta prowadził barbarzyńcę tak długo, aż Conan zaczął się zastanawiać, czy będą tak szli przez cały pałac. Wreszcie wyszli na dziedzińiec i Cymmerianin przystanął, nie dbając, czy jego przewodnik zatrzymał się również. Wokół dziedzińca stały alabastrowe, porfirowe i obsydianowe piedestały, a na każdym wyryte były dziwaczne symbole. Conan rozpoznał niektóre jako astrologiczne mapy, w przypadku zaś innych był zadowolony, że ich nie zna. Wśród piedestałów stały grupki ludzi w żółtych i czarnych szatach, haftowanych w zawiłe, tajemne znaki. Inni mężczyźni, w szatach złotych, trzymali się osobno. Gdy tylko Conan pojawił się na dziedzińcu, spoczęły na nim spojrzenia wszystkich obecnych. Wpatrywały się w niego oczy pełne oczekiwania, oczy ważące, mierzące i dokonujące oceny.

— Ten człowiek, Conan — powiedział Bombatta i Cymmerianin zorientował się, że wojownik zwraca się nie do zebranych, ale do stojącej na balkonie Taramis.

Zmysłowa pani nadal miała na sobie strój podróżny. W jej oczach błyszczała niepohamowana furia. Spojrzała na Conana. Zdawała się czekać, by Cymmerianin spuścił głowę, a gdy tego nie czynił, z rozdrażnieniem skrzywiła usta.

— Każ go wymyć — rozkazała — i przyprowadzić do mnie. — Odwróciła i bez słowa opuściła balkon. Każdy jej ruch zdradzał przepętniającą ją wściekłość.

Jej gniew nie był jednakże większy od gniewu Conana.

— Każ mnie wymyć! — wycedził. — Nie jestem koniem! — Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że na pokiereszowanej twarzy Bombatty widnieje równa irytacja.

— Łażnie są tam, złodzieju! — warknął wojownik i ruszył nie oglądając się.

Cymmerianin wahał się tylko przez chwilę. Z przyjemnością skorzystałby z okazji opłukania się z kurzu. Denerwował go jedynie sposób, w jaki uczyniono mu tę propozycję. O ile w ogóle można było nazwać to propozycją.

Ściany pomieszczenia, do którego został wprowadzony, pokrywała mozaika przedstawiająca błękitne niebo i rzeczne sitowie. Na środku znajdował się wyłożony białymi kafelkami basen. Za nim stała niska sofa i mały stolik zastawiony flakonikami wonnych olejków. Conan już cieszył się na myśl o kąpieli, jednakże uśmiechnął się dopiero na widok łaźiebnych. Cztery dziewczęta błysnęły ku niemu ciemnymi oczami i zachichotały, przysłaniając usta dłońmi. Ich włosy były jednakowo czarne i identycznie uczesane, ale krótkie tuniki z białego płótna kryły kształty zupełnie różne — od szczupłych po kusząco bujne.

— Przyślą po ciebie, złodzieju — powiedział Bombatta.

Uśmiech Conana spłowieł.

— Twój ton zaczyna mnie drażnić — rzekł zimno.

— Gdybyś nie był potrzebny...

— Nie pozwól, by ci się ręka zastała. Będę tu jeszcze... później.

Ręka Bombatty przesunęła się w stronę broni, a blizny na jego twarzy przybrały siny odcień. Po chwili wojownik odwrócił się i wyszedł z łaźni.

Dziewczęta milczały podczas tej wymiany zdań. Teraz zbiły się w gromadkę, wlepiając w Cymmerianina przerażone oczy.

— Nie pogryzę was — powiedział uprzejmie Conan.

Z wahaniem podeszły wszystkie naraz, po czym zaczęły zdejmować z niego ubranie paplając jedna przez drugą:

— Myślałam, że będziesz z nim walczył, panie.

— Bombatta jest zawziętym wojownikiem, panie. Niebezpiecznym.

— Ale ty, panie, jesteś równie wielki jak on. Nie myślałam, że istnieje jeszcze ktoś tak

wysoki.

— Ale Bombatta jest potężniejszy. Co nie znaczy, że wątpię w twoje siły, panie...

— Przestańcie — rzekł ze śmiechem Conan, powstrzymując je uniesioną dłonią. — Po kolei. Po pierwsze, nie jestem panem. Po drugie, sam mogę się umyć. I po trzecie, jak się nazywacie?

— Ja jestem Aniya, panie — odparła najsmuklejsza. — A to Taphis, Anouk i Lyella. I jesteśmy tu, panie, by służyć ci podczas kąpieli.

Conan pełnym uznania wzrokiem przebiegł po jej gibkiej, a zarazem krągłej figurze.

— Miałbym lepszy pomysł — wymruczał.

Aniya obląła się rumieńcem.

— To... to zakazane, panie — zająknęła się. — Jesteśmy przeznaczone dla Śpiącego Boga. — Pozostałe dziewczęta sapnęły z grozą na te słowa, a twarz Aniy zbladła równie szybko, jak poczerwieniała.

— Śpiącego boga? — powtórzył pytająco Conan. — A co to za bóg?

— Panie, proszę — wydukała błagalnie Aniya — nie wolno nam o nim mówić. Proszę.

Jeżeli zdradzisz, co ci powiedziałam, zostanę... zostanę ukarana.

— Będę milczał — obiecał solennie Conan.

Milczał w czasie dwukrotnego namydlenia i sflukiwania. Dziewczęta osuszyły go miękkimi ręcznikami, potem natarły mu skórę wonnymi olejkami. Na szczęście nie tymi najbardziej wonnymi. Zdołał ich uniknąć, chociaż i tak miał wrażenie, że pachnie niczym wyperfumowany fircyk. Dziewczęta ubierały go właśnie w szaty z białego jedwabiu, gdy w drzwiach łaźni pojawił się łysy i pomarszczony starzec.

— Jestem Jarveneus — powiedział, kłaniając się nieznacznie — nadzorca służby księżniczki Taramis. — Jego ton wskazywał, że uważa swoje stanowisko za nieskończenie wyższe od złodziejskiej profesji. — Jeżeli jesteś gotów, zawiodę cię do... — zakaszłał, gdy Conan podniósł pas z mieczem. — To ci nie będzie potrzebne.

Conan zapiął klamrę, poprawił miecz i sztylet. Nie lubił być rozbrojony w żadnych okolicznościach, a im więcej się dowiadywał, tym mniej miał na to ochotę w tym pałacu.

— Prowadź mnie do Taramis — powiedział.

Jarveneus niemal udławił się własną śliną.

— Zabiorę cię do księżniczki Taramis.

Cymmerianin ruchem ręki kazał mu ruszać. Niespodzianka za niespodzianką, pomyślał Conan, gdy starzec go opuścił. Nie został wprowadzony do sali audiencyjnej. W jednym końcu wielkiej komnaty oświetlonej złotymi lampami stało okrągłe łoże, przysłonięte przejrzystym, białym jedwabiem. Marmurowa posadzka zarzucona była kilimami z Vendhii i Iranistanu. Na środku stał niski stół z polerowanego brązu, a na nim kryształowa karafka z winem i dwa puchary z białego złota. Taramis, od szyi po pięty spowita w czarne jedwabie, spoczywała na poduszkach spiętrzonych obok stołu.

Nie byli sami. W każdym kącie stał wojownik w czarnej zbroi, bez hełmu i z mieczem przewieszonym przez plecy w ten sposób, że rękojeść sterczała nad prawym ramieniem. Mężczyźni stali bez ruchu, wpatrzeni wprost przed siebie. Zdawało się, że nawet nie oddychają.

— Moja straż przyboczna — rzekła Taramis, wskazując na tę czwórkę. — Najlepsi wojownicy Bombatty, prawie tak dobrzy jak on. Ale nie przejmuj się nimi. Atakują tylko na mój rozkaz. Wina?

Uniosła się płynnym ruchem i pochyliła, aby napełnić puchary. Conanowi oddech uwiązł w gardle. Czarny jedwab naprężył się na krągłych pośladkach księżniczki. Zebrany w niezliczone fałdy materiał nie był przejrzysty, jednak pojedyncza warstwa była niczym mgłą, a Taramis nie miała pod spodem nic prócz gładkiej skóry. Gdy podeszła ku niemu z winem, Cymmerianin stwierdził, że nie może oderwać oczu od jej rozkołysanych piersi.

— Jeżeli jesteś głodny, każę podać jedzenie — w głosie szlachetnie urodzonej brzmiało rozbawienie.

Conan drgnął i zarumienił się, a gdy zdał sobie z tego sprawę, poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Nie. Nie chcę jeść — wściekły na samego siebie ujął podany puchar. Co jest, zganił się w duchu, wytrzeszczasz oczy jak młokos, który nigdy nie widział kobiety. Chrząknął.

— Chcesz dać mi jakieś zadanie. Nie mogę go wykonać, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

— Pragniesz, by Valeria wróciła do ciebie? — Taramis podeszła tak blisko, że jej sutki musnęły jego piersi. Nawet przez tunikę zdawały się palić niczym dwa gorące węgle.

— Chcę, żeby żyła — odwrócił się i mając nadzieję, że wypadło to naturalnie, podeszedł do

poduszek i rozciągnął się na plecach. Taramis stanęła obok. Spojrzał w górę i siłą oderwał oczy od budzącego pożądanie zarysu ud, brzucha i piersi. Nie widział uśmiešku, który błysnął na jej ustach.

— Wryj sobie w pamięć to, czego pragniesz, złodzieju, i zrób, co ci każe.

— Nadal nie wiem, czego ode mnie chcesz. — Conan stłumił westchnienie ulgi, gdy Taramis odsunęła się i zaczęła powoli krążyć po komnacie.

— Mam bratanicę, szlachetną Jehnnę — zaczęła. — Przez całe życie mieszkała ona w odosobnieniu. Jej rodzice, mój brat i jego żona zmarli, gdy była mała. Jednakże ten wstrząs okazał się dla niej zbyt silny. Dziecko jest... delikatne i wrażliwe. Teraz musi udać się w podróż, a ty masz jej towarzyszyć.

Conan zakrztusił się winem.

— Ja mam jej towarzyszyć? — zapytał po odzyskaniu tchu. — Nie jestem przyzwyczajony do opieki nad damami wysokiego rodu. To znaczy, zajmuję się czymś zupełnie innym.

— Chodzi ci o to, że jesteś złodziejem? — rzekła Taramis i uśmiechnęła się, gdy Cymmerianin poruszył się niespokojnie. — Nie przekazałam ci miejskiej straży, Conanie. Dlaczego miałabym zrobić to teraz? Potrzebny mi złodziej, bowiem Jehnna musi wykraść klucz, który tylko ona może dotknąć, a potem skarb, do którego drogę otworzy ów klucz. Któż udzieli jej lepszej pomocy, jeśli nie najlepszy złodziej w Zomorze?

Wielki młodzieniec miał wrażenie, że zaraz zakręci mu się w głowie. Ostrożnie postawił puchar na stole. Wino było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował.

— Mam zabrać to dziecko w podróż, by pomóc jej ukraść zaczarowany klucz i skarb? — rzekł zdumiony. — Skoro mówisz, że tego żądasz w zamian za życie Valerii, zrobię to, chociaż nie rozumiem, dlaczego ta mała nie miałaby wyruszyć z orszakiem sług i setką strażników.

— Ponieważ Zwoje ze Skelos mówią, że Jehnna musi podróżować bez takiej eskorty. — Taramis urwała, przygryzając dolną wargę.

— Te zwoje... — zaczął Conan, ale odziana w jedwabie dama przerwała mu ruchem dłoni.

— Proroctwa — rzekła spieszenie — proroctwa mówią, co trzeba zrobić i jak. Zapomnij o zwojach. Są spisane w starożytnym języku, znanym tylko... uczonym — spojrzała na niego znacząco, po czym ciągnęła dalej: — Wielkość świty nie jest jasno określona, ale dwie osoby są wymienione jednoznacznie. Postanowiłam zaryzykować i nie wysyłać nikogo więcej. Te dwie osoby to ty i Bombatta.

Conan jęknął, natychmiast zapominając o zwojach. Miał ważniejszy kłopot. Bombatta ma z nim jechać? Cóż, jeśli będzie musiał, potrafi sobie z nim poradzić.

— A gdzie jest ten klucz?

— Szlachetna Jehnna wam pokaże.

— Lepiej żebym miał mapę i plan miejsca, w którym znajduje się klucz. I skarb. I jaki to skarb? Czy będziemy potrzebowali jucznych koni, żeby go przewieźć?

— Szlachetna Jehnna będzie wiedziała, gdy go zobaczy. I uniesie go w rękach, czego nikt inny nie może zrobić. To wszystko, co musisz wiedzieć. Co do mapy, nie ma żadnej z wyjątkiem tej w głowie Jehnny. W dniu jej narodzin zostały rzucone czary, które związały ją z kluczem. W trakcie jazdy będzie wyczuwała drogę i będzie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Kiedy klucz znajdzie się w jej ręku, w podobny sposób poprowadzi was do skarbu.

Conan westchnął. To, że Taramis chciała pewne rzeczy zachować w tajemnicy, nie było niespodzianką. Wielu możnych patronów nie ufało złodziejom, nawet gdy pozostawali oni na ich usługach.

— Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć, bądź na co się przygotować? Pamiętaj, że zbyt wiele zagadek może spowodować śmierć nie tylko moją, ale i twojej bratanicy.

— Jehnnie nie może stać się krzywda! — warknęła Taramis.

— Ochronię ją, ale nie wtedy, gdy nie będę wiedział przed czym. Jeżeli wiesz jeszcze coś...

— Dobrze. Wiem, że klucz jest teraz w posiadaniu człowieka zwanego Amon-Rama, Stygijczyka.

— Czarnoksiężnika? — po tym, co usłyszał, nie mógł spodziewać się niczego innego.

— Tak, czarnoksiężnika. Powiedziałam ci wszystko, co wiem. Równie mocno jak ty lub nawet bardziej pragnę, by ta wyprawa zakończyła się powodzeniem. Boisz się, czy ośmielił się stawić czoło temu, co cię czeka? Nie zapominaj o swojej Valerii.

Twarz Conana twardniała z każdym jej słowem.

— Powiedziałem, że to zrobię, więc tak będzie.

— Dobrze. A teraz ostatnia rzecz, równie ważna jak reszta, przynajmniej dla ciebie. W siódmą noc licząc od dzisiejszej gwiazdy ustawią się w taki sposób, jaki zdarza się raz na

tysiąc lat. To wtedy będę mogła oddać ci Valerię. Pod warunkiem że wrócisz ze skarbem i szlachetną Jehnną — wzniesiona ręka Taramis powstrzymała rodzący się sprzeciw Conana.

— Moi astrologowie nie potrafią znaleźć ani klucza, ani skarbu, ale ręczą, że jedno i drugie można znaleźć i przywieźć do Shadizar na czas.

— Ręczą! — roześmiał się ponuro Cymmerianin.

Zerknął do swego pucharu i jednym haustem wypił resztę wina. Godzinę wcześniej, pomyślał, brodziłem po kolana w czarach. Teraz wiedział już, że pogrążył się w nich po szyję!

Nagle w pałacu rozległ się przenikliwy, dziewczęcy krzyk. Powtarzał się co chwila. Conan skoczył na nogi i sięgnął do miecza. Zobaczył, że strażnicy spięli się, lecz pojął, że była to reakcja na jego zachowanie. Krzyki nie poruszyły ich w najmniejszym stopniu.

— To moja bratanica — wyjaśniła szybko Taramis. — Jehnnę dręczą koszmary. Siadaj, Omanie. Zaczekaj. Wrócę, gdy tylko ją uspokoję — ku zaskoczeniu Cymmerianina księżniczka królewskiej krwi pośpiesznie wybiegła z komnaty.

Taramis nie musiała biec daleko, a gniew dodawał jej skrzydeł. Myślała, że przepędziła te koszmary, że już nigdy nie będą nawiedzać Jehnny. Bratanica leżała skulona na łóżku, wstrząsana niepohamowanym szlochem. Przez wysokie, ostro zakończone okna wpadał przyćmiony blask księżycy. Taramis nie była zdziwiona brakiem służby. Wiedziała, że tylko ona może pokonać mroczne wizje, które zakłócały sen dziewczyny. Księżniczka uklękła przy łóżku i położyła ręce na drżących ramionach bratanicy.

Jehнна ze strachem poderwała głowę. Zobaczyła Taramis i przytuliła się do niej kurczowo.

— Znów ten sen! — poskarżyła się. — Okropny sen!

Jehнна nie miała jeszcze osiemnastu lat. Była szczupła i śliczna, ale teraz jej subtelne rysy wykrzywił strach. Wielkie ciemne oczy pełne były łez, a pełne usta drżały nieopanowanie.

— To tylko sen — uspokajała ją Taramis, gładząc długie czarne włosy dziewczyny. —

Tylko zły sen.

— Ale widziałam... widziałam...

— Ciii... Śpij, Jehanno. Jutro zaczynasz swą wielką przygodę. Nie możesz bać się snów.

— Ale tak się boję... — wyjąkała Jehнна.

— Cicho, dziecko.

Taramis delikatnie dotknęła skroni dziewczyny i zaśpiewała coś szeptem. Ciało Jehnny przestało dygotać. Kiedy równy i głęboki oddech oznajmił, że dziewczyna zasnęła, Taramis wyprostowała się. Wiele razy myślała, że sen i pamięć o nim zostały przegnane, ale przeklęty koszmara za każdym razem powracał. Pomasażowała własne skronie. Ta sama moc, która dała dziewczynie jej przeznaczenie, sprawiała, że walka z koszmarem była coraz trudniejsza. Jehнна była Jediną wymienioną w zwojach i to było najważniejsze. Chyba tym razem koszmara został odparty na wystarczająco długi czas. Musiało tak być!

Taramis od dzieciństwa kroczyła wybraną przez siebie ścieżką. Gdy tylko podrosła na tyle, by mieć jakieś pojęcie o otaczającym ją świecie, jej ciotka, księżniczka Elfaine, zaczęła uczyć ją jedynych sposobów, w jakie kobiety mogą zdobyć prawdziwą władzę — uwodzenia i czarów. Po śmierci Elfaine Taramis, mająca wówczas dziesięć lat, nie wzięła udziału w ceremonii pogrzebowej. Starsi myśleli, że jej nieobecność jest spowodowana głębokim żalem. W rzeczywistości Taramis plądrowała prywatne komnaty ciotki. Wykradła wtedy czarnoksięskie księgi i magiczne przedmioty, które Elfaine gromadziła przez całe życie. Wśród nich znalazła Zwoje ze Skelos.

Dwadzieścia lat temu, w czasie nowiu, zaczęła dzieło, które niebawem miało przynieść owoce...

Taramis spostrzegła stojącego w drzwiach Bombattę. Czarny wojownik wpatrywał się w śpiącą dziewczynę. Szybko podeszła i złapała go za ramiona. Bombatta opierał się przez chwilę, lecz w końcu dał się wypchnąć na korytarz.

— Już nawet nie starasz się tego ukryć, prawda? — powiedziała księżniczka z pozornym spokojem. — Pożadasz mojej bratanicy. Nie próbuj zaprzeczać.

Był od niej dużo większy, ale przestąpił z nogi na nogę niczym chłopiec czekający na karę.

— Nie mogę nic na to poradzić — wymruczał. — Ty jesteś ogniem i namiętnością. Ona jest niewinna i czysta. Nie . mogę dać sobie rady.

— I musi pozostać niewinna. Tak jest napisane w Zwojach Skelos.

Prawdę mówiąc, zwoje nie twierdziły, że Jehнна musi być dziewicą. Wymagały jedynie, by była wolna od wszelkiego zła. Musiała mieć niewinną duszę, być niezdolna do myślenia o źle czy skrzywdzeniu kogokolwiek, ani nie wierzyć, że ktoś może skrzywdzić ją. Jehнна taka była, dzięki wychowaniu w odosobnieniu.

Na swoje szczęście Taramis dostrzegła, co się dzieje z Bombattą na długo przed tym, nim on sam zdał sobie z tego sprawę, i miała czas, by zapobiec dalszemu rozwojowi wydarzeń. — Lecz w istocie nie o to chodzi — powiedziała twardo. — Jesteś mój, a ja nie mam zamiaru dzielić się tym, co należy do mnie.

— Nie podoba mi się, gdy jesteś sama z tym złodziejem! — warknął Bombatta.

— Sama? — Taramis roześmiała się. — Czterech twoich najlepszych ludzi tylko czeka, by go ściąć, gdyby tylko mi zagroził.

Potężny wojownik mruknął coś pod nosem. Taramis z dezaprobatą ściągnęła brwi.

— Mów tak, żebym mogła cię usłyszeć, Bombatto. Nie lubię, gdy coś się przede mną ukrywa.

Ponury Zamorańczyk przez długą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa i z ogniem w oczach.

— Nie mogę znieść myśli, że ten złodziej na ciebie patrzy, pragnie cię, dotyka...

— Zapominasz się! — jej słowa cięły powietrze niczym lodowata brzytwa.

Bombatta cofnął się o krok, potem powoli opadł na kolana i schylił się nisko.

— Wybacz — mruknął. — Ale temu Conanowi nie wolno ufać. Jest cudzoziemcem i złodziejem.

— Głupcze! Zwoje mówią, że Jehnna musi wyruszyć w towarzystwie złodzieja o oczach koloru nieba. Nie ma drugiego takiego w Shadizar, a może nawet w całej Zamorze. Zrobisz to, co ci rozkazałam. Dokładnie wypełnisz podane w zwojach instrukcje. Dokładnie, Bombatto.

— Zrobię, jak każesz — wymruczał.

Taramis dotknęła jego głowy tak, jakby pieściła łeb jednego ze swych wilczurów.

— Oczywiście, Bombatto — czuła, że rumieni się z radości na myśl o zwycięstwie, które niechybnie musiała teraz odnieść. Róg Dagotha będzie należał do niej! Nieśmiertelność i nieograniczona władza będą należały do niej! Ta świadomość sprawiła, że przebiegły przez nią skry, które wybuchły płomieniem w piersiach. Ręka na włosach Bombatty zdrząła.

Taramis odetchnęła głęboko.

— Zadbaj, by wszystko przebiegło zgodnie z moim planem, Bombatto. A teraz wracaj do siebie i kładź się spać. Śpij i śnij o naszym triumfie.

Bombatta, nie podnosząc się z klęczek, obserwował jej odejście. Jego obsydianowe oczy jarzyły się w ciemności.

Conan zerwał się, gdy Taramis weszła do sypialni.

— Co z twoją bratanicą? — zapytał.

— Już czuje się lepiej. Śpi — zmysłowa kobieta wzniosła dłoń i czarno odziani strażnicy bez słowa wyszli z komnaty. — A ty, złodzieju, śpisz, czy czuwasz? Jest późno, a ty masz ochotę rozmawiać o mojej bratanicy? — pod fałdami przejrzystego jedwabiu, które falowały w takt jej ruchów, przebłyskiwała naga skóra.

Cymmerianin spojrzał niepewnie na piękną Zamorankę. Gdyby miał do czynienia ze służącą czy nawet córką bogatego kupca, od razu wiedziałby, o co chodzi. W przypadku księżniczki nie był niczego pewien.

— Jesteś mężczyzną — roześmiała się. — A może opłakiwanie ukochanej Valerii pozbawiło cię męskości?

Conan warknął. Zdawał sobie sprawę, że nie może wyjaśniać Taramis tego, co łączyło go z Valerią. Sam nie był pewien, czy do końca to rozumie. Ale jedno wiedział na pewno.

— Jestem mężczyzną — powiedział.

Taramis uniosła ręce do szyi. Czarna kaskada jedwabiu spłynęła do jej stóp. W ciemnych oczach nagiej księżniczki zabłysło wyzwanie.

— Udowodnij to!

Conan nawet nie spojrzał na okrągłe łyże. Położył Taramis na podłodze i dał jej dowód, jakiego się dopominała.

V

Conan wpatrywał się w ognisko z wysuszonego nawozu. Było niewielkie, by nie przyciągać uwagi tych, którzy również mogli spędzać noc na zamorańskiej pustyni. Patrząc w ogień wspominał inne, czarodziejskie płomienie na prostym kamiennym ołtarzu... Rozbił obóz o dzień drogi od Shadizar, a Malak jeszcze się nie pokazał. Cymmerianin nie lubił przyznawać, że potrzebuje czyjejś pomocy, ale teraz był bardziej niż pewny, że podczas wyprawy będzie potrzebował Akiro. I później również, gdy Taramis zrobi to, co obiecała.

Gdzież, na Dziewięć Piekieł Zandru, podziwiał się ten Malak! Z chmurną miną porzucił daremne rozmyślenia i zaczął przyglądać się swoim kompanom. A raczej jednemu z nich. Bombatta wziął bukłak z kozłej skóry i ostrożnie nalał wody do srebrnego kubka, po czym podał naczynie Jehnnie. Dziewczyna podziękowała mu uśmiechem i wysunęła rękę spod płaszcza z białej wełny. Była zupełnie inna, niż się Conan spodziewał, i barbarzyńca w dalszym ciągu nie potrafił się z tym pogodzić. Taramis powiedziała, że jej bratanica jest dzieckiem, przygotował się więc na to, że zobaczy dziewięcio- lub dziesięcioletnią dziewczynkę, a nie zgrabną rówieśniczkę poruszającą się z nieświadomą gracją gazeli.

— Czy rankiem podążymy w tę samą stronę co dzisiaj, Jehnno? — zapytał nagle.

— Szlachetna Jehnno, złodzieju! — sprostował Bombatta.

Jehna zamrugnęła, przestraszona tym, że Cymmerianin się do niej zwrócił. Brązowe oczy, wielkie i lśniące jak oczy młodej łani, patrzyły przez chwilę na Conana, a potem przeniosły się na Bombattę.

— Więcej będę wiedziała później, teraz wiem tylko, że musimy podążać na zachód — powiedziała do wojownika w czarnej zbroi.

W kierunku gór Karpash, pomyślał Conan. Było to surowe, wysokie pasmo, w którym bez miejscowego przewodnika łatwo było zabłądzić. Na mapach oznaczono jedynie główne przełęcze, którymi wiodły szlaki handlowe. Tubylcy, chociaż nie tak dzicy jak górale Kezankianu, byli dalecy od spoufalania się z obcymi. Uśmiechali się na powitanie, a chwilę później wbijali nóż między żebra.

Conan nie był zdziwiony, że dziewczyna nie odpowiedziała bezpośrednio jemu. Od czasu opuszczenia pałacu Taramis, nie odezwała się do niego ani słowem. Rozmawiała wyłącznie z Bombattą. Jednakże Conan postanowił nie przejmować się jej powściągliwością.

— Skąd znasz drogę? — zapytał.

— Nie wolno ci jej wypytywać, złodzieju! — warknął Bombatta.

Zawył wilk. Długie, żałobne zawodzenie zdawało się zlewać z mrokiem rozjaśnionym nikłą poświatą sierpa księżycy.

— Co to było, Bombatto? — zapytała Jehna. Mężczyzna o poznaczonej bliznami twarzy, nim odpowiedział, raz jeszcze spiorunował wzrokiem Conana.

— To tylko zwierzę, dziecko. Takie jak pies.

W jej oczach zabłysła ciekawość i podniecenie.

— Zobaczymy je?

— Być może, dziecko.

Conan potrząsnął głową. Wyglądało na to, że dziewczyna zachwyca się wszystkim i nie ma pojęcia o niczym. Puste ulice Shadizar, gdy wyjeżdżali z miasta, namioty i śpiące wielbłądy z karawan nocujących za murami, chichot hien — wszystko to fascynowało ją w równym stopniu. Dziewczyna rozglądała się zachłannie i zasypywała Bombattę pytaniami.

— To, czego nie będę wiedział, może stać się przyczyną naszej śmierci — powiedział Conan.

— Nie strasz jej, złodzieju! — syknął Bombatta. Jehna położyła dłoń na okrytym zbroją ramieniu wysokiego mężczyzny.

— Nie boję się, Bombatto.

— Wobec tego powiedz mi, skąd wiesz, gdzie znajdziemy klucz — upierał się Conan — albo powiedz to Bombattcie, jeśli w dalszym ciągu nie chcesz odezwać się do mnie.

Strzeliła ku niemu oczami, a potem usiadła między nim a ponurym wojownikiem.

— Nie wiem, skąd znam drogę, wiem tylko, że ją znam. Jest tak, jakbym przypomiwała ją sobie — potrząsnęła głową i roześmiała się cicho. — Oczywiście, to niemożliwe. Przecież aż do dzisiaj nie opuszczałam pałacu mojej ciotki.

— Jeżeli możesz, powiedz mi, dokąd zmierzamy — nalegał Conan — choćby w przybliżeniu. Może wtedy będę mógł obrać krótszą drogę. — Myśląc o konfiguracji gwiazd niezbędnej do przywrócenia życia Valerii, dodał: — Czasu jest mało.

Jehna raz jeszcze potrząsnęła głową.

— Niestety, wiem, która droga jest właściwa, dopiero gdy ją zobaczę. Wtedy... właśnie wtedy ją sobie... przypominam. Ale najpierw muszę ją zobaczyć — nagle roześmiała się, przewróciła na plecy i zapatrzyła w nocne niebo. — A poza tym nie chcę, by ta podróż skończyła się szybko. Chciałabym, żeby trwała wiecznie.

— To niemożliwe, dziecko — upomniał ją Bombatta. — Za sześć nocy musimy być w Shadizar.

Conan zrobił wszystko, by zachować niewzruszony wyraz twarzy. W szóstą noc miała wystąpić zapowiedziana przez Taramis konfiguracja, ale przecież Bombattcie nie mogło zależeć na powrocie Valerii. Dlaczego zatem ta noc była tak ważna? Co jeszcze miało się

wydarzyć?

— Pora spać, dziecko — mężczyzna z bliźniami wstał. — Musimy wcześniej wyruszyć — zaczął dla niej przygotowywać posłanie. Uprzątnął kamienie i zmiękczył ziemię sztyletem. — Bombatto, proszę — powiedziała Jehnna — czy naprawdę muszę już kłaść się spać? Stąd gwiazdy wyglądają zupełnie inaczej niż z pałacowych ogrodów. Wydaje się, że są tak nisko, iż można by ich dotknąć.

Bombatta bez słowa rozpostarł koc na miękkiej ziemi.

— Och, no dobrze — westchnęła Jehnna i ziewnęła przysłaniając usta. — Chciałabym po prostu zobaczyć wszystko, a tego jest tak wiele.

Gdy już leżała, Bombatta z zadziwiającą delikatnością otulił ją drugim kocem.

— Obiecuję ci, że poznasz tak wiele, ile tylko można — rzekł łagodnie. — Ale za sześć dni musimy wrócić do Shadizar.

Jehnna złożyła głowę na dłoni i wymruczała coś sennie.

Zakochany, pomyślał Conan patrząc, jak Bombatta trwa schylony nad dziewczyną.

Czarny wojownik wyprostował się, podszedł do ogniska i zaczął przysypywać je ziemią.

— Ja pierwszy będę czuwał, złodzieju — powiedział. Bez dalszych słów podszedł do

Jehnny, wyciągnął miecz i usiadł obok niej ze skrzyżowanymi nogami.

Usta Conana ściągnęły się w wąską linię. Mężczyzna zajął miejsce między nim a posłaniem dziewczyny, jakby to przed nim trzeba było ją chronić. Nie spuszczał oka z Bombatty ułożył się na ziemi, z dłonią na rękojeści miecza. Nie przykrył się. Był przyzwyczajony do większych chłódów niż te panujące na zamorańskiej pustyni. Poza tym koc mógłby spowolnić mu ruchy w chwili, gdyby musiał wyciągnąć broń. Przymknął oczy i zadumał nad nową tajemnicą. Co miało zająć w Shadizar za sześć nocy? Rozmyślał o tym, gdy zmorzył go sen.

Promienie słońca bezlitośnie paliły troje jeźdźców jadących na zachód przez zamorańską pustynię. Jehnna zaciągnęła kaptur śnieżnobiałego płaszcza głęboko na twarz. Wiedziała teraz, że Bombatta miał rację mówiąc, iż biały płaszcz ochroni ją przed palącym słońcem. Przekonała się o tym, gdy na próbę wysunęła rękę z szerokiego rękawa i natychmiast poczuła spływający na nią żar. To odzienie wyraźnie zmniejszało gorąco. Było to doświadczenie, którego wolałaby uniknąć. Przed nimi wznosiły się szare góry Karpash. Ich ośnieżone szczyty obiecywały wilgoć i chłód. Jehnna spróbowała zwilżyć wysuszone usta językiem, ale bez powodzenia.

— Góry, Bombatto — powiedziała. — Niedługo do nich dotrzemy, prawda?

Wojownik obrócił się w jej stronę. Dziewczyna, ujrawszy pod czarnym hełmem pokryte bliźniami, spocone oblicze, niespodziewanie poczuła przenikający ją dreszcz strachu.

Głupstwo, pomyślała. Przestraszyć się Bombatty, którego znała przez całe swoje życie?

— Nie tak szybko — odpowiedział czarny wojownik. — Być może jutro rano.

— Ale przecież są tak blisko — zaprotestowała.

— To powietrze pustyni oszukuje oczy, dziecko. Odległość wydaje się mniejsza niż w rzeczywistości. Te góry leżą wiele mil stąd.

Jehnna chciała poprosić o wodę, ale przypomniała sobie spojrzenie, jakim Bombatta obrzucił bukłak przy poprzednim razie. On pił tylko dwa razy odkąd wstali. Przeniosła wzrok na Conana, jadącego na czele z jucznym koniem przywiązany do siodła. Cymmmerianin wypił łyk wody po przebudzeniu i od tej pory nawet nie spojrzał na bukłak. Jechał niedbale, bez najmniejszego wysiłku, z dłonią lekko opartą na rękojeści miecza. Bez ustanku wpatrywał się przed siebie i zupełnie nie przejmował się tym, że słońce przypieka ich od samego rana i że daleko jeszcze było do południa.

Co to za dziwny młodzieniec, pomyślała, chociaż z powodu klasztornego życia nie mogła go porównać z wieloma innymi. Nie mógł być starszy od niej, była pewna, ale jego oczy — tak osobliwego błękitnego koloru — zdawały się przeczyć jego wiekowi. Jechał tak, jakby pragnienie czy gorąco wcale się go nie imowały. Czy cokolwiek mogłoby go zatrzymać? Deszcz, wiatr czy śnieg? Słyszała opowieści o leżącym w górach śniegu, tworzącym zaspę wielkości pałacu. Nie, była pewna, że Conan zdołałby je pokonać. Być może dlatego ciotka wysłała go z nimi. Może jest bohaterem, księciem w przebraniu, jak w tych historiach opowiadanych przez służące pod nieobecność ciotki?

Spojrzała kątem oka na Bombattę.

— Czy on jest przystojny?

— Kto? — burknął wojownik.

— Conan.

Jego głowa odwróciła się gwałtownie w jej kierunku. Znów się go przełękała.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Nie myśl o takich rzeczach — jego głos był twardy, wyprany z łagodności, z jaką z nią zawsze rozmawiał. — A zwłaszcza o nim.

— Nie złość się, Bombatto — poprosiła. — Kocham cię i nie chcę, żebyś był na mnie zły. Po jego twarzy przemknął ból.

— Ja... również cię kocham, Jehnno. Nie jestem na ciebie zły. To tylko... Nie myśl o tym złodzieju. Wyrzuć go ze swego umysłu. Tak będzie najlepiej.

— Nie wiem, jak mogłabym to zrobić, skoro on jedzie z nami. Poza tym, Bombatto, uważam, że Conan jest przystojny tak jak księżę z jakiejś legendy.

— On nie jest księciem! — parsknął Bombatta.

Jehnna poczuła ukłucie rozczarowania, ale mówiła dalej:

— Jednak myślę, że jest. To znaczy, jest przystojny. Ale nie ma go z kim porównać, pominąwszy ciebie, niewolników i służących w pałacu Taramis, lecz ich nie uważam za przystojnych. Wszyscy tylko klękają i kłaniają się.

Twarz Bombatty tężała z każdym jej słowem. Jehnna przebiegła w pamięci wypowiedziane przed chwilą zdania, szukając czegoś, co mogłoby go obrazić.

— Och, ty oczywiście też jesteś przystojny, Bombatto. Nie chciałam sugerować, że jest inaczej.

Zęby wielkiego mężczyzny wyraźnie zazgrzytały.

— Powiedziałem ci już, byś nie myślała o takich rzeczach.

— On jest większy od każdego z niewolników. Jest prawie tak wielki jak ty, Bombatto. Jak myślisz, czy to możliwe, by był równie silny? Być może Taramis wysłała go z nami, bo jest tak samo silny jak ty, i tak samo odważny, i dorównuje ci jako wojownik...

— Jehnno!

Aż podskoczyła w siodle. Spojrzała na niego zdumiona. Nigdy wcześniej na nią nie krzyknął. Nigdy.

Bombatta, z pięścią wspartą o biodro, dyszał ciężko i patrzył wprost przed siebie. W końcu odezwał się:

— Ten Conan jest złodziejem, dziecko. Tylko i wyłącznie złodziejem. Księżniczka Taramis miała swoje powody, by zakaż mu nam towarzyszyć. A roztrząsanie jej decyzji nie należy ani do mnie, ani do ciebie.

Jehnna zagryzła wargi i zastanowiła się nad tym, czego się właśnie dowiedziała. Kiedy Taramis oznajmiła, że nadszedł dzień jej podróży, była uszczęśliwiona. Wyprawa oznaczała wypełnienie jej przeznaczenia. Miała znaleźć Róg Dagotha i wrócić do ciotki, by zyskać wielką nagrodę. Ale skoro Conan był złodziejem, a Taramis wysłała go z nimi...

— Bombatto, czy jedziemy ukraść Róg Dagotha?

Bombatta uciszył ją ruchem ręki i pośpiesznie spojrzał na Conana. Błękitnooki młody olbrzym wciąż jechał przed nimi, zbyt daleko, by słyszeć słowa wypowiedziane normalnym tonem. Patrząc na jego sztywne plecy Jehnna pomyślała, że Cymmerianin rozmyślnie ignoruje ją i Bombattę. Z jakiegoś powodu, którego do końca nie rozumiała, irytował ją fakt, że Cymmerianin nie zwraca na nią uwagi. I to rozmyślnie.

— Dziecko... — zaczęła szybko Bombatta — Taramis przekazywała, że nie należy wspominać tego imienia wówczas, gdy mógłby je usłyszeć ktoś obcy. Wiesz o tym doskonale. To nasza tajemnica.

— On nie może nas usłyszeć — sprzeciwiła się. — A my zamierzamy...

— Nie! — jego głos był całkowicie opanowany, jak zawsze gdy doprowadzała go do granic cierpliwości. — Nie, Jehnno, nie będziemy kraść. Nikt poza tobą nie może dotknąć klucza. Nikt poza tobą nie może dotknąć Rogu. Nikt, na całym świecie! Czyż to nie dowodzi, że twoje przeznaczenie jest prawdą? Nie możesz wątpić w słowa swojej ciotki ani stracić zaufania do mnie.

— Oczywiście, że nie, Bombatto. To tylko... Och, tak mi przykro. Nie chciałam cię zdenerwować.

Wojownik o poznaczonej bliznami twarzy mruknął coś ze złością.

— Co, Bombatto? — spytała.

Zamiast odpowiedzieć, Zamorańczyk pogalopował w kierunku Conana.

Jehnna spojrzała na nich i ujrzała jeźdźca na wzgórzu, na północ od nich. Nieznajomy zbliżał się szybko, wiodąc za sobą drugiego konia. Gdy podjechał bliżej, stwierdziła, że jest to brzydki, mały człowiek — niski i żyłasty, w skórzanym kaftanie i brudnych spodniach. Nagle zrozumiała, co chwilę wcześniej mruknął Bombatta. Wymówił imię: Malak.

Conan na widok nadciągającego kompana pozwolił sobie na szeroki uśmiech. Przesunął spod języka gładki kamyczek, który pozwalał zachować wilgoć w ustach, i zawołał:

— Hej, Malaku!

— Witaj, Conanie! — twarz złodzieja rozjaśnił równie szeroki uśmiech. — Trudno mi było cię znaleźć. Jak wiesz, nie jestem dobrym tropicielem. Jestem człowiekiem miasta, cywilizacji...

Bombatta wjechał między nich wzbijając fontannę piasku i kurzu. Nie zwracając uwagi na Conana spiorunował wzrokiem małego złodzieja, którego uśmiech natychmiast znikł.

— Księżniczka Taramis darowała ci życie — warknął. — Powinieneś być schować się wśród podobnych sobie mętów, gdy miałeś okazję.

— To ja prosiłem, by do nas dołączył — powiedział Conan.

Bombatta szarpnął wodze. Blizny posiniały mu z wściekłości.

— Ty go poprosiłeś? A kim ty jesteś, by decydować, kto ma z nami podróżować, złodzieju?! Księżniczka Taramis...

— Taramis chciała, bym towarzyszył Jehnnie — przerwał mu Conan — a ja chcę, by towarzyszył nam Malak.

— A ja mówię nie!

Conan odetchnął głęboko. Musiał zachować spokój i nie zabijać tego głupca.

— W takim razie będziesz musiał dokończyć poszukiwania beze mnie — oznajmił z dużo większym spokojem, niż naprawdę odczuwał.

Teraz z kolei Bombatta nabrał powietrza. Żeby mu zazgrzytały, gdyż nie udało mu się zachować równie zimnej krwi.

— Z pewnych powodów, złodzieju, o których nie możesz wiedzieć, ty, ja i szlachetna Jehnna musimy jechać sami.

— Taramis powiedziała, że wielkość eskorty nie została dokładnie określona —

powiedział Conan, z przyjemnością obserwując zdumienie malujące się na twarzy Bombatty.

— Tak ci powiedziała? Conan skinął.

— Taramis nie chce, żebyśmy zawiedli. Powiedziała mi wszystko.

— Oczywiście — rzekł z wolna Bombatta. Coś w tonie jego głosu sprawiło, że Conan nagle zwątpił we własne słowa. Jednak nadal był przekonany, że Taramis nie przemilczała niczego, co mogłoby zmniejszyć szansę powodzenia wyprawy.

— I jak? — zapytał Conan. — Malak jedzie z nami, czy obaj mamy ruszać w swoją drogę?

Palce Bombatty zacisnęły się na rękojeści miecza tak mocno, że aż pobladły kostki.

— Wobec tego niech ten mały łajdak zostanie — wydyszał chrapliwie Zamorańczyk. —

Ale nie popełnij błędu, złodzieju. Jeśli coś się przez niego nie uda, posiekam was obu na żarcie dla psów. I odnoście się ze stosownym szacunkiem szlachetnej Jehnny! — zawrócił konia i pogalopował do dziewczyny, która stropiona obserwowała ich z daleka.

— Nie sądzę, żeby mnie lubił — powiedział Malak z niewesołym uśmiechem.

— Przeżyłeś już kilku, którzy nie pałali do ciebie zbytnią sympatią, przeżyjesz i Bombattę.

Żałosna szkapa — dodał i widząc uniesione pytająco brwi Malaka, wskazał na prowadzonego przez niego konia.

Malak zachichotał.

— To jedyne, jakiego zdołałem ukraść. Dla Akiro.

— Jest gdzieś w pobliżu? Nie mam czasu, by go szukać.

— Niedaleko za jakiś czas trzeba będzie skręcić na południe.

— No to w drogę — powiedział Conan. — Mam niewiele czasu.

Malak ruszył obok niego. Cymmerianin obejrzał się, by sprawdzić, czy dziewczyna i Bombatta podążają za nimi. Tak było, ale zachowali ten sam dystans co rano. Conan nie wiedział, czy Bombatta nie chce jechać we wzbijanym przez ich konie kurzu, czy też po prostu nie ma ochoty na jego towarzystwo.

W drodze Malak bez przerwy spoglądał na Conana i mruczał coś pod nosem. W końcu nie wytrzymał:

— Conanie, o co chodzi z tymi powodami, dla których nie powinienem z wami jechać, i czy Taramis naprawdę powiedziała ci wszystko?

— Zastanawiałem się, kiedy o to zapytasz. — Conan uśmiechnął się i powtórzył wszystko, co usłyszał od Taramis, a co łączyło się z poszukiwaniem klucza i skarbu. Inne rzeczy, szeptane w jego ramionach, wielki młodzieniec postanowił zachować dla siebie.

Kiedy skończył, Malak ze zdumieniem potrząsnął głową.

— A ja myślałem, że muszę się martwić jedynie o przywrócenie życia Valerii! Słuchaj!

Obawiam się, że to, co nas czeka, za bardzo śmierdzi czarami, Cymmerianinie. Uważaj, bo możesz zginąć, albo i co gorszego. Zważ moje słowa — zaczął mamrotać coś, co Conan rozpoznał jako modlitwę do Bela, shemickiego boga złodziei.

— Mogło być gorzej — powiedział.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Mogło być gorzej! — zapiszczał Malak. — Dziewczyna z mapą w głowie! Są w tym czary, chyba się ze mną zgodzisz. Magiczny klucz strzeżony przez czarnoksiężnika i zaklęty skarb, bez wątpienia pod opieką innego maga, albo nawet dwóch czy trzech. Rozsądny człowiek bez namysłu uciekłby, gdzie pieprz rośnie. Słuchaj! Znam trzy siostry w Arenjum. Mają ciała, które wywołują szloch pożądania, a nadto ojca, który jest głuchy jak pień. Mogę oddać ci nawet dwie z nich. Zapomnimy o Shadizar, tak jakbyśmy nigdy tam nie byli, ani nawet nie słyszeli o tym mieście. Taramis nigdy nie znajdzie nas w Arenjum, nawet gdyby próbowała. Ani Amphrates. Co o tym myślisz? Pojedziemy do Arenjum, prawda?

— A Valeria? — zapytał Conan. — Czy ją również mam wyrzucić z pamięci? Jedź do Arenjum, jeśli tego pragniesz. Ja już tam byłem i nie mam powodu, by wracać.

— Więc masz zamiar jechać dalej? Bez względu na to, co ja zrobię?

Conan przytaknął ponuro. Niewielki mężczyzna zacisnął powieki i wymruczał kolejną modlitwę, tym razem do Kyaly, iranistańskiej bogini szczęścia.

— Dobrze — oznajmił w końcu. — Jadę z tobą, Cymmerianinie. Ale tylko dlatego, że dajesz mi swoją połowę klejnotów Amphratesa.

— Oczywiście, że tak — rzucił lekko Conan. — Nigdy bym cię nie posadził, że zrobisz coś z przyjaźni.

— Oczywiście, że nie — powiedział Malak, po czym ściągnął brwi, jakby coś złe zrozumiał. — Przynajmniej w tym wszystkim jest jedna pocieszająca rzecz.

— Co takiego? — spytał Conan.

— Cóż, skoro już jesteśmy najlepszymi złodziejami w Shadizar — zaczął ze śmiechem Malak — by nie rzec, że najlepszymi w świecie, ten Amon–Rama dowie się o naszych odwiedzinach dopiero wtedy, gdy będziemy już daleko.

VI

Góra powstała ze stopionego bazaltu. Tysiąc lat temu w ostatnim spazmie ziemia zafalowała niczym morze podczas sztormu obalając miasta, trony i dynastie. Niebo poczerniało od popiołu i ze śmiercionośną przewrotnością góra ognia sprowadziła śniegi tam, gdzie niegdyś rośla zieleń, a przyzwyczajona do upałów ziemia przez trzy lata była skuta lodem. Mieszkańcy gór Karpash dawno zapomnieli o tych wydarzeniach, ale uważali ten szczyt za górę śmierci i wierzyli, że stracą swe duszę, jeśli choć postawią stopy na jego zboczach.

Połowa góry rozpadła się w ostatnim, gigantycznym wybuchu, który pozostawił po sobie owalny krater. Jego dno zajmowało głębokie jezioro, długie na prawie pół mili. Dwie ściany wielkiego krateru, bardzo strome, wznosiły się na wysokość stu mężczyzn. Pozostałe stoki były łagodnie nachylone, a na jednym z nich wznosił się pałac, jakiego oko ludzkie nie widziało.

Przypominał niewiarygodnie potężny, szlifowany klejnot. Jego iglice, wieże i kopuły tworzyły jednolity, twardy kryształ. Nigdzie nie było widać śladu zaprawy. Pałac wyglądał jak wyrzeźbiony z jednego wielkiego diamentu, oślepiająco błyszczącego w słońcu.

W samym środku tej niezemskiej budowli mieściła się olbrzymia, kryta kopułą komnata. Złote draperie przysłaniały zawieszona na ścianach zwierciadła. Na środku komnaty stał smukły, przezroczysty cokół podtrzymujący klejnot o barwie tak czerwonej, jak gdyby w jego wnętrzu stopiono w jedno krew i ogień.

Do cokoła z klejnotem zbliżył się Amon–Rama, niegdyś pierwszy mag Czarnego Kręgu w Stygii. Szkarłatny płaszcz z dużym kapturem płynnie falował wokół jego wysokiej, szczupłej postaci. Pociągnęła smagła twarz Amon–Ramy miała drapieżne rysy, a nos był haczykowany niczym dziób jastrzębia. Dziesięć tysięcy najohydniejszych czarów zgasiło światło w jego czarnych oczach, które stały się płaskie jak cekiny.

Znieruchomiał. Jego ręce okrążyły klejnot niczym szpon, ale czarnoksiężnik dbał, by go nie dotknąć. Serce Arymana. Czuł uniesienie za każdym razem, gdy na nie patrzył.

W chwili gdy wyszło na jaw, że posiada Serce, jego własni akolici wypędzili go z Czarnego Kręgu. Nawet najwięksi czarnoksiężnicy parający się najmroczniejszą z magii obawiali się wnikać w pewne rzeczy. Nigdy zaś nie ośmieliliby się podjąć ryzyka związanego z uwolnieniem i okiełznaniem mocy dobra... Cienkie usta maga wykrzywiły się pogardliwie. On nie bał się niczego. Samo zdobycie klejnotu zapewniało mu zdecydowaną przewagę nad tymi głupcami. Zabiliby go, gdyby tylko starczyło im odwagi, ale każdy z nich czuł jego moc płynącą z posiadania Serca i bał się zemsty w wypadku, gdyby próba zakończyła się niepowodzeniem.

Długie palce poruszały się po obu stronach Serca, a wówczas Amon–Rama zaczął

recytować w martwym od wieków języku:

— A'bath taa'bak, udamai mor'aas. A'bath taa'bak, endal cafa'ar. A'bath taa'bak, A'bath mor'aas, A'bath cafa'ar.

Kryształowe ściany pałacu zadźwięczały lekko w odpowiedzi na te słowa, a każda kolejna sylaba wzmocniła blask Serca Arymana. Magiczny kamień stopniowo stawał się coraz bardziej przezroczysty i zmieniał barwę. Po chwili był bardziej karmazynowy niż rubinowy. Wreszcie zrobił się przejrzysty jak woda, a wtedy wewnątrz pojawiły się postacie przemierzające kamieniste wzgórza.

Oczy Amon–Ramy zwięzły się w szparki, gdy przyglądał się intruzom. Jeźdźcy. Jedna dziewczyna i trzech mężczyzn, z dwoma dodatkowymi końmi. Wzór utworzony przez jego palce zmienił się lekko i nagle całe wnętrze kamienia zajęła dziewczyna.

To ona, pomyślał, a jego usta wykrzywił okrutny uśmiech. Ona była Jediną, której szukał od tak wielu lat. Była związana z Sercem Arymana, a Serce z nią. Ta kobieta z Shadizar widocznie wpadła wieszczcie na pomysł, by wykorzystać dziewczynę. Taramis jest odważna, skoro postanowiła użyć Serca zgodnie z jego ostatecznym przeznaczeniem, i posiada niemałą biegłość w posługiwaniu się tajemnymi mocami, jednak nie mogła równać się z nim, z Amon–Ramą. Serce posiadało wiele właściwości i mocy, nie tylko tę, z której Taramis chciała korzystać. Gdy tylko Jedyńska znajdzie się w jego rękach, on zyska dostęp do nich wszystkich. I będzie wiedział, których z nich wolno mu użyć, a których nie. Pomyślał, że z przyjemnością zachowa Taramis przy życiu. Jako nagą niewolnicę, pełzającą w prochu u jego stóp. Ale to później.

— Chodź do mnie, dziewczyno — wyszeptał. — Przywieźcie ją tutaj, moi dzielni wojownicy. Przywieźcie mi Jediną.

Palce raz jeszcze utworzyły nowy kształt wokół kamienia, a mag zaczął recytować zaklęcie, tym razem słowami, które nigdy nie były przeznaczone do wypowiedziania przez ludzki język ani do słyszenia przez ludzkie ucho. Słowa płonęły w powietrzu niczym najczystszy ból, a kryształowe ściany zajęczały pod ich siłą. Serce Arymana stawało się coraz jaśniejsze. Oślepiające szkarłatne światło rozszczebiało się, zlało i znów rozpadło, rzucając krwawy cień maga na ściany komnaty, aż w końcu zdawało się, że jest tu dwudziestu ludzi, pięćdziesięciu, stu... A on nie przerywał monotonnego śpiewu, a światło klejnotu stawało się coraz jaśniejsze, oślepiające...

Narastające w Conanie pragnienie pośpiechu przybierało na sile z każdym krokiem w kierunku pasma Karpash — już tak bliskiego! Powtarzał sobie, że trzeba skręcić, żeby znaleźć Akiro, ale z drugiej strony miał okropnie mało czasu. Każda godzina stracona na poszukiwanie pulchnego maga oznaczała godzinę mniej na dotarcie do klucza czekającego gdzieś tam w górach, godzinę mniej na odnalezienie skarbu i powrót do Shadizar. Każda chwila opóźnienia groziła ryzykiem, że Valeria nie odzyska życia. Konieczność znalezienia Akiro stopniowo traciła znaczenie. Najważniejsze stawało się dotarcie do gór. Nade wszystko należało zawieźć tam Jehnnę.

— Tutaj, Conanie.

Cymmerianin odwrócił głowę na dźwięk słów Malaka, ale nawet nie zwołał.

— Akiro — przypomniał Malak. Ręką, w której trzymał wodze luzaka, wskazał w bok. — Tutaj musimy skręcić na południe. To znaczy, jeśli mamy... pomyślałem, że... — roześmiał się niepewnie i potrząsnął głową. — Może jednak to nie jest ważne.

Conan niezdecydowanie ściągnął wodze. Z chmurną miną spojrzał w górę, potem na południe, potem znowu w górę. Akiro jest ważny, opóźnienie zaś niedopuszczalne... Bombatta i Jehnna zatrzymali konie obok obu złodziei. Kosmyki kruczych włosów oblepiały twarz dziewczyny, a jej oczy były skupione na szczytach zapełniających horyzont. Wojownik w czarnej zbroi otarł pot z czoła i spojrzał groźnie na Cymmerianina.

— Dlaczego stanąłeś, barbarzyńco?

Conan bez słowa zacisnął szczękę. Z rozdrażnieniem skręcał postronek jucznego muła. Czas, pomyślał. Czas. Wiedział, że go trwoni, ani nie szukając starego maga, ani nie zbliżając się do góry. Ale na co się zdecydować?

— Niech cię Erlik, barbarzyńco, musimy jechać. Prawie jesteśmy w górach. Trzeba jak najszybciej dotrzeć do Serca... do klucza! — poprawił spieszenie i powtórzył z naciskiem: — Musimy jak najszybciej dotrzeć do klucza.

Malak przerwał tę tyradę.

— I co z Akiro, Cymmerianinie? Szukamy go czy nie? Na Paznokcie Nóg Oguna, nie wiem już, co robić!

Z gardła mężczyzny o pokiereszowanej twarzy wyrwało się zduszone przekleństwo.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Następny, barbarzyńco? Chcesz dodać jeszcze jednego do naszej wyprawy? Taramis może twierdzić, że jesteś niezbędny, ale ja mówię, że narażasz nas wszystkich na niebezpieczeństwo! Dodatkowy członek wyprawy może zniweczyć proroctwo! Czy to cię w ogóle obchodzi? A może zależy ci na opóźnieniu, bo boisz się stanąć twarzą w twarz z tym, co nas czeka? Więc jak, ty śmierzący tchórze z Północy?! — wrzasnął i wysunął szablę z pochwy na szerokość dłoni. W oczach Bombatty gorzała żądza mordy.

Conan spojrział nań lodowato. Przepęła go wściekłość, której wybuchu nic nie mogło powstrzymać. Jego słowa zabrzmiały oschle i twardo:

— Dobądź broni, Zamorańczyku. Dobądź i umrzyj. Sam zawiozę Jehnnę do klucza. Nagle Jehnna wjechała między dwóch rozwścieczonych mężczyzn. Ku zaskoczeniu ich obu, w jej brązowych oczach płonął ogień.

— Uspokójcie się, obaj! — rozkazała ostro. — Macie doprowadzić mnie do klucza. Jak zamierzacie to zrobić, skoro ujadacie na siebie niczym dwa psy w zaułku?

Conan zamrugał z niedowierzaniem. Mysz atakująca kota wprawiałaby go w mniejsze zdumienie.

Bombatcie szczęka opadła. Gdy dziewczyna zamilkła, zaklął, ale schował miecz do pochwy.

— Jedziemy w góry — wycedził przez zaciśnięte zęby. Conan bezlitośnie zdusił gniew, który groził ponownym wybuchem, i zapanował nad swymi emocjami. Okazując pozorny spokój, zawrócił konia na południe.

— Nie możesz! — zaprotestowała Jehnna. Bezsilnie zacisnęła drobną piąstkę na kuli łęku. Jej władcza postawa zniknęła jak płomyk na wietrze. — Conanie! Musisz jechać drogą wskazaną przeze mnie. Musisz!

Cymmerianin zatrzymał się z westchnieniem i zerknął przez ramię.

— Jehnno, to nie jedna z gier, w jakie bawiłaś się w ogrodach swojej ciotki. Robię to, co chcę, a nie to, co czymś zdaniem muszę robić.

— Myślę, że to wszystko bardzo przypomina grę — rzekła ponuro Jehnna. — Grę w olbrzymim labiryncie, tylko że ty odmawiasz dalszej zabawy.

— W tym labiryncie, Johnno, za każdym zakrętem może czyhać śmierć.

— Nie! — twarz szczupłej dziewczyny stała się portretem świętego oburzenia. — Ciotka wychowała mnie specjalnie w tym celu. To moje przeznaczenie. Nie wysłałaby mnie z pałacu, gdyby mogła spotkać mnie jakaś krzywdą.

Conan spojrział na nią uważnie.

— Oczywiście, że nie — rzekł powoli. — Jehnno, zabiorę cię do klucza i skarbu, i z powrotem do Shadizar. Obiecuję, że włos ci z głowy nie spadnie, ale najpierw musisz jechać ze mną, bowiem być może będziemy potrzebowali wszystkich umiejętności pewnego człowieka.

Jehnna z wahaniem skinęła głową.

— Zgoda. Pojadę z tobą.

Conan ruszył na południe, a Malak i Jehnna pociągnęli za nim. Bombatta, z twarzą ciemną jak burzowa chmura, jechał na samym końcu.

W lustrzanej komnacie w kryształowym pałacu nie było już żadnych cieni. Krwawy żar zniknął i Serce Arymana jarzyło się swą zwyczajną czerwienią.

Amon-Rama zatoczył się lekko, odchodząc od krystalicznej kolumny, na której spoczywał klejnot. Jego wąska twarz zdawała się jeszcze bardziej zapadnięta, a smagła skóra poszarzała. Rzucanie czarów na odległość wymagało ogromnego wysiłku. Musiał wypocząć i pokrzepić się przed kolejną próbą.

Jednakże teraz myślał nie tyle o śnie i jedzeniu, ile o powodzeniu swych zabiegów. Nie wiedział, co się stało na równinie. Serce w tym samym czasie nie mogło być użyte jako czarnoksiężskie zwierciadło i soczewka mocy. Od razu odrzucił możliwość, że dziewczyna ma z tym coś wspólnego. Prawda, była Jedyną, ale nie znała się na taumaturgii. Jej życie miało wyłącznie jeden cel i paranie się czarami było jej zakazane przez samą naturę tego, czemu służyła.

Pozostawali więc towarzyszący jej mężczyźni. Nie było wśród nich magów. Gdyby było inaczej, wykryłby wibracje mocy w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał ich w Sercu. Każdy talizman, zdolny osłonić ich przed wyzwoloną przez niego energią, również byłby doskonale widoczny. To pozostawiało tylko jedną odpowiedź, aczkolwiek wydawała się ona zupełnie nieprawdopodobna. Jeden z nich — z pewnością jeden z dwóch wojowników — posiadał niewiarygodnie potężną siłę woli.

Uśmiech stygijskiego nekromanty znów zabłysł okrucieństwem. Nieugięta wola... Poza

porwaniem dziewczyny, coś takiego mogło dostarczyć mu niezłej rozrywki. Ale najpierw jedzenie, wino i sen. Amon–Rama zmęczonym krokiem opuścił komnatę luster. Pozostało w niej tylko jarzące się Serce Arymana.

VII

Purpurowa tarcza słońca dotykała już szczytów gór, ale nadal bez litości prażyła czwórkę jeźdźców. Bombatta od chwili skręcenia na południe kłął bez ustanku, ale czynił to szeptem... Conan zaś starał się niczego nie słyszeć. Gdyby usłyszał, musiałby zareagować, a doszedł do wniosku, że Jehnna nie powinna widzieć, jak zabija Bombattę. Jednak gdyby dziewczyny nie było, zrobiłby to z przyjemnością.

— Za następnym wzgórzem, Conanie — oznajmił nagle Malak. — Niech mnie Selket wypatroszy, jeśli nie tam jest chata Akiro. Chyba że okłamano mnie w Shadizar.

— Już trzy razy tak mówieś — zauważyła uszczypliwie Jehnna.

Żyłasty złodziej wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby.

— Nawet ja czasami się mylę. Ale tym razem ręczę, że mam rację.

Kamienie syknęły się spod kopyt wierzchowca, gdy Conan ruszył w górę stoku. Zaczynał się już zastanawiać, czy Malak choć w przybliżeniu orientuje się, w jakim kraju należy szukać Akiro. Potem znalazł się na szczycie wzniesienia i warknął:

— Na Kamienie Hanumana!

— Nie przeklinaj przy Jehnne! — prychnął Bombatta, ale gdy stanął u boku Conana, sam nie wytrzymał.

— Na Wnętrznosci i Pęcherz Czarnego Erlika! — mruknął.

Poniżej rzeczywiście wznosiła się siedziba Akiro — prymitywna chałupa z gliny i kamienia, przitulona do zbocza wzgórza. I Akiro tam był. Pulchny, żółtoskóry czarnoksiężnik stał pod słupem wbitym przed chatą, a wokół jego kolan piętrzyły się gałęzie, które wcześniej zaczynały lizać płomienie. Przed stosem stali trzej mężczyźni, zwrócenii do obserwatorów na szczycie. Unosząc w górę ręce mruzcili coś monotennie. Szerokie rękawy długich białych szat spływały z ich rozpostartych rąk niczym skrzydła. Ponad dwudziestu innych, których brudne, wystrzępione łachmany żywo kontrastowały z białymi szatami trzech kapłanów, przyglądało się pilnie wszystkiemu wyjąc i potrząsając włóczniami.

— Nigdy za bardzo nie lubiłem Akiro — wyznał słabym głosem Malak.

— Potrzebujemy go — odparł Conan. Popatrzył na Bombattę, nie zadając pytania, ale Zamorańczyk wyczytał je w jego oczach.

— Nie, barbarzyńco. Jeśli to człowiek, którego szukałeś, to wyłącznie twoja sprawa.

— Dlaczego tylko gadacie — zapytała ze złością Jehnna — zamiast pomóc temu biedakowi? Bombatto?

— Moim obowiązkiem jest strzec ciebie, dziecko. Miałbym zabrać cię pomiędzy tych dzikusów, czy może zostawić samą tutaj, podczas gdy w pobliżu mogą kryć się inni?

— Możemy jeszcze jechać do Arenjum — zasugerował Malak.

— Jedź prosto do Akiro, Malaku. — Conan dobył miecza. Zachodzące słońce zabłysło krwawo na ostrej stali. — Nie wytrzyma długo w tych płomieniach — mówiąc te słowa, ścisnął boki wierzchowca i pognął w dół.

— Donarze, ratuj! — wyjął Malak. — Conanie, pomyśl, co to za ludzie, skoro udało im się pojmać czarnoksiężnika! — mamroczał modlitwy do dziesiątki różnych bogów, mały złodziej puścił wodze luzaka i pogalopował za Cymmerianinem.

Conan szarżował w milczeniu, a wrzaski i śpiewy zebranych niżej wojowników zagłuszyły tętent końskich kopyt.

Wierzchowca wpadł między nich niczym okręt rozbijający fale i rozrzucił na boki. Ci, którzy nie ponieśli szkody, natychmiast zniżyli włócznie i rzucili się ku Conanowi, ale on na razie nie zwracał na nich uwagi. Skupił się na kapłanach w białych szatach, którzy nie przestając śpiewać nie spuszczały oczu z Akiro. Zapewne odprawiali jakieś czary i Cymmerianin uznał, że jeśli chce uratować Akiro, to musi położyć temu kres.

Środkowy z trzech czarowników padł z wrzaskiem stratowany kopytami wierzchowca.

Rozległ się okropny chrzęst łamanych kości. Wielki młodzieniec nie miał żadnych skrupułów, atakując przeciwników od tyłu. To nie była zabawa. Ci ludzie mieli zamiar zabić jego przyjaciela i musiał ich powstrzymać za wszelką cenę.

Kapłan po prawej wyciągnął z obszernego rękawa długi sztylet. Cymmerianin nie potrafił oderwać od człowieka przerażonego wzroku nawet w chwili, gdy uniósł miecz. Ściągnięte dziko wargi kapłana obnażyły spiłowane zęby, ostre niczym wilcze kły. Na jego szyi wisiał naszyjnik z ludzkich rąk. Małych rąk. Dziecięcych.

Conan wydał pierwszy dźwięk od czasu rozpoczęcia szarży, a był to ryk gniewu. Ciął we wstrętny, wyszczerzony pysk. Czarownik z charkotem runął w tył. Szponiaste ręce zacisnęły się na zmasakrowanej twarzy. Krew trysnęła między drżącymi palcami i splamiła szkarłatem białą szatę.

Potem Conan nie miał już czasu myśleć o czarowniku, ani o tym, ani o pozostałym, który jakby zapadł się pod ziemię. Tubylcy, na początku stojący jak sparaliżowani, teraz rzucili się do ataku.

Cymmerianin złapał pierwszą włócznię tuż za ostrzem, wydarł ją z rąk zaskoczonego człowieka i w chwilę później rozplątał mu gardło mieczem. Drzewcem odbił w bok inną, jednocześnie ścinając trzecią. Desperacko obrócił zdobyczną broń i zatopił długi szpic w twarzy jednego z napastników. Mieczem rozłupał po oczy czaszkę następnego. Trzech obdartusów padło w mgnieniu oka, a pozostali cofnęli się niepewnie. Było ich tylu, że z powodzeniem mogli pokonać Cymmerianina, ale z pewnością zginęłoby kilku następnych. Widzieli śmiertelność skuteczną poczyną potężnego młodzieńca i żaden nie palił się, by zaatakować jako pierwszy. Po chwili ruszyli ławą, nerwowo szurając nogami. W ich ciemnych oczach płonęła mieszanina strachu i wściekłości.

Conan, nie odrywając oczu od powoli nacierających włóczników, zsunął się z konia na ziemię. Nie powinien był tego robić, bo długie włocznie zapewniały im zbyt dużą przewagę. Co nie znaczy, powiedział sobie z krzywym uśmiechem, że mniejsze znaczenie ma stosunek sił wynoszący siedemnaście do jednego. Najlepiej było przejąć inicjatywę. Spojrzał bacznie na nierówny szereg, wybrał najsłabsze miejsce i sprężył się do ataku.

Nagle obok jego ramienia przemknęła kula ognia. Trafiła obszarpanego włócznika w twarz i eksplodowała, siejąc wokół strzępami spalonego ciała.

Conan odskoczył mimo woli i obejrzał się. Malak, szczerząc się jak ostatni głupek, podskakiwał obok stosu. Przed małym złodziejem stał Akiro, którego bura tunika z szorstkiej wełny i spodnie obwiązane rzemieniami w tydkach tliły się gdzieś gdzie. Usta starego czarownika poruszały się, jakby śpiewał, ale Conan nie usłyszał ani słowa. Ręce, okryte suchą jak pergamin skórą, rysowały w powietrzu skomplikowany wzór. Nagle mag klasnął, a kiedy znów rozsunął dłonie, pomiędzy nich wystrzeliła kolejna ognista kula. Bez namysłu wznowił kreślenie tajemniczych znaków, ale nie było to już konieczne. Dwa trupy z osmolonymi kikutami w miejscach głów okazały się aż za dobrym ostrzeżeniem. Wyjący z przerażenia obszarpancy rzucili włocznie i na złamanie karku uciekli w pogłębiający się mrok. Ich krzyki szybko ucichły.

— Bękarty, splodzone przez zarażone wielbłądy! — zaklął Akiro. Zerknął na ręce, podmuchał na nie i otrząpał. Jego siwe włosy i długie wąsy sterczały we wszystkie strony.. Przygłodził je ze złością. — Dam im taką nauczkę, że wnuki ich wnuków będą się trzęsły na wzmiankę mego imienia. Sprawię, że krew im zamarznie, a kości będą drżały niczym galareta.

— Akiro! — zmitygował go Conan. Malak słuchał słów maga zachłannie i z widoczną rozkoszą.

— Ześlę na nich plagę czyraków, które będą żarły ich tyłki do trzeciego pokolenia! Sprawię, że stada im wyzdychają, przyrodzenia pousychają, a zęby wypadną!

— Akiro — powtórzył Conan.

Żółtoskóry mag potrzęsnał pięścią w kierunku uciekających obdartusów.

— Twierdzili, że oczerniam ich bogów. Bogów! — skrzywił się i splunął. — Głupi szamani, którzy nie potrafią rozpoznać pierwiastka ognia, nawet gdy mają go przed oczami. Powiedziałem im, że jeśli złożą w ofierze jeszcze jedno dziecko, sprowadzę pioruny na ich głowy i, na Dziewięciokrotną Ścieżkę Mocy, zrobię to!

— Może ci się nie udać — wtrącił z powątpiewaniem Malak. — Chodzi mi o to, że potrafili cię związać i na wpół upiekli. Może lepiej daj im spokój.

Twarz Akiro znieruchomiła.

— Nie bój się, Malaku — rzekł uprzejmie. — Nie pozbawię cię przyrodzenia.

Malak rzucił się do tyłu zasłaniając pachwinę rękami i wytrzeszczając oczy na maga.

— Czyżbym dostrzegł na twym szlachetnym obliczu stosowny szacunek? — zapytał łagodnie Akiro — Jeżeli tak, to opowiem, co mi się przytrafiło. Ci trzej szamani, którzy śmiało mienić się kapłanami, zdołali rzucić na mnie czar w czasie snu. Pośledni czar, ale dzięki niemu ich pomagierzy mogli mnie spętać — jego głos twardniał stopniowo i z każdym słowem stawał się coraz bardziej piskliwy. — Związali mi ręce, nie mogłem więc wykonać żadnego gestu. Wepchnęli mi w usta szmaty — przerwał i splunął ze wstrętem — nie mogłem tedy wyrzec słowa mocy. Potem stwierdzili, że złożą mnie w ofierze swoim bogom. Jakim bogom! Ja im pokażę bogów! Nim skończę z nimi, stanę się co najmniej demonem w ich

panteonie! Ja... To dziewczyna?

Conan zamrugał. Postanowił już, że pozwoli Akiro się wygadać — była to jedyna rzecz, jaką można było zrobić, gdy stary zaczynał swe opowieści. Teraz zaskoczyła go nagła zmiana tonu i tematu. Zobaczył, że Bombatta sprowadza Jehnnę ze wzgórza. Oboje byli ledwo widoczni w ciemności i gdyby Conan tego nie wiedział, mimo swego sokolego wzroku wolałby się nie zakładać o to, który z tych niewyraźnych cieni jest kobietą.

— Ona jest niewinna — rzekł Akiro, a Malak wybuchnął przeraźliwym śmiechem.

— Czyżbyś umiał na odległość stwierdzić, że ona nigdy...

— Zamilcz, Malaku! — szczerknął starzec. — To nie ma nic wspólnego z ciałem. To kwestia ducha i to jest okropne.

— Okropne?! — zawołał Conan. — Nie wybrałbym tego dla siebie, ale czemu zaraz okropne?

Akiro pokiwał głową.

— Ktoś taki musi być chroniony niczym małe dziecko. Tak długo, dopóki nie zdobędzie pewnej wiedzy o świecie, w przeciwnym razie stanie się jego ofiarą. Taka niewinność rzadko występuje w stanie naturalnym. W większości przypadków wybrana osoba jest specjalnie wychowywana dla jakichś czarnoksiężskich celów.

— Wychowana... — mruknął Conan ściągając w zdumieniu brwi.

Z dala od chaty i leżących przed nią ciał Bombatta pomógł Jehnnie zsiąść z konia.

Wojownik w czarnej zbroi ustawił się między dziewczyną a pobojuwiskiem, nie pozwalając jej na nie patrzeć.

— Valeria — rzekł Akiro.

Cymmerianin drgnął jak oparzony.

— To z jej powodu do ciebie przyszedłem.

— Czekaj! — Akiro wpadł do swej rudery. Z wnętrza dobiegły przekleństwa i przeraźliwy rumor. Po chwili wrócił i podał Conanowi mały flakonik z wypolerowanego kamienia, zapieczętowany woskiem. — To dla Valerii — powiedział.

— Rozumiem.

Akiro ściągnął usta i szarpnął się za wąsy, jedną ręką za prawy, drugą za lewy.

— Długo zastanawiałem się nad twym zmartwieniem, Cymmerianinie. Rzuciłem Kościmi Przeznaczenia, czytałem w gwiazdach, pytałem kart K'far, a wszystko po to, by znaleźć jego rozwiązanie.

— Już nie mam tego zmartwienia, Akiro. Przynajmniej...

— Nie próbuj udawać — uciął czarnoksiężnik. — Jak mam ci pomóc, skoro nie mówisz mi prawdy? Życie Valerii i twoje zostały nierozwiązalnie związane. Niegdyś była ona twoją kochanką i towarzyszką w boju. Umarła za ciebie, a istniejąca między wami więź była tak silna, że nawet śmierć nie mogła powstrzymać Valerii przed przybyciem ci na ratunek.

Cymmerianinie, tak wielka więź między życiem a śmiercią jest niebezpieczna. Valeria przecięłaby ją sama, gdyby to potrafiła, ale pewna wiedza jest niedostępna dla tych, którzy stoją po drugiej stronie.

— Akiro, nie chcę przecinać tej więzi.

— Słuchaj mnie, uparty człowieku z Północy. W tym przypadku nie można wyrąbać sobie drogi mieczem. Wiem, jakie będzie twoje przeznaczenie, gdy mnie nie posłuchasz. Karty, kości i gwiazdy są zgodne. W końcu ta więź przemieni cię w żywego trupa. Znajdziesz się w pułapce między światem żywych a światem umarłych, ale ani w jednym, ani w drugim, i pozostaniesz tam do końca czasu! Może cię uratować jedynie zapomnienie. Wiele zachodu kosztowało mnie sporządzenie tej oto mikstury. Ona wymaże z twojej pamięci wszystkie wspomnienia o Valerii. Nie pozostanie nic, co by się z nią wiązało. Uwierz mi, Cymmerianinie, gdyby Valeria wiedziała, przed jakim stoisz wyborem, sama bez wahania kazałaby ci wypić zawartość tej flaszki. Ona nie wzdragała się przed podejmowaniem trudnych decyzji.

— A gdyby Valeria wróciła raz jeszcze? — zapytał cicho Conan. — Nie na parę chwil, jak wcześniej, ale tak by przeżyć resztę należnego jej życia. Co wtedy, Akiro?

Pulchny mag milczał przez dłuższy czas. Przeniósł wzrok na Jehnnę i powoli oblizał usta.

— Myślę, że trzeba uprzętnąć te ciała i zjeść wieczerzę — rzekł w końcu. — Muszę mieć pełen brzuch, by wysłuchać tego, co masz mi do powiedzenia.

VIII

Stary czarownik nie chciał wziąć z powrotem swego flakonika i Conan w końcu wepchnął go do sakiewki u pasa. Potem on i Malak odciągnęli trupy. Akiro wykręcił się skargami na

bóle w krzyżu i wiekowe kości, chociaż pod warstwami tłuszczu kryły się dość pokaźne mięśnie. Bombatta z kolei odmówił pozostawienia Jehnny ani przyprowadzenia jej na tyle blisko, by dziewczyna zobaczyła, co wielki Cymmerianin i jego przyjaciel włoką na dalekie zbocze wzgórza.

Akiro powiedział, że musi się najeść i teraz upierał się przy tym. Upolowane rankiem króliki zostały nadziane na rożny i upieczone, a w chacie znalazł się kosz do połowy napełniony małymi, korynckimi pomarańczami. Wreszcie ogryzono ostatnie kości i ciśnięto pomarańczowe skórki do ognia, który rzucił ruchliwą, złotą plamę światła na ścianę chaty. Bombatta wyjął z sakwy osetkę i zaczął wodzić nią po kłindze szabli. Malak ku uciesze Jehnny zaczął żonglować trzema pomarańczami, chociaż co chwilę jakaś spadała mu na ziemię.

— To część sztuczki — wyjaśnił mały złodziej, po raz czwarty podnosząc upuszczony owoc. — Idzie o to, by robione później rzeczy wydały się tym wspanialsze.

Akiro dotknął ramienia Conana i ruchem głowy wskazał mu ciemność. Dwaj mężczyźni odeszli od ognia. Jehnna i Bombatta chyba nie zwrócili na to uwagi.

Kiedy znaleźli się na tyle daleko, że ich głosy nie docierały do chaty, Akiro powiedział:

— Teraz powiedz mi, w jaki sposób Valeria ma wrócić do życia.

Conan spojrział podejrzliwie na pulchnego maga. W świetle księżycy nie mógł dokładnie widzieć jego rysów. Czarnoksiężnicy mieli własne metody i własne cele, nawet ci najłagodniejsi. A niewielu można było nazwać łagodnymi. Nawet Akiro, z którym Conan już wędrował, w znacznej mierze stanowił dlań zagadkę. Lecz z drugiej strony, czy na tym świecie był ktokolwiek, komu mógłby całkowicie zaufać?

— Taramis — zaczął — księżniczka królewskiej krwi, obiecała oddać mi Valerię. Nie jako cień ani ożywionego trupa, ale jako żywą osobę, taką jaka była.

Czarnoksiężnik milczał przez jakiś czas, gładząc długie wąsy okalające mu usta.

— Nie przypuszczałbym, że w dzisiejszych czasach istnieje ktoś o tak potężnej mocy — rzekł wreszcie. — A zwłaszcza nie spodziewałbym się, że tą osobą jest księżniczka z królewskiego domu Zamory.

— Myślisz, że kłamie? — westchnął Conan, ale Akiro potrząsnął głową.

— Może nie. Jest napisane, że Malthaneus z Ophiru robił takie rzeczy tysiąc lat temu, i prawdopodobnie Ahmad Al-Rashid w Samarze dwakroć dawniej. Być może nadszedł czas, by świat raz jeszcze zobaczył takie cuda.

— A zatem według ciebie Taramis może zrobić to, co obiecała.

— Oczywiście — kontynuował zamyślony Akiro — Malthaneus był największym praktykiem białej magii od czasu, gdy rozpadł się Krąg Ścieżki Prawej Ręki, a było to jeszcze przed upadkiem Archeonu. Sęk w tym, że Al-Rashid, jak się mówi, był po trzykroć błogosławiony przez samego Mitrę.

— Skaczesz wokół sedna niczym małpa! — warknął Conan. — Nie możesz powiedzieć jednego i tego się trzymać?

— Mogę powiedzieć, że takie rzeczy były robione w przeszłości. Mogę powiedzieć, że Taramis być może jest w stanie to powtórzyć... — Akiro przerwał i Conan spostrzegł, że siwe, krzacaste brwi maga ściągnęły się podejrzliwie. — Ale dlaczego miałyby to zrobić dla ciebie?

Cymmerianin w jak największym skrócie powiedział, dlaczego towarzyszy Jehnnie, wspomniawszy o kluczu, skarbie i dodał, że pozostało niewiele czasu.

— Stygijczyk... — mruknął Akiro, wysłuchawszy opowieści Conana. — Mówi się, że w tych ludziach drzemie iskra dobra, ale nigdy nie spotkałem Stygijczyka, któremu ufałbym przez czas dłuższy niż ten, jakiego trzeba na obrócenie się dokoła.

— Musi być potężnym czarnoksiężnikiem — powiedział Conan. — Bez wątpienia zbyt potężnym dla ciebie.

Akiro zaśmiał się chrapliwie.

— Nie próbuj mnie podpuszczać, młokosie! Taki stary wróbel jak ja nie złapie się na takie plewy. Miałem już do czynienia z równie przekłętymi czarnoksiężnikami.

— Nie chciałbym, żebyś opuścił nasze towarzystwo, Akiro.

— Jestem za stary na włóczenie się po górach, Cymmerianinie. Chodź, wróćmy do ognia. Noce są zimne, a ogień daje ciepło — siwowłosy mag zacierając ręce ruszył w kierunku chaty. Nie czekał na Cymmerianina.

— Przynajmniej Bombatta się uspokoi — mruknął Conan. — On boi się, że Malak albo ty zniweczycie jakąś część proroctwa ze Skelos.

Akiro zamarł z jedną nogą w powietrzu. Powoli odwrócił się do wielkiego młodzieńca.

— Skelos?

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Tak, Zwoje ze Skelos. Mówią, co trzeba znaleźć i w jaki sposób, przynajmniej tak utrzymuje Taramis. Słyszałeś o nich?

— Martwy od wieków taumaturg — odparł Akiro — spisał wiele tomów czarnoksiężskiej wiedzy. Dzisiaj wszystkie są równie rzadkie jak dziewice w Shadizar — intensywnie wpatrzył się w twarz Conana. — Taramis ma Zwoje ze Skelos?

— Cytowała je tak, jakby miała. Dokąd idziesz?

Akiro ruszył w kierunku chaty z chyżością, która zdecydowanie przeczyła jego wcześniejszym narzekaniom.

— Czasu jest mało, jak sam powiedziałeś! — zawołał przez ramię. — Trzeba ruszyć w góry przed pierwszym brzaskiem. Muszę się wyspać!

Conan z uśmiechem podążył za nim. Czasami, pomyślał, najlepszą pułapką okazuje się ta zastawiona nieumyślnie.

Kiedy Cymmerianin podszedł do ogniska, Jehnna siedziała patrząc w płomień rozmarzonymi oczami. Bombatta nadal przesuwając osetkę po ostrzu zerkając z irytacją na Malaka, który rozłożył się pod kocem i chrapał jak najęty. Z jego otwartych ust co chwilę dobywał się odgłos przypominający trzask dartego żaglowego płótna. Jak się wkrótce okazało, wojownik o poznaczonej bliznami twarzy nie był jedynym, któremu przeszkadzały te dźwięki. Z wnętrza chaty dobiegały gniewne pomruki, wśród których dało się rozróżnić słowa:

— ...muszę się wyspać, ...stare kości, ...jak wół o wzdętym brzuchu.

Nagle w drzwiach pojawiła się pomarszczona twarz Akiro. Jego wzrok padł na Malaka, a usta poruszyły się bezgłośnie. Chrapanie ucichło jak ucięte brzytwą. Mały złodziej wyprostował się gwałtownie i przestraszony rozejrzał wokół siebie. Czarnoksiężnika nie było już widać. Malak z wahaniem, macając gardło, znów ułożył się do snu. Jego oddech pogłębił się szybko, ale nic nie zagłuszało teraz trzasku płonącego ognia. Chwilę później chrapanie zaczęło dobiegać z chaty. Jehnna zachichotała.

— Pojedzie z nami?

— Tak. — Conan usiadł przy niej. — Wyruszymy przed wschodem słońca.

— Tym razem w kierunku wskazanym przeze mnie?

— Tak.

Patrzyła na niego. Jej oczy sprawiały, że czuł się niezwykajnie skrępowany. Nie, żeby nie miał doświadczenia z kobietami. Radził sobie z zuchwałymi służącymi i młodymi żonami starych kupców, z bezczelnymi ładacznicami i szlachciankami o gorących ustach. Ta dziewczyna była nie tylko dziewicą. Była niewinna, jak to określił Akiro, i Conan pomyślał, że to odpowiednie słowo. Jednakże jedna rzecz nie pasowała do tego opisu.

— Rano — powiedział — kiedy Bombatta i ja mieliśmy zamiar wziąć się za łby, zmieniłaś się, przynajmniej na chwilę. Zachowałaś się jak Taramis.

— Przez chwilę byłam Taramis. — Conan otworzył szeroko oczy ze zdumienia, a ona zachichotała. — Och, nie naprawdę. Nie chciałam, żebyście z sobą walczyli, więc wyobraziłam sobie, że jestem własną ciotką, a wy kłócącymi się służącymi.

— Nie jestem sługą! — rzekł ostro Conan.

Jehnna wyglądała na zaskoczoną.

— Dlaczego zachowujesz się jak obrażony? Przecież słyszysz mojej ciotce i mnie.

Bombatta się nie obraża, a przecież jest sługą Taramis.

Szmer osetki na ostrzu ucichł nagle.

— On może sobie giąć kolana, jeśli ma na to ochotę — powiedział Conan. — Ja wynajmuję swój miecz na jeden czy dziesięć dni, ale nie jestem sługą żadnego mężczyzny, kobiety ani boga.

— Mimo wszystko cieszę się, że mi towarzyszysz. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek zamieniła więcej niż dwa słowa z kimś innym niż ciotka, Bombatta czy moje pokojówki. Ty jesteś inny i taki ciekawy. Tutaj wszystko jest inne i interesujące. Niebo, gwiazdy i tak wiele mil otwartej przestrzeni.

Conan spojrzał w jej brązowe oczy i poczuł się setki lat starszy od niej. Pomyślał, że jest najładniejszą ze wszystkich znanych mu dziewcząt i zupełnie nie zdaje sobie sprawy, jakie uczucia może wzbudzić w mężczyźnie.

— To niebezpieczna kraina — mruknął. — A góry są jeszcze gorsze, nawet bez tego stygijskiego czarnoksiężnika. Nie ma w nich miejsca dla ciebie.

— Takie jest moje przeznaczenie — rzekła z prostotą.

— Dlaczego? Bo tak jest napisane w Zwojach ze Skelos?

— Bo noszę znak. Popatrz.

Na jego wytrzeszczonych ze zdumienia oczach Jehnna zsunęła szatę z ramion. Jej

sterczące oliwkowe piersi obnażyły się prawie aż po sutki. Słodkie pagórki, stworzone po to, by znaleźć gniazdo w męskich dłoniach, pomyślał Cymmerianin, czując nagłą suchość w gardle.

— Widzisz? — zapytała Jehnna. — Tutaj. Znak, który noszę od urodzenia, mówiący o moim przeznaczeniu. Jest on opisany w zwojach. Sami bogowie mnie wybrali!

Conan zobaczył między piersiami znamię. Czerwona ośmioramienna gwiazda była nie większa od czubka męskiego kciuka i tak kształtna, jakby została wytatuowana przez najzręczniejszego artystę.

Nagle między nimi błysnęła zakrzywiona stal.

— Nie dotykaj jej, złodzieju! — syknął Bombatta. — Nigdy!

Conan otworzył usta, by odpowiedzieć mu ze złością, lecz zdał sobie sprawę, że rzeczywiście wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. Lśniące ostrze wisało przed jego palcami tak, jakby miał zamiar pogłodzić nie pierś dziewczyny, ale szablę. Wściekły na siebie, wyprostował się i z kamienną twarzą spojrzął Zamorańczykowi w oczy.

Jehnna przenosiła spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. Bez wątpienia myślała o czymś nowym i niepokojącym.

— Późno już — powiedział chrapliwie Conan. — Lepiej kładźmy się spać, bo jutro trzeba wcześniej ruszać.

Bombatta wyciągnął wolną rękę i pomógł Jehnnie wstać, przez cały czas trzymając ostrze pomiędzy nią a Cymmerianinem. Obaj mężczyźni w milczeniu mierzyli się wzrokiem.

Dziewczyna zerknęła strapiona na barbarzyńskiego młodzieńca, ale bez protestu pozwoliła otulić się kocami. Bombatta jak poprzedniej nocy usiadł obok niej na straży.

Conan, mruczając pod nosem przekleństwa, owinał się we własny koc. To głupota, powiedział sobie. Na świecie jest dość kobiet, by nie dać się usidlić dziewczynie, która nawet nie wie, co czyni. Była dzieckiem, bez względu na wiek. Zasnął i śnił o zmysłowej Taramis i nocy, jaką spędzili. Jednakże sen skończył się na tym, że w ramionach trzymał nie Taramis, ale Jehnnę. Była to noc, która nie przyniosła wypoczynku.

Ciemność spowiła Shadizar, a obwieszone gobelinami korytarze pałacu były puste, gdy Taramis wymknęła się ze swej sypialni. Jedynym towarzyszącym jej dźwiękiem był szesteł długiej jedwabnej szaty o wypolerowane płyty marmurowych posadzek. Astrologowie i kapłani wskrzeszonego przez Taramis starożytnego kultu często zbierali się w wielkiej sali, do której właśnie weszła księżniczka, ale tej nocy nie było tu nikogo.

Przemysłnie ocienione złote lampy w kątach komnaty rzucały łagodny blask przypominający księżycową poświatę. Odbijał się on w wypolerowanej do lustrzanego połysku posadzce z czarnego marmuru. Żłobkowane alabastrowe kolumny podtrzymywały wysokie, wygięte w łuk sklepienie. Było ono wyłożone onyksem oraz wysadzane szafirami i diamentami, co miało naśladować nocne niebo, takie jak wygląda ono w noc zdarzającą się raz na tysiąc lat.

Na środku komnaty pod tym fałszywym niebem stała sofa wycięta ze szkarłatnego marmuru, wypolerowanego włosami dziewic. Na niej spoczywała alabastrowa postać mężczyzny z zamkniętymi oczami. Był on nagi, o połowę większy od normalnego człowieka i przystojniejszy od najbardziej urodziwego śmiertelnika. Tylko jedna rzecz niweczyła tę doskonałość. W szerokim czole mężczyzny widniało zagłębienie głębokie na pół palca i szerokie jak męska dłoń. Posąg spowijała atmosfera ponadczasowego oczekiwania.

Taramis powoli zbliżyła się do marmurowej sofy. Jej spojrzenie błędziło po alabastrowej postaci. Oddychała coraz szybciej. W swoim życiu miała wielu mężczyzn. Pierwszego wybrała sobie starannie w wieku lat szesnastu. Znała ich tak dobrze jak komnaty własnego pałacu. Ale jak to byłoby być kochanką boga?...

Zsunęła szatę z ramion i naga opadła na kolana u stóp posągu. Zwoje ze Skelos nie wymagały do niej tego, ale ona pragnęła więcej, niż obiecywały.

Przyciskając twarz do zimnych, alabastrowych stóp wyszeptła:

— Jestem twoja, o wielki Dagothcie.

Ogarnęło ją pragnienie posunięcia się dalej niż dotychczas i deszcz pocałunków spłynął na stopy boga. Powoli pięta się w górę leżącej postaci, nie pomijając żadnymi ustami najmniejszego kawałka zimnego kamienia, pieściła go zmysłowym ciałem, dopóki nie spoczęła na nieruchomej postaci niczym na ciele mężczyzny. Drżącymi palcami sięgnęła do urodziwej twarzy i pogłodziła ją delikatnie.

— Jestem twoja, Dagothcie — wyszeptła — i będę twoja na wieki. Po twoim przebudzeniu wzniosę dla ciebie świątynię i każę zburzyć miejsca kultu innych bogów, ale będę kimś więcej niż twoją kapłanką. Twe boskie ciało połączy się z moim, a ja od tej pory

będę żyła w czystości, zachowując swe wdzięki wyłącznie dla ciebie. Zasiądę po twej prawicy i dzięki twej łasce otrzymam nieskończoną władzę nad życiem i śmiercią. Znów narody padną przed tobą na kolana, znów będą ci składać ofiary. Ślubuję ci to wszystko, o wielki Dagothcie, i ręczę za spełnienie przysięgi własną duszą i ciałem. Nagle oddech uwiązał jej w gardle. To, na czym leżała, nadal posiadało twardość kamienia, ale teraz było ciepłe jak żywe ciało. Nie śmiejąc w to uwierzyć, bojąc się, że może alabaster rozgrzało ciepło jej własnego ciała, niepewnie przesunęła dłońmi po szerokich, doskonałych ramionach. Wszędzie czuła ciepło. W tej samej chwili to odczucie zniknęło, a ostatnie wątpliwości Taramis rozwiązała nienaturalna szybkość tego zjawiska. Bóg dał jej znak. Jej propozycja została przyjęta — otrzymała to, o co prosiła. Uśmiechnięta księżniczka zasnęła na piersiach Śpiącego Boga.

IX

Barczysty młodzieniec zwężonymi oczami wpatrywał się w rozpościerające się przed nim cienie. Za plecami wędrowców słońce jeszcze nie wzniosło się na szerokość dwóch dłoni nad horyzont. Pół mili przed nimi z cieni wyłoniła się wysoka skalna ściana, pełna wąskich szczelin i żlebów, ale bez śladu przejścia na drugą stronę.

— Jehnno?! — zawołał Cymmerianin zerkając przez ramię.

Nie musiały niczego dodawać. Wszyscy zamilkli na widok tarasującej im drogę przeszkody i nawet smukła dziewczyna miała niezadowoloną minę.

— Musimy tędy iść — powtórzyła uparcie. — Wiem, że to właściwa droga. Prosto. Jestem pewna.

Conan trącił boki wierzchowca i pokłusował. Płonął z niecierpliwości, by zobaczyć, co na nich czeka, i na Croma, lepiej, żeby coś czekało!

Omiótł wzrokiem urwiska ciągnące się milę na północ i południe od miejsca, ku któremu jechali. W najniższym miejscu miały one co najmniej pięćdziesiąt kroków wysokości i zwieńczone były nawisem. Najwyższa część była dziesięć razy wyższa. Gdzieś tam jednolitą skałę cięły pionowe szczeliny i cieniste kominy, ale nic nie sugerowało istnienia jakiegось przejścia.

Wiedział, że mógłby się wspiać. Pokonywał już wyższe i bardziej strome urwiska w omiatanych wichrami górach rodzimej Cymmerii. Prawdopodobnie Malak mógłby zrobić to samo, może nawet Bombatta, ale Akiro zdecydowanie nie nadawał się do wspinaczki. Co do Jehnny, Cymmerianin doszedł do wniosku, że aby pokonać stromą ścianę, dziewczyna musiałaby mieć skrzydła. Skrzydła... zadumał się. Oczywiście prawdziwe skrzydła nie wchodziły w rachubę, ale może Akiro zdołałby rozwiązać ten problem. Może skorzysta ze swej mocy, by wynieść siebie i dziewczynę na szczyt skały, a pozostali pokonają ją w zwykły sposób.

Nagle zrozumiał, co leży wprost przed nimi. „Prosto” — powiedziała Jehnna, a właśnie tam widniała wąska szczelina. Nie była płytka jak inne, lecz wchodziła głęboko w skałę, ginąc za ostrym zakrętem po kilkunastu krokach. Conan nie był uszczęśliwiony tym widokiem. Skrzydła, pomyślał, byłyby dużo lepsze.

Popatrzył na innych. Ich twarze jasno dawały do zrozumienia, że zobaczyli to co on.

Nawet Bombatta krzywił się z powątpiewaniem, a Malak modlił półgłosem. Tylko Jehnna wyglądała na pewną siebie, lecz mimo to Cymmerianin nie zdołał powstrzymać się od zadania pytania:

— Tamtędy?

Dziewczyna zdecydowanie pokiwała głową, a on westchnął.

— Ja pójdę pierwszy — oznajmił i sprawdził, czy miecz łatwo wychodzi z podniszczonej skórzanej pochwy. — Malak za mną, potem Akiro i jucny koń, potem Jehnna. Bombatto, ty będziesz zamykał tyły. — Wojownik o pokiereszowanej twarzy skinął, dobywając szabli. — I uważajcie, co się dzieje na górze — dodał Conan, chociaż wiedział, że niewiele mogliby zrobić, gdyby ktoś zaczął spuszczać na nich głązy.

— Na Płonące Zęby Shakuru — zaklął kwaśno Malak. — A już mogliśmy być w Arenjun...

Conan nie odpowiedział. Wjechał w wąską szczelinę, a pozostali podążyli za nim. Niebo zawężyło się do wąskiego paska wysoko nad ich głowami, a wokół pociemniało tak, jakby zapadł już zmierzch. Ściany były oddalone od siebie ledwo na tyle, że mieścił się tylko jeden koń. Szare kamienie przesunęły się obok kolan jeźdźcy w odległości nie większej niż szerokość palca.

Musieli skręcać tyle razy, że Cymmerianin jedynie dzięki instynktowi wiedział, iż nadal

kierują się na zachód. Po pewnym czasie słońce wzniosło się i świeciło wprost nad ich głowami, rzucając kaskadę blasku do krętej szczeliny.

Nagle Conan ściągnął wodze i rozdał nozdrza.

— Co jest? — zapytał chrapliwie Bombatta.

— Nie masz nosa? — odpowiedział pytaniem Cymmerianin.

— Dym z palonego drewna — stwierdził Akiro.

— Tak — przyznał Conan. — I coś więcej, niż ognisko.

— Co robimy? — chciał wiedzieć Malak, a Conan parsknął krótkim śmiechem.

— A co możemy zrobić, mój przyjacielu? Pojedziemy dalej i zobaczymy, co się pali.

Minęli jeszcze trzy zakręty i wydostali się na otwartą przestrzeń. Znaleźli się w dolinie, w której leżała wielka wieś. Prymitywne chałupy stały wzdłuż zakurzonych ścieżek, których nie można było określić mianem ulic. Po drugiej stronie wioski Conan zauważył dziesięć słupów dymu wznoszących się z nad pogorzelsk. Kilko nagich dzieci wrzeszczało i tarzało się w kurzu razem z wychudłymi psami, podczas gdy obszarpani dorośli, równie brudni jak ich latorośle, wlepiali oczy w przybyszów. Patrzyli ze zdumieniem i czujnością.

— Naciągnij kaptur, Jehnno — powiedział cicho Cymmerianin.

— Jest gorąco — sprzeciwiła się dziewczyna, ale Bombatta założył jej kaptur, skrywając twarz dziewczyny w cieniu.

Conan skinął. Obcy mogli mieć kłopoty z przejechaniem przez wieś, a z pewnością nie było innej drogi. Pokazywanie, że jest wśród nich piękna dziewczyna, byłoby niepotrzebnym powiększaniem ryzyka.

— Nie zatrzymujcie się pod żadnym pozorem — nakazał Cymmerianin — dopóki nie znajdziemy się po drugiej stronie. — Wsparł dłoń na rękojeści miecza i ruszył. Jechali w takim samym porządku jak wewnątrz wąskiego przejścia.

— Malaku — rzekł Akiro — nawet jeśli widzisz tutaj coś upragnionego, staraj się nie kraść.

— Co? — Malak cofnął rękę od mijanego kosza fig. — Na Sutki Fidesy, starcze, nie jestem głupcem!

Śledziły ich podejrzliwe, chciwe oczy, które pieściły ich konie i broń, próbowały przeniknąć przez szatę Jehnny. Jednakże, jak na wielką wieś, zgromadzeni mężczyźni nie byli liczni. Dopiero gdy podróżni zbliżyli się do źródła dymu — dziesięciu kup popiołu, które niegdyś były chatami, Conan zrozumiał przyczynę. Mieszkańcy zebrali się tutaj, by przyglądać się brutalnemu przedstawieniu.

Sześciu żołnierzy w skórzanych napierśnikach i hełmach z czerwonymi grzebieniami pochylało włócznie. Tworzyli oni szeroki krąg wokół kobiety, która zaciskała ręce na kij wyższym od niej samej i grubym prawie na dwa cale. Jej czarna niczym polerowany heban skóra świadczyła, że kobieta pochodzi z dalekiego Południa. Na cały jej przyodziewek składały się dwie ciasno związane opaski — jedna na niewielkich piersiach, druga, nieco szersza, na biodrach. Gruby sznur zaciśnięty wokół kostki nie pozwalał jej oddalić się od białego w ziemię kołka.

— Ci ludzie nie są Zamorańczykami — powiedziała Jehnna. — A przecież jesteśmy w Zamorze, prawda?

Conan nie sądził, by była to właściwa chwila na wyjaśnianie dziewczynie sytuacji panującej na pograniczu. Tereny leżące na styku Zamory i Koryntii były uważane przez oba narody za swoje. Ich mieszkańcy płacili podatki tej stronie, która akurat przysłała żołnierzy, a gdy sytuacja ulegała zmianie, natychmiast odmawiali uznania jej zwierzchnictwa. Wojownicy z włócznie nosili znaki jednego z korynckich miast-państw.

Czarna kobieta, nie spuszczać oka ze śmiejących się żołdaków, schyliła się, by pomacać węzeł na kostce. Gdy jej palce dotknęły sznura, jeden z Koryntiańczyków skoczył do przodu, celując w nią włócznią. Kobieta odskoczyła na tyle, na ile pozwalał postronek, a kij w jej rękach zawirował jak żywy. Włócznie zatrzymał się ze śmiechem. Zastąpił go drugi, stojący za jej plecami. Kobieta znów zrobiła unik, lecz po chwili musiała umykać przed ostrzem trzeciej włóczni.

— Co zrobiła ta kobieta, by zasłużyć na takie traktowanie? — zapytała Jehnna. Conan zdusił przekleństwo i mocniej zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Jeden z gapiów otarł brudną twarz i wznosił na Jehnnę zaciekawione oczy.

— To bandytka — powiedział. Wykręcił szyję, próbując zobaczyć twarz skrytą pod kapturem. — Złapaliśmy jeszcze jednego i zabiliśmy go powoli, ale nim zdołaliśmy rozprawić się z nią, przybyli żołnierze.

— Oni zrobią to za nas — dodał inny, również starający się dojrzeć rysy Jehnny. Na jego czole, pod warstwą brudu widniał duży guz i siniak. — Ale nie powinni oddawać jej, tego

kija. Zabiła nim człowieka i prawie uciekła — oczy mówiącego przesunęły się z Jehnny na towarzyszących jej mężczyzn. Usta ściągnęły mu się w chytrym grymasie.

— Bombatto — zaczęła dziewczyna — musisz ich powstrzymać. Cokolwiek zrobiła, nie mają prawa tak jej traktować. To Koryntiańczycy, a my jesteśmy przecież w Zamorze.

— Bandyci i złodzieje zasługują na śmierć — odparł szorstko Zamorańczyk. — I czas jechać dalej! — Wyciągnął rękę, by złapać wodze jej wierzchowca, ale palce chwyciły pustkę, gdyż dziewczyna obróciła konia w stronę Conana.

— I ty także nic nie zrobisz?

Conan wciągnął głęboki oddech, ale przekleństwa niczego by nie rozwiązały. Spoglądało na nich coraz więcej wieśniaków — oceniali zachłannym wzrokiem wartość ich ekwipunku, usiłovali dojrzeć, czy Jehnna jest dość ładna, by nadawała się na sprzedaż. Tacy ludzie zazwyczaj nie byli niebezpieczni, ale bandycki napad i zabawa żołdaków wzburzyły w nich krew. Jeszcze chwila, a nie zwracając uwagi na obecność żołnierzy spróbują zapolować na nowe ofiary. Conan wiedział, że każda próba odjazdu może tylko przyspieszyć ich gwałtowną reakcję.

— Bądźcie w pogotowiu — rozkazał cicho.

— Niech Bel ma was w swojej opiece — wyszeptał Malak, gdy Conan wjechał koniem w tłum.

Zaintrygowani wieśniacy rozstępowali się przed nim, gdy parł w kierunku żołnierzy.

Niedbale skinął Koryntiańczykom i wjechał w ich krąg. Żołnierze popatrzyli ponuro po sobie, później na niego, najwyraźniej niepewni, czego chce. Conan wyciągnął miecz.

— Nie zabijaj jej, bo popsujesz zabawę! — krzyknął jeden z Koryntiańczyków.

Czarnoskóra kobieta cofnęła się płynnym ruchem na tyle, na ile pozwalał jej sznur, z kijem w pogotowiu i nieufnością w oczach.

Conan posłał jej uśmiech. Jego miecz błysnął w słońcu, przecinając pęta. Ich spojrzenia spotkały się. Kobieta stała nieruchomo niczym głaz. Cymmerianin stwierdził z podziwem, że w jej oczach nie ma strachu.

— Co on zrobił?! — zawołał jeden z żołnierzy. — Nie widziałem. Ciął ją?

Conan, nie bacząc na niepewne spojrzenia, jakimi obrzucali go Koryntiańczycy, niedbale wyjechał z kręgu. Czarnoskóra kobieta natychmiast skorzystała z okazji. Kij zajęczał w powietrzu, gdy rzuciła się do ataku. — Naprzód! — ryknął Conan.

Koniec kija strzaskał krtań jednego z żołnierzy, nim pozostali zdolali pojąć, że kobieta nie jest już uwiązana. Drewno w jej rękach załomotało na grzebieniastym hełmie, rzucając następnego na kolana, a potem zawirowało, wytrącając włócznię z rąk innego i miażdżąc mu twarz, czemu towarzyszył chrzęst kości i fontanna krwi.

Wieśniacy z wrzaskiem rozpierzchli się przed mieczem Conana i kopytami stojącego dęba wierzchowca. Bombatta usilnie starał się dosięgnąć wodzy rumaka Jehnny, podczas gdy dziewczyna broniła się przed tym jak mogła i wskazując na walczącą kobietę krzyczała coś, czego Conan nie mógł zrozumieć.

Trzej żołnierze wypadli z walki w czasie potrzebnym na kilkakrotne złapanie oddechu, a trzej pozostali zawahali się przed starciem z szalejącą kobietą. Ta wymachiwała długim kijem nad głową i wysokim głosem wykrzykiwała swe bojowe zawołanie. Żołnierze wymienili spojrzenia i jak jeden mąż rzucili się do ucieczki. Kobieta znów krzyknęła przesywając, lecz tym razem w jej głosie brzmiał triumf. Potem rzuciła się w pogoń za żołnierzami.

Conan ze złością wyszarpnął wodze z rąk Jehnny. Dziewczyna próbowała coś powiedzieć, ale on zmusił konia do galopu i pociągnął ją za sobą. Teraz mogła tylko zacisnąć ręce na wysokim łęku swego siodła. Wieśniacy potrząsali za nimi pięściami, a niektórzy nawet mieczami czy włóczniami, lecz nie uczynili najmniejszej próby, by ich ścigać.

Dopiero gdy wioska zniknęła za zakrętem doliny, Conan zwolnił i podał wodze Jehnnie.

Ona chwyciła je i przeszła go wściekłym wzrokiem. — Dlaczego zostawiliśmy tę kobietę? Ona...

— Ona ma więcej szans teraz niż przed godziną — parsknął Conan. — Jesteśmy tu po to, by ratować bandytów, czy by znaleźć klucz? — zmusił się do opanowania gniewu. Ta dziewczyna nawet teraz nie miała najmniejszego pojęcia o niebezpieczeństwie, na jakie ich naraziła.

Bombatta zaklął, słysząc cichnący tętent kopyt.

— Koryntiańczycy! Istnieje mała nadzieja, że nie wspomną o nas w swoim meldunku.

— Pominą tę ciemnoskórą kobietę — zauważył oschle Akiro — i podadzą, że było nas dwa albo trzy więcej. Ucieczka przed licznym oddziałem zbrojnych to jedno, a pokonanie przez jedną kobietę z kijem to zupełnie co innego.

Jehnna spoglądała na nich po kolei.

— Musieliśmy to zrobić — stwierdziła z uporem. — Ta kobieta z pewnością nie zasłużyła na takie traktowanie.

— Którędy dalej? — zapytał Conan, dysząc ciężko. Jehnna bez słowa wskazała kierunek. Nieskorzy do rozmów wędrowcy ruszyli w dalszą drogę.

X

Dolina ciągnąca się za wioską prowadziła do innej, ta do następnej, a trzecia do krętego, stromego wąwozu. Jego dno usłane było skalnym rumoszem. Zewsząd otaczały ich góry Karpash. Śnieżne czapy wieńczyły szare szczyty, a ciemne zbocza porośnięte były z rzadka karłowatymi drzewami.

Conan spojrzął na zachodzące słońce i policzył, ile czasu im zostało. Tylko trzy dni, a jeszcze nawet nie znaleźli klucza, nie wspominając o skarbie. A jeżeli nie wrócą do Shadizar z jednym i drugim przed wieczorem trzeciego dnia... Z ponurym wyrazem twarzy dotknął wyobrażającego smoka amuletu na piersiach.

Malak popędził konia i zrównał się z Cymmerianinem.

— Ktoś za nami jedzie, Conanie.

Conan skinął.

— Wiem.

— Tylko jeden, ale jest coraz bliżej.

— Zatem musimy mu to wybić z głowy — powiedział Conan. — Ty i Akiro jedźcie dalej z dziewczyną. Dogonię was — wstrzymał konia i zrównał się z ciągnącym na końcu Bombatta. — Jesteśmy śledzeni — powiedział ponuremu wojownikowi.

— Wiem — odparł Bombatta.

— Przekonajmy go, by tego zaprzestał.

Bombatta spojrzął niepewnie na Jehnnę, po czym niechętnym skinieniem wyraził zgodę.

Gdy pozostali jechali dalej, dwaj mężczyźni skręcili w bok i zajęli miejsca po przeciwnych stronach doliny. Dwa wielkie głazy zasłoniły ich przed tym, kto podążał ich śladem. Jehnna wykręciła się w siodle, ale Conan ruchem ręki zakazał jej się oglądać. Gdy dziewczyna i jej dwaj towarzysze zniknęli za kolejnym zakrętem wąwozu, Conan wyciągnął miecz i oparł go na łąku. Nie musiał długo czekać.

Kamienie zagrzechotały pod końskimi kopytami, zapowiadając nadejście tajemniczego tropiciela. Conan skrzywił się słysząc hałas. Ten człowiek nie dbał o to, czy zostanie wykryty. Cymmerianin i Bombatta wymienili znaczące spojrzenia i przygotowali się do skoku.

W chwili gdy między ostaniającymi ich głazami pojawił się koński łeb, Conan uderzył konia piętami.

— Stój! — krzyknął w tej samej chwili i szczeka opadła mu ze zdumienia. Bombatta zaklął wściekle.

Kobieta o hebanowej skórze drgnęła niespokojnie i wyprostowała się w siodle. Jej koń dźwigał koryntiańskie wojskowe siodło, za którym przytroczony był skórzany wór na wodę.

— Jestem Zula — oznajmiła dumnie kobieta — wojownik Ludu Gór, który mieszka na południu kraju zwanego Keshanem. Chciałabym poznać imię tego, który uratował mi życie.

— Zwą mnie Conan — przedstawił się młodzieniec. — Wojownik z Cymmerii.

Zula spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Nigdy wcześniej nie widziałam takich oczu. Czy wielu mężczyzn w Cymmerii ma oczy jak szafiry?

— Niech Erlik porwie jego oczy! — zaklął Bombatta — i ciebie też, kobieto! Już wiesz, jak ma na imię. Ruszaj teraz swoją drogą i nie wchodź więcej w naszą!

Kobieta nawet na niego nie spojrzała. Sprawiała wrażenie, jakby wcale go nie słyszała.

— Pojadę z tobą, Conanie z Cymmerii. Może uda mi się spłacić życie, które mi dałeś.

Conan powoli potrząsnął głową. Ta rozmowa o zapłacie za uratowanie życia tak bardzo przypominała Valerię, że musiał to być omen, ale jaki?

— Nie uratowałem ci życia, lecz pozwoliłem uciec z tej wioski, żebyśmy sami nie musieli wycinać sobie drogi przez jej mieszkańców. Nie jesteś mi nic winna.

— Powody nie mają znaczenia — odparła. — Liczą się tylko czyny. I dzięki temu, co zrobiłeś, żyję i jestem wolna, a nie martwa czy w niewoli.

Nim Conan zdołał odpowiedzieć, podjechali Jehnna, Malak i Akiro.

Cymmerianin obrzucił swych towarzyszy miażdżącym spojrzeniem.

— Czy nie mówiłem, że was dogonię? A gdyby naszym tropem ciągnęło dwudziestu wieśniaków? To tak troszczycie się o Jehnnę?

Malak uśmiechnął się bez przekonania i nagle zainteresował się węzłem na postronku

jucznego konia. Akiro wzruszył ramionami i stwierdził:

— Jestem za stary, by zmuszać kobietę do robienia tego, czego nie chce.

— Nie bądź głupi, Conanie — powiedziała Jehnna. — Malak mówił, że jedzie za nami jeden człowiek, a ty przyznałeś mu rację — skierowała uwagę na Zulę. — Wieśniacy nazwali cię bandytką.

— Kłamali — odparła pogardliwie ciemnoskóra kobieta. — Cztery mile na południe leży mniejsza wieś, z której ci ludzie porwali kilka młodych kobiet. Wraz z innymi wojownikami wzięłam zapłatę za ich uratowanie. Podeszliśmy nocą i podpaliliśmy spichrze, by odwrócić uwagę tych psów, którzy nazywają siebie ludźmi. Znaleźliśmy kobiety, ale T'car, który był moim towarzyszem, został trafiony włócznią i nie mógł uciekać, a ja nie mogłam go zostawić. — I tak oboje zostaliście pojmami — odpowiedziała szybko Jehnna. — Postąpiłaś bardzo odważnie, zrobiłaś rzecz, o której mówią ballady.

— On był moim towarzyszem — rzekła z prostotą Zula.

Jehnna skinęła stanowczo, jakby podjęła decyzję.

— Pojedziesz z nami.

— Nie! — krzyknął Bombatta. — Na miłosierdzie Mitry, Jehnno, naprawdę chcesz zaryzykować? Pamiętaj o prorocत्वie!

— Nie pamiętam ani słowa, które by mówiło, że nie mogę mieć przy sobie kobiety. —

Jehnna mówiła zdecydowanie, ale zaraz odwróciła się do Conana. — Powiedz, że ona może ze mną jechać. Ty masz Malaka i Akiro. Ja mam tylko Bombattę, a on ostatnio na mnie krzyczy. Nigdy wcześniej tego nie robił.

— Przecież na tej korynckiej owcy nawet za nami nie nadaży — rzekł ze śmiechem Malak. Zula zmierzyła go zimnym wzrokiem.

— Wdepczę cię w ziemię, człowieczku, gdy tylko urośniesz.

Conan dotknął amuletu. Bombatta mógł mieć rację. Może rzeczywiście narażali na szwank spełnienie prorocтва i tym samym powtórne narodziny Valerii. Ale pozostawała jeszcze kwestia omenu. Trzeba spłacać zaciągnięte długi...

— Nie powiem nie — oznajmił wreszcie. Bombatta zaklął, ale Jehnna zagłuszyła go entuzjastycznym okrzykiem:

— Zatem pojedziesz ze mną i będziesz moją towarzyszką!

— Pojadę z Conanem — powiedziała Zula. — I z tobą też. — Jehnna uśmiechnęła się, jak gdyby nie zrozumiała różnicy podkreślonej przez czarnoskórą kobietę.

— Zatem ruszajmy wszyscy — przynaglił Conan i zawrócił konia w głąb wąwozu.

W purpurowym blasku klejnotu Amon–Rama przyglądał się wędrującym postaciom.

Dwoje więcej, pomyślał i skoncentrował się na grubym, żółtoskórym człowieku o siwych włosach i wąsach. Towarzyszyła mu moc. Czarnoksiężnik... Cienkie usta skrzywiły się w złowrogim uśmiechu. Za mała moc. Dostarczy mu tylko większej rozrywki.

— Chodź do mnie — wyszeptał. — Przyrowadź mi Jedyną.

— ...a kiedy już przywieziesz ten klucz i skarb do Shadizar — mówiła Zula — co potem?

Jehnna spojrzała ze zdumieniem na drugą kobietę. Nigdy o tym nie myślała.

— Chyba zamieszkać w pałacu, jak zawsze... — na jej twarzy pojawiło się niezadowolone. — Ale cóż innego mogłabym zrobić? To moje przeznaczenie — powiedziała stanowczo.

Zula tylko chrząknęła.

Jehnna, odczuwając niejasny niepokój, obejrzała się na żylastego, roześmianego Malaka, brzuchatego Akiro o mądrych oczach, a później na jadącego na przedzie barczystego Conana. Bombatta jak zwykle zamykał pochód, czujnie przepatrując skały skąpane w gasnącym, czerwonożłotym świetle, które zapowiadało nadchodzący zmierzch.

Jednakże ona myślała tylko o Cymmerianinie. Tak bardzo różnił się od tego, czego się spodziewała. Akiro, nawet Malak, mieli swoje miejsca w historiach opowiadanych przez pokojówki, ale wysoki przybysz z Północy nie dawał się wpasować pomiędzy przystojnych księciów. I to nie wszystko. Sprawiał, że ona sama czuła się jakoś inaczej, jak nigdy w życiu. Zdawało się, że jej uczucia nie mają nic wspólnego z tym, co jak sądziła, odczuwałaby, gdyby on recytował jej długie poematy. W każdym razie trudno byłoby wyobrazić sobie, że ten chmurny młodzieniec zrobiłby coś takiego. Albo że wręcza jej jedną purpurową różę i ociera łyzy, wyruszając w daleką drogę. Conan raczej posadziłby ją przed sobą na siodle i... i co? Nie była pewna, ale miała wrażenie, że byłoby to coś zupełnie odbiegającego od rzeczy wspomnianych w opowieściach.

Pomyślała, że Zula mogłaby służyć jej pożyteczną radą, ale nie chciała pytać wprost. Z

jakiegoś nieokreślonego powodu czuła skrępowanie. Ale może zdoła osiągnąć cel krok po kroku...

— Kobiety wojownicy — zaczęła nagle — są dla mnie czymś niezwykłym. Czy wszystkie kobiety w twoim kraju są wojowniczkami?

Zula pokiwała głową.

— Nasze góry są otoczone przez wrogów, a mój lud jest nieliczny. Jest nas zbyt mało, byśmy mogli żyć tak jak wy, gdzie tylko mężczyźni są wojownikami. U nas, jeżeli chcemy przeżyć, wszystkie kobiety muszą walczyć, nie tak jak u was, tylko te, które tego chcą.

— Nie wiedziałam, że w moim kraju są takie kobiety — powiedziała zaskoczona Jehnna.

— Czy ja mogłabym zostać wojowniczką? — Z pewnością byłoby to coś innego, niż spędzić resztę życia w ogrodach Taramis, pomyślała.

— Może — odparła Zula — gdybyś nie miała nic przeciwko ciężkiej zaprawie i gdyby nie brakło ci odwagi. To twarde życie i zawsze musiałabyś być przygotowana na śmierć. Twoją albo kogoś innego.

Smutek w głosie kobiety przypomniał Jehnnie o celu rozmowy.

— T'car — rzekła cicho. — Nazwałaś go swoim towarzyszem. Czy on był twoją...

prawdziwą miłością?

— To znaczy moim kochankiem? Tak, był moim kochankiem i pod każdym względem człowiekiem najlepszym, jakiego kiedykolwiek znałam.

— Jak... jak to się zaczęło? To znaczy między tobą a T'carem.

Zula roześmiała się, jakby naszyły ją najmiłsze wspomnienia.

— Pragnęło go wiele kobiet, bowiem był dumnym i przystojnym mężczyzną, ale ja powiedziałam im, że jeżeli chcą się z nim położyć, to najpierw muszą walczyć ze mną. Żadna z nich nie zdołała dotrzymać mi pola, a kiedy T'car to zobaczył, zabrał mnie do swojej chaty. Jehnna zamrugała. Nie brzmiało to jak żadna ze słyszanych dotąd historii.

— Więc ty po prostu zdecydowałaś, że on będzie twój i wybrałaś go. Czy mężczyźni to lubią?

— Niektórzy, dziecko, jeśli znają swoją wartość. Inni nie mają do tego odwagi.

— A którego z jadących z nami byś wybrała? Może Malaka?

Czarnoskóra kobieta parsknęła.

— Jeżeli to miał być żart, to nie ma w tym ani krzty wesołości. Wybrałabym Conana.

— Dlatego że uratował ci życie? — Jehnna poczuła ukłucie gniewu, którego nie potrafiła zrozumieć. — Dlaczego nie Bombatę?

— On chciałby być brutalny, bo myśli, że to czyni go silniejszym, jednak ja mogłabym nagiąć go do swej woli niczym trzcinę. Conan w tym samym czasie potrafi być silny i delikatny. On nie ugiąłby się łatwo, albo wcale. Dzielić postanie z mężczyzną zbyt miękkim to tak samo, jak spać z królikiem. — Zula zerknęła z ukosa na Jehnnę. Dziewczyna poczuła, jak na jej policzki wypływa rumieniec, a oczywiście rozbawienie czarnej kobiety pogłębiło go jeszcze bardziej. — Nie kłopotz się, dziecko. Nie będę próbowała ci go odebrać.

Jehnna spojrzała na nią z oszołomieniem w oczach.

— Odebrać go... ale on nie jest... to znaczy... — odetchnęła głęboko i poprawiła się w siodle prostując władczo jak Taramis. — Nie nazywaj mnie dzieckiem — rzekła lodowato. — Jestem kobietą.

— Oczywiście. Wybacz mi, Jehnno. — Zula zamilkła na dłuższą chwilę. — Wśród mojego ludu istnieje zwyczaj związany ze śmiercią ukochanego. Nie legnę z żadnym mężczyzną przez rok od śmierci T'cara. On, gdybym to ja zginęła, też stroniłby od łoża innych.

Teraz z kolei zamilkła Jehnna rozważając w myślach to, co usłyszała. Zdawało się, że niewielki z tego pożytek. Nie było kobiet, które mogłaby wyzwąć do walki o Conana, nawet gdyby umiała walczyć i nawet gdyby była pewna, że tego chce. Co do reszty...

— Zula, już trzy razy mówiłaś o położeniu się z mężczyzną. Co to znaczy?

Twarz czarnej kobiety wydłużyła się ze zdumienia.

— Na bogów! — wysapała. — Ty naprawdę jesteś dzieckiem.

Jehnna otworzyła usta, by odpowiedzieć ze złością i zamarła nie zamykając ich. Przed nimi wznosiła się kolejna góra, czy raczej połowa góry, gdyż jej szczyt zniknął dawno temu.

Nawet stąd było jasne, że wysokie ściany kryją ogromny krater.

— Conanie — wyszeptła, potem krzyknęła: — Conan! Klucz! Czuję, jak mnie ciągnie!

Klucz jest w tym kraterze! — gwałtownie zmusiła konia do galopu.

XI

— Jehnno, zaczekaj! — zawołał po raz dziesiąty Conan, ale wiedział, że jest już za późno.

Dziewczyna wyprzedziła ich znacznie i w chwili, gdy za nią krzyczał, minęła właśnie krawędź krateru i zniknęła wewnątrz.

Miotając przekleństwa pocwałował za nią tak szybko, jak się dało. Inni rozciągnęli się za nim w długą linię, ale nie mógł na nich czekać. Dotarł na krawędź i sapnął spojrzawszy w dół. Dno rozległego krateru zajmowała nieruchoma tafla jeziora, którego ciemny błękit mówił o wielkiej głębokości. Po obu stronach szklistej wody wznosiły się strome ściany, a od strony Conana ciągnęła się wąska plaża czarnego piasku. Na drugim brzegu jeziora wznosił się kryształowy pałac — niewiarygodna budowla, której widok sprawił, że Conanowi włosy zjeżyły się na karku. Dziewczyna była już w połowie drogi do wody.

Gdy zjechał na dół, zmęczony koń Jehnny pił chciwie z jeziora, a dziewczyna z napięciem spoglądała na odległe kryształowe wieże. Głębokość krateru sprawiała, że nad wodą panował już zmierzch.

— Klucz jest w tym pałacu? — zapytał Conan.

Dziewczyna z podnieceniem pokiwała głową.

— Tak. Czuję go, ciągnie mnie.

— Wobec tego musimy wyjechać z krateru i okrążyć go zboczami góry. Stąd nie ma innej drogi, chyba że wpaść.

Zaczęli pojawiać się inni, najpierw Bombatta i Zula, potem Akiro, a na końcu Malak z juczynym koniem.

— Wszystko w porządku, dziecko? — spytał Bombatta, a w tym samym czasie Zula zawołała: — Jehnno, nic ci się nie stało?! — Mężczyzna o poznaczonej bliznami twarzy i kobieta o hebanowej skórze spojrzeli na siebie z gniewem.

— To jest droga — powiedziała stanowczo Jehnna. — Właściwa.

— Ale jak? — zapytał Conan.

Nawet Bombatta patrzył z powątpiewaniem.

— Możemy zrobić objazd, dziecko. To nie czyni różnicy.

— To jest właściwa droga — powtórzyła Jehnna.

Nagle Malak zsunął się z konia i pobiegł w kierunku kępy sitowia. Wychodząc wyciągnął za sobą długie, wąskie czółno ze skór napiętych na drewniany szkielet. Pokazał pozostałym garść linek i kościanych haczyków.

— Wieśniacy dostarczyli nam sposób, co? — wyszczerzył zęby. — Rybak nie będzie miał nic przeciwko, jeśli pożyczymy jego łódź. Są tu też wiosła.

— Dobrze — mruknął Akiro — że ją znaleźliśmy. Może aż za dobrze.

— O co ci chodzi? — zapytał Conan.

Czarnoksiężnik szarpnął za długie siwe wąsy i zerknął na pałac, który skrzył się nadal, mimo że nie oświetlało już go słońce.

— Nie wydaje mi się, by mieszkańcy gór Kapash byli rybakami. A nawet gdyby, czy łowiliby w takim miejscu?

— Ale... ta łódź jest tutaj — wtrącił Malak. — Chyba wzrok cię nie myli.

— Mogą mnie zwodzić wszystkie zmysły — odparł uprzejmie mag — ale umysł nie. Co do łodzi, sądzę, iż ktoś wiedział, że przyjedziemy.

Mały złodziej sapnął i cisnął na ziemię linki do łowienia ryb tak, jakby to były węże.

Odszedł szybko od czółna i wytarł ręce w skórzany kaftan.

— Ten Stygijczyk wie, że przyszedliśmy? Na Pośladki Banby!

— Rozbijemy obóz, ale nie będziemy palić ognia — powiedział Conan, zeskakując z siodła. — Jeżeli on nie wie, że tu jesteśmy, głupotą byłoby się zdradzić.

— Musimy płynąć na drugą stronę — powiedziała Jehnna. — Natychmiast. Mówię wam, tam jest klucz.

— Rano też tam będzie — odparł Cymmerianin.

Dziewczyna z wyraźną niechęcią oderwała oczy od pałacu. Zacięła stanowczo usta, ale nim zdążyła się odezwać,

Conan podjął:

— Mam tyle samo powodów do pośpiechu co ty, Jehnno. Ale wyruszymy o świcie.

— Złodziej ma rację, dziecko — powiedział Bombatta. Wskazał na jezioro, którego wody ciemniały, w miarę jak gasło światło dnia. — Gdyby łódź się wywróciła, mogłabyś utonąć, zanim zdążyłbym cię znaleźć. Nie mogę ryzykować.

Jehnna popadła w ponure milczenie, a Conan podszedł do Malaka.

— Możesz odejść, jeżeli sobie życzysz. Uważaj klejnoty za swoje.

— Klejnoty? — powtórzył Bombatta, ale dwaj przyjaciele zignorowali go.

Malak zrobił krok w kierunku konia i zatrzymał się.

— Conanie, ja... Gdybyśmy chociaż mieli jakąś szansę... Przecież on wie, że tu jesteśmy.

Na Płonące Oko Balora! Słyszałeś, co powiedział Akiro.

— Słyszałem.

— Ty zostajesz? — zapytał Malak, a Conan skinął twierdząco. Mały złodziej westchnął ciężko. — Lepiej nie włóczyć się po tych górach w nocy — mruknął. — Odjadę rankiem.

— Skoro wszystko uzgodnione... — wtrącił Akiro i z westchnieniem zsunął się z siodła — jestem głodny. — Wbił pięści w krzyż i rozprostował się. — W jukach jest suszona baranina. I figi.

Gdy zajęli się przygotowywaniem obozowiska, wszystkich ogarnął ciężki, ponury nastrój. Krater wywierał przygnębiające wrażenie. Wszyscy zamilkli i pograżyli się w zadumie. Wkrótce konie zostały spętane, suszone mięso i owoce zjedzone. Była już głęboka noc. Jehnna owinęła się w koce, a Zula, ku zdziwieniu wszystkich, usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok jej postania i zaczęła nucić. Bombatta zazdrośnie zmierzył ją wzrokiem, ale piorunujące spojrzenie czarnej kobiety powstrzymało nawet jego.

Po wschodzie księżyca ciemności nieco się rozproszyły. Powietrze opalizowało nieziemską bledością, w której można było wyraźnie widzieć rysy twarzy. Conan i Akiro siedzieli samotnie i patrzyli przez ciemną wodę na pałac, który świecił w ciemności, a jednak niczego nie oświetlał. Przypominał diament na czarnym aksamicie zatrzymujący każdy błysk światła.

— Ten pałac mnie drażni — rzekł Cymmerianin. — Nie podoba mi się.

— To nie jest miejsce, które przypadłoby do gustu komuś nie będącemu czarnoksiężnikiem — odparł Akiro. Przesunął w powietrzu dłońmi, jak gdyby pieścił blade światło. — Wyczuwam strumień mocy płynący z samych skał. To miejsce, w którym zostały rozwiązane węzły utrzymujące świat w normalnym stanie. Tam bariery między możliwym a niemożliwym są słabe, odpowiednie imiona zaś mogą wezwać martwych.

Conan zadrżał.

— Z przyjemnością odjadę stąd do Shadizar wraz z poszukiwanymi przez Taramis rzeczami.

Przeszywający krzyk zerwał nocną ciszę. Jehnna szarpnęła się pod kocem. Patrzyła nie widzącymi oczami i krzyczała:

— Nie! Nie! Przestań!

Bombatta zerwał się z szablą w rękę, Malak zaś kłął i szamotał się z kocami, usiłując wydobyć sztylety. Zula przytuliła dziewczynę i mruzczała coś cicho.

Nagle Jehnna zarzuciła ręce na szyję czarnoskórej kobiety.

— To było straszne — zaczęła szlochać. — Przerazające!

— Sen — powiedział Bombatta chowając broń. Ukląkł obok dziewczyny i spróbował odciągnąć ją od Zuli, ale ona jeszcze mocniej do niej przywarła.

— To tylko sen, dziecko — rzekł łagodnie. — Nic więcej. Kładź się i śpij.

Znad ramienia dziewczyny Zula przeszła go zimnym wzrokiem.

— Sny są ważne. Mogą przepowiadać przyszłość. Ona musi go opowiedzieć.

— Zgadzam się — powiedział Akiro. — W snach często jest ziarno prawdy. Mów, Jehnno.

— To był tylko sen — warknął Bombatta. — W takim miejscu wszystko może się przyśnić.

— Mów! — powtórzył Akiro.

Jehnna, wtulona w ramiona Zuli, zaczęła opowiadać. W jej ciemnych oczach nadal błyszczało przerażenie.

— Byłam wtedy mała, ledwo umiałam chodzić. Przebudziłam się, zobaczyłam, że moja niania śpi i wyslizgnęłam się z mojej komnaty. Chciałam zobaczyć matkę. Biegłam wieloma korytarzami, dopóki nie znalazłam sypialni, w której spali moja matka i ojciec. Ich łoże stało na środku komnaty, otaczały je zwieszające się z sufitu przejrzyste zasłony. Widziałam ich, byli pograżeni we śnie. I zobaczyłam jeszcze jedną postać, jakby chłopca. Kucał w głowach łoża, patrząc na moją matkę i ojca. Przyćmione światło lamp połyskiwało dziwnie na rękach tej postaci. Jedną ręką wzniosła się i wtedy zobaczyłam... zobaczyłam sztylet. Sztylet opadł, a mój ojciec jęknął, jakby zraniony. Wtedy przebudziła się moja matka. Wykrzyknęła imię, lecz chwilę później błysnął drugi sztylet. Wszędzie była krew. Pobiegłam. Chciałam krzyczeć, ale było tak, jakbym straciła język. Mogłam tylko biec, biec i biec, i...

Zula potrząsnęła nią mocno, potem znów przytuliła dziewczynę.

— Już dobrze, Jehnno. Jesteś bezpieczna. Bezpieczna.

— Imię — ponaglił Akiro. — Jak ono brzmiało?

Jehnna zerknęła bojaźliwie znad oplatających ją ramion Zuli.

— Taramis — wyszeptwała. — Brzmiało Taramis. Och, dlaczego mam takie sny?

Dlaczego?

Wszyscy milczeli, dopóki Bombatta nie powiedział:

— To szaleństwo. Parszywy sen wywołany przez to parszywe miejsce. Nawet moje sny są nawiedzane przez rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły.

— To możliwe — rzekł w końcu Akiro. — Zajmiesz się nią? — zapytał Zulę.

Kobieta o hebanowej skórze skinęła i pogładziła włosy Jehnny. Zaczęła nucić jak wcześniej. Bombatta usiadł po drugiej stronie dziewczyny. Dwoje wojowników — mężczyzna i kobieta, patrzyli na siebie bez zmruczenia oka.

Conan w towarzystwie Akiro podszedł powoli na skraj czarnej, połyskującej wody, nie poruszonej nawet najdrobniejszą zmarszczką.

— Kiedy Jehnna ledwo nauczyła się chodzić — zaczął wolno Cymmerianin — Taramis mogła mieć jakieś szesnaście lat. Weszła właśnie w wiek odpowiedni, by zainteresować się tytułami i posiadłościami brata.

— Może to był tylko sen.

— Może.

Amon–Rama zajrzał w szkarłatną głębię Serca Arymana, ściągając z namysłem brwi na widok śpiących postaci. Nikt nie czuł po drugiej stronie jeziora opatulonego całunem nocy. Ostatni zasnął złotoskóry czarownik, spoglądający na niebo i próbujący — przywiódł to drwiący uśmiech na jastrzębią twarz maga — rozpoznać moce skupione w kraterze. Inni już od dawna oddychali głęboko i równo, nim khitajski czarownik wreszcie przygotował sobie posłanie. Ale teraz spał nawet on. Rankiem nadejdą, a wtedy...

Spojrzał groźnie. Rankiem. Czekał tak długo, a teraz pozostały tylko godziny, jednakże aż dygotał z niecierpliwości. Nic nie mogło pójść źle w ostatniej chwili. Dlaczego zatem czuł się tak, jakby mrówki strachu biegały mu po skórze?

Przestał się koncentrować na Sercu i żar stracił na sile. Nie chciał spędzić nocy na denerwującym oczekiwaniu. Pragnął położyć mu kres.

Szybko wyszedł z lustrzanej komnaty, przemierzył kryształowe korytarze, których złote ozdoby wprawiałyby w zachwyt królów, i wspiął się na szczyt najwyższej wieży pałacu. Stąd spojrzął w kierunku przeciwnego brzegu, starając się przesyć wzrokiem nienaturalnie bladą noc. Potem z fałd szkarłatnej szaty z kapturem wyjął czarną kredę ze spalonych kości zamordowanych mężów nasyconych ostatnim tchnieniem dziewic.

Szybko nakreślił gwiaździsty pentagram, nie zamykając go, by można było doń bezpiecznie wejść. Na czubku każdego z pięciu ramion wyrysował po dwa różne symbole.

Unosząc skraj szaty, żeby nie zmasać ani kawałka wzoru, gdyż to sprowadziłoby nieszczęście, wszedł do środka i dorysował brakujący fragment przekłętego rysunku. Zaczął monotonną inkantację, najpierw powoli, potem coraz szybciej, dopóki słowa nie przemieniły się w wycie. Potem już ich nie słyszał. Te słowa nie były przeznaczone dla ludzi. Jego ucho nie mogło ich wychwycić, a jedynie dzięki długim latom bolesnej praktyki mógł je wymawiać. W miejscu gdzie naruszone były więzi rzeczywistości, Amon–Rama wzywał duchy rozpadu.

Zdawało się, że blade nocy powoli skupia się wokół niego, gęstnieje, wiruje, spowija go i pochłania niczym słup dymu. Opar rósł i zmieniał kształt. Wtem załopotaly skrzydła, o rozpiętości równej wzrostowi czterech ludzi, a masywne szpony zarysowały twarde krysztal wieży. Na blankach przysiadł potężny ptak — ostrodzioby orzeł, złożony jedynie z wirującego, kłębiącego się dymu.

Wielkie skrzydła zatrzepotały, ale teraz nie rozległ się najcichszy dźwięk, jak gdyby były w powietrzu nie tego świata, i kolosalny kształt poszybował w noc. Leciał szybko, póki nie zatoczył kręgu ponad czarną plażą. Wtedy eteryczne skrzydła złożyły się i niesamowity ptak wylądował.

Bez błędnie, wprost przy szczupłej dziewczynie. Najłżejsze drżenie powietrza nie poruszyło koców czarnoskórej kobiety i mężczyzny o poznaczonej bliznami twarzy, śpiących po obu stronach Jehnny. Szpony zacisnęły się pewnie wokół jej szczupłego ciała, lecz ona nie przebudziła się ani nie dała znaku, że cokolwiek czuje.

Stworzenie z dymu wzbilo się w powietrze. Skrzydła zdawały się omiatać niebo, gdy demon mknął nad czarnym jeziorem w kierunku skrzającej się wieży. Wreszcie ptak wylądował na jej szczycie, a wówczas z powrotem przemienił się w kolumnę dymu. Dym zetknął się z pentagramem, zawirował i rozproszył się, odsłaniając Amon–Ramę ze śpiącą Jehnną w ramionach.

Czarnoksiężnik ostrożnie wymazał nogą część pentagramu, potem wyszedł z niego.

Nekromanta o martwych oczach, patrząc na śliczną twarzyczkę pogrążonej w nieprzerwanym śnie dziewczyny, uśmiechnął się uśmiechem, który przemknął jedynie przez jego usta.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

Kryształowe schody dźwięczące pod stopami czarnoksiężnika zawiodły go z powrotem w dół. Pośpieszył do komnaty luster i dalej, do komnaty różniącej się od wszystkich w tej roziskrzanej budowlu — komnaty nie przypominającej żadnej innej na powierzchni ziemi. Wszędzie w pałacu zawsze było światło i jasność, bez lamp czy słońca. Tutaj panował niezgłębiony mrok. Ściany wydawały się obwieszane kilimami utkanymi z najczarniejszych odcieni ciemności — o ile w ogóle były tu jakieś ściany, sufit czy podłoga, bowiem komnata zdawała się rozciągać w nieskończoność we wszystkich kierunkach. Rozjaśniały ją tylko dwie plamy światła. Jedną była jasność wejścia wiodącego ze zwierciadlanej komnaty, ale ta gasła raptownie przy samych drzwiach. Drugą był łagodny żar bliżej nieokreślonego źródła, który otaczał ogromne łoże zarzucone jedwabnymi poduszkami. Na nim to Amon–Rama złożył swe brzemię.

Patrzył na dziewczynę bez śladu uczuć w swoich płaskich, czarnych oczach, potem powoli przesunął dłonią po jej smukłej kostce i w górę, przez krągłe biodro i szczupłą talię do drobnych piersi. Taumaturgia już przed wiekami wypaliła w nim normalne pożądanie, ale pozostało jeszcze inne pragnienie, którego zaspokojenie dawało mu mroczną rozkosz. Na to jednak przyjdzie czas dopiero wtedy, gdy skończy zabawę z pozostałymi. Teraz, gdy Jedyna znalazła się ostatecznie w jego rękach, zniecierpliwienie zniknęło. Nadszedł czas przygotowań.

— Słuchaj mnie! — zawołał, a jego głos dotarł do najodleglejszego zakątka pałacu. — Niech zamkną się wszystkie drzwi i okna, niech nawet najmniejsza szczelina nie wpuszcza powietrza. Ja tak mówię, więc tak być musi!

Kryształowy pałac zadźwięczał niczym wielki dzwon i posłuchał rozkazu czarnoksiężnika.

— Zobaczmy najpierw, jak sobie z tym poradzą... — mruknął.

Zerknął po raz ostatni na nieruchome ciało Jehnny i wyszedł z komnaty. Kiedy zamknął za sobą drzwi, wewnątrz pozostała tylko jedna kałuża światła i Jehnna unosząca się w środku nieskończonej ciemności.

XII

Conan przebudził się, gdy w kraterze nadal zalegała nieziemska, opalizująca ciemność, ale Cymmerianin nie potrzebował oglądać bledniejącego na wschodzie nieba, by wiedzieć, że zbliża się świt. By przebyć jezioro o brzasku, musieli wstać wcześniej, tak więc obudził się o właściwej porze. Była to wielce przydatna umiejętność, aczkolwiek musiał przyznać, że wypicie zbyt dużej ilości wina czyniło ją bardzo trudną.

Odrzucił na bok koce i schował do pochwy miecz, który leżał obok niego przez całą noc. Wstał, ziewnął, przeciągnął się. I zamarł, gdy jego oczy padły na puste posłanie Jehnny. Szybko omiótł wzrokiem zbocza krateru nad obozowiskiem. Konie stały z opuszczonymi łbami, nadal pogrążone we śnie. Nic się nie poruszało.

Schylił się, by szturchnąć Akiro i Malaka.

— Zbudźcie się — wyszeptał. — Jehnna zniknęła!

Zostawił ich — Malak mamrotał coś niewyraźnie i kłął, Akiro zaś narzekał okropnie na stare kości. Cymmerianin podszedł tam, gdzie po obu stronach rozrzuconych koców Jehnny spali Zula i Bombatta. Spojrzał z wściekłością na zamorańskiego wojownika, pochrapującego cicho, i z rozmachem postawił nogę na jego piersiach.

Bombatta przebudził się z krzykiem przerażenia. Chwilę później jego ręka skoczyła do szabli.

— Zabiję cię, złodzieju! Ja...

— Jehnna zniknęła — rzekł lodowato Conan. — Wczoraj nieledwie przywiązałeś ją do siebie, a potem pozwoliłeś jej zniknąć. Może już nie żyje!

Wściekłość Bombatty zniknęła, gdy wojownik usłyszał pierwsze słowa. Wlepił ogłupiałe oczy w puste koce niczym ktoś, kto dostał maczugą po głowie.

— Konie są wszystkie — stwierdził Malak.

Wojownik w czarnej zbroi otrząsnął się z szoku.

— Jasne, że są! — ryknął. — Jehnna nie odjechałaby od swego przeznaczenia.

— Przeznaczenia?! — zawołała szyderczo Zula. — Ty nazywasz to jej przeznaczeniem? Dlaczego sama nie może go sobie wybrać?

— Jeżeli coś jej zrobiłaś... — wycedził Bombatta.

— Ja? — nastroszyła się czarnoskóra kobieta. — Nigdy nie zrobiłabym jej krzywdy! To ty myślisz, że ona jest zabawką, którą możesz bawić się tak, jak chcesz!

Blizny na twarzy wielkiego wojownika zajaśniały niczym białe krechy.

— Ty sparszywiłaś samico szakala! Posiekam cię...

— Później! — krzyknął Conan. — Teraz musimy znaleźć Jehnnę!

Napięcie między zacietrzewioną parą zelżało, ale nie zniknęło. Bombatta, warcząc niczym wściekły pies, schował na wpół wyciągniętą szablę, Zula zaś wyprostowała trzymany oburącz kij, krzywiąc się ze złości.

Akiro przykląkł obok koców Jehnny i zaczął wodzić nad nimi dłońmi. Jego usta poruszały się bezgłośnie, a oczy były zamknięte. Kiedy podniósł powieki, ukazały się zupełnie białe gałki. Malak odwrócił się szybko.

— Dziewczyna została zabrana przez ptaka — oznajmił starzec.

— Stary głupiec... — mruknął Bombatta, ale Akiro kontynuował jakby nigdy nic:

— Wielkiego ptaka z dymu, który poruszał się bezszelestnie. Uniósł ją w swoich szponach

— powieki mu opadły, a potem znów spojrzał na nich normalnymi oczami.

— Głupiec? — zwrócił się Conan do Bombatty. — Ty jesteś głupcem. I ja. Powinniśmy byli domyślić się, że Stygijczyk coś robi.

— Dokąd zabrał ją ten ptak? — zapytała Zula.

Akiro wskazał na kryształowy pałac.

— Tam, oczywiście.

— Zatem też musimy się tam udać — powiedziała.

Conan skinieniem przyznał jej rację. On i Bombatta jednocześnie pobiegli do czółna i rzucili je na wodę.

— Ale łódź może być zaczarowana — zauważył Malak. — Akiro tak powiedział.

— Musimy zaryzykować — odparł Conan. Stał po kolana w wodzie obok łódki. —

Wsiadać! Szybko!

Spiesznie zajęli miejsca. Zula w środku między Akiro i Malakiem, Conan i Bombatta na końcach. Wiosła w rękach wielkich mężczyzn głęboko wryły się w wodę i smukła łódź pomknęła jak strzała.

— Na Czarę Sigyna!! — zawył nagle Malak. — Zapomniałem! Przecież dziś odjeżdżam! Zawracajcie!

Conan nie zaprzestał rytmicznego wiosłowania.

— Wracaj wpław — rzucił krótko.

Mały złodziej spojrzał na otaczającą ich toń i zadrzał.

— Woda służy do picia — mruknął — a i to tylko wtedy, gdy zabraknie wina.

Nie było wiatru, a silni wioslarze nie oszczędzali się, więc skórzane czółno mknęło prawie nie dotykając wody. Fale wzbudzone przez łódź i wiosła rozchodziły się niewiarygodnie daleko, bowiem nic innego nie naruszało lśniącej powierzchni jeziora. Przed nimi wznosił się kryształowy pałac. Nad samą wodą widniał szeroki stopień, z pozoru jak najbardziej zwyczajny, ale tak jak reszta budowli zdawał się wycięty z jednego przeogromnego klejnotu. Słońce ukazało się nad krawędzią krateru i kolosalna budowla rozbłysła w orgii iskier.

Conan podprowadził łódź do kryształowego stopnia i przytrzymał ją, gdy inni wysiadali.

Kiedy i on znalazł się na połyskującym kamieniu, wyciągnął czółno z wody. Złodziej nie przeżyłby długo w Shadizar, gdyby nie przygotował sobie sposobu ucieczki. Jak na razie jezioro było spokojne, ale wolał nie ryzykować, że coś odepchnie łódź.

Zostawił czółno i skierował uwagę na pałac. Zobaczył gładkie, roziskrzane ściany. Daleko po prawej i lewej dostrzegł końce kryształowej kolumnady z wysokimi, karbowanymi filarami z przejrzystego kamienia. Wyżej wznosiły się jednolite szkliste mury zwieńczone żłobkowatymi kopułami i pnącymi się w niebo wieżycami.

— Fascynujące... — wymruczał Akiro, gładząc czubkami palców kryształową ścianę. —

Nie ma spoin. Zaiste, to jeden klejnot. Całość. Fascynujące.

— Lepiej, żeby to był zwyczajny marmur — rzekł szorstko Conan. — Wtedy mógłbym się wspiąć na górę. Chodźmy. Musimy znaleźć jakieś drzwi.

— Nie ma żadnych — powiedział Akiro, nie przerywając oględzin kryształu.

— Skąd... — zaczął Conan i pomyślał, że nie warto pytać, skąd czarownik wie takie rzeczy. — Zatem jak, na Croma, dostaniemy się do środka?!

Akiro zamrugnął ze zdziwienia.

— Och, to łatwe — podszedł do skraju stopnia i wskazał na wodę. — Tam jest otwór.

Wyczułem go od razu, może dlatego, że to jedyny otwór, jaki znalazłem. Jest wystarczająco duży.

— Służy do doprowadzania wody z jeziora? — zapytała Zula z powątpiewaniem.

— Nie lubię wody — stęknął Malak.

Conan ukląkł obok brzuchatego maga i spojrzał na powierzchnię wody. Znów była gładka jak lustro i mógł w niej zobaczyć jedynie odbicie własnej twarzy. Niemożliwe, powiedział sobie, by ten Amon-Rama zbudował pałac bez żadnego prowadzącego do środka otworu, a

Jordan Robert - Conan niszczyciel

potem zostawił tak proste wejście. Pułapka, pomyślał, z Jehnną jako przynętą. Zatem niech łowca zobaczy, kogo zamierza złapać! Parę razy odetchnął głęboko, potem zaczerpnął powietrza i skoczył w jezioro. Rozległ się tylko cichy plusk.

Pod powierzchnią woda była przejrzysta szara. Cymmerianin potężnymi wyrzutami ramion kierował się coraz głębiej, przeszukując gładką podstawę stopnia. Krystaliczna płaszczyzna była wolna od szlamu i wodorostów, które zwykle porastają zanurzony w wodzie kamień.

Szybko znalazł otwór. Był to wylot wielkiej rury o średnicy równej szerokości jego rozpostartych ramion, zakratowany grubymi żelaznymi sztabami. Conan złapał za dwie, zaparł się nogami o ścianę obok rury i szarpnął. Krata nie ustąpiła ani trochę. Szarpnął mocniej, aż ścięgną zaskrzypiały, ale na próżno. Nagle drgnął na widok drugiej pary rąk. Przekręcił głowę i zobaczył naprężoną z wysiłku twarz Bombatty. Wojownik nie miał na sobie czarnej zbroi. Conan szarpnął kratę najsilniej, jak potrafił. Kości i ścięgną dygotały, a płuca paliły go żywym ogniem.

Nagle rozległ się ostry trzask — jeden pręt został wydarty i opadł w dół w strudze podobnych klejnotom odłamków. Krata zatrzęsała się w rękach Conana. Kryształ łupał się i pękał, pręty wyskakiwały jeden po drugim.

Conan puścił wyrwaną kratę i pośpieszył na powierzchnię. Gdy jego głowa wyłoniła się z wody, zaczerpnął chciwie powietrza. Obok wypłynął Bombatta. Ze skraju podestu spoglądały w dół trzy zaniepokojone twarze.

— Droga otwarta — wy dyszał. — Chodźcie.

— Zaczekaj chwilę — powiedział Akiro. — Odzyskaj dech. Musimy obmyślić plan.

— Nie ma czasu — odparł Conan. Wciągnął powietrze i zanurkował.

Szybko wsunął się do rury, która prowadziła coraz niżej. Światło stopniowo gasło i w końcu zaczął płynąć w ciemności. Trzydzieści kroków. Czterdzieści. Płuca rozpaczliwie domagały się powietrza. Pięćdziesiąt. Wreszcie zobaczył przed sobą światło. Szybko podpłynął ku niemu, potem skręcił w górę, prosto do jego źródła, ruchami rąk i nóg spowalniając wynurzenie. Jedynym dźwiękiem towarzyszącym wypłynięciu na powierzchnię był szmer kropeł spadających z włosów.

Był w studni ocembrowanej tym samym gładkim kryształem co reszta pałacu. Obok niego pływał drewniany kubeł. Conan szarpnął za sznur. Nie ustąpił.

Złowrogi uśmiech skrzywił rysy barbarzyńcy. Amon—Ra—ma bez wątplenia myślał, że jest bezpieczny, a jego pułapka subtelna. Jednakże na Północy znano starożytne powiedzenie. Złapać Cymmerianina w pułapkę to złapać własną śmierć!

Ktoś wypłynął z pluskiem, który odbił się echem od ścian studni, ale Conan nawet nie spojrzął kto. Teraz myślał wyłącznie o jednym. Złapał linę i z ponurym wyrazem twarzy zaczął wspinać się ręką za ręką.

Cymmerianin wszedł do pułapki i polował.

W komnacie zwierciadeł Amon—Rama z zadumą gładził chudą szczękę długim, cienkim palcem. Byli już w pałacu. Zapomniał o rurze doprowadzającej wodę do studni, a oni szybko odkryli jego przeoczenie. Zanosilo się na niezłą zabawę.

Ze złowrobnym uśmiechem dotknął lustrzanej ściany. Oczywiście intruzi nie mieli teraz najmniejszych szans ucieczki czy — niech strzegą wszystkie moce ciemności! — na zwycięstwo. Ten pałac należał do Amon—Ramy w sposób, o jakim nie mógł nawet marzyć żaden król. Czarnoksiężnik doskonale słyszał krzyk kryształowych ścian, gdy wrywano z nich kratę. Słyszał kroki intruzów w korytarzach, czuł drżenie powietrza spowodowane ich oddechami. Wiedział wszystko. Niechcący dał im nadzieję, że zdołają urzeczywistnić swe plany. Uznał, że wiara w złudną nadzieję sama w sobie jest zabawna, ale znacznie większą rozrywką będzie niszczenie tej wiary.

Nadszedł czas... Mag wymówił słowo i wzniosł ręce, a wtedy złote draperie na ścianach zwinęły się w górę, odsłaniając sto wielkich luster. W każdym odbijała się smukła kolumna, na której spoczywało Serce Arymana, ale żadne nie ukazało postaci Amon—Ramy. Lata parania się najmroczniejszą z taumaturgii starły tę szczególną cechę z doczesnej powłoki czarnoksiężnika.

W kręgu luster widniały tylko dwie przerwy. Jedną były drzwi wychodzące na korytarz. Przez drugą szczelinę widać było nieskończoną ciemność i łożo, na którym spoczywała pogrążona we śnie Jehnna. Amon—Rama ruszył w tamtą stronę. Po chwili w komnacie odbił się echem dziwny dźwięk, przypominający plusk kamienia wrzucanego w wodę. W ścianie luster pozostała tylko jedna luka. I sto jeden wizerunków Serc Arymana, czekających wraz z oryginałem.

Akiro stękając okropnie wygramolił się ze studni. Nie bacząc na ściekającą z niego wodę, pozerął wzrokiem podobne klejnotom ściany oraz ozdoby ze srebra i złota, tak przemyślnie, że z pewnością nie zostały poczęte w umyśle człowieka. Wszędzie wisiały gobeliny przedstawiające sceny z innego świata i kobierce, których barwy i wzory zmieniały się bez ustanku.

— Akiro! — powiedział Malak.

Pulchny czarnoksiężnik z podziwem potrząsnął głową. Wszystko dzięki czarom... Żadna z tych rzeczy nie wyszła spod ludzkiej ręki. To było wspaniałe!

— Akiro?

Mag odwrócił się z irytacją do małego złodzieja. Malak wyglądał jak podtopiony szczur i właśnie porządkował własną czuprynę.

— Czego? — warknął Akiro.

— Wszyscy odeszli — stwierdził Malak.

Mag spojrział we wskazanym przez niego kierunku i zdusił przekleństwo, które mogłoby skropić powietrze. Bombatta i Zula właśnie znikali za zakrętem korytarza, a Conana nie było już w zasięgu wzroku.

— Głupcy — wymamrotał. — Czekajcie! — tak szybko, jak tylko pozwalały mu stare kości, pobiegł za nimi z Malakiem depczącym mu po piętach. — Półgłówki! — sapał. — Po siedzibie czarnoksiężnika nie można włóczyć się tak, jakby to był kupiecki ogródek! Tu wszystko jest możliwe!

Za rogiem zobaczył wszystkich daleko w przodzie, z Conanem na czele. Cymmerianin z mieczem w ręku wpadł do komnaty na końcu korytarza i w tej samej chwili drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Bombatta i Zula zaczęli walić w nie z całych sił — on ręką, ona końcem kija.

Akiro klnąc pod nosem skoczył im na pomoc, ale mógł tylko wytrzeszczyć oczy. Drzwi były przezroczyste niczym szkło. Doskonale widział przez nie Conana, rozglądającego się czujnie po lustrzanej komnacie. Ciosy Bombatty i Zuli odbijały się od szklanych drzwi jak od okutej żelazem bramy zamczyska.

— Czy on nas nie słyszy? — zawołał Malak. — Conan! Na Paznokcie Oguna! Conan!

Zula opadła na kolana i pomacała próg.

— Gdybyśmy mogli je podnieść... nie ma szczeliny! Żadnej!

— Cofnąć się! — ryknął Bombatta, chwytając oburącz szablę. — Wyłamię je, jeśli to możliwe.

— Wszyscy do tyłu! — przekrzyczał go Akiro. — I bądźcie cicho — dodał. Pogmerał w sakiewce, odrzucając na bok zamknięte proszki. Przez cały czas mówił: — To nie bijatyka w oberży, by można było rozstrzygać ją siłą. Ten Stygijczyk jest potężnym czarnoksiężnikiem. Należy traktować go jako takiego, w przeciwnym razie wszyscy... aha, jest! — z uśmiechem satysfakcji wyjął mały flakonik całkowicie pokryty pszczelim woskiem i zapieczętowany znakiem mocy.

— Nie widzę Jehnny — stwierdził nagle Bombatta. — Tego złodzieja trzeba zostawić jego przeznaczeniu. Musimy odnaleźć Jehnnę.

— Dziewczyna jest tutaj — rzekł Akiro, nie przerywając zdzierania wosku. Należało wykonać to w odpowiedni sposób, bo inaczej zawartość flakonika stałaby się bezużyteczna.

— Nie czujecie... oczywiście, nie możecie. Tutaj skupia się moc tego pałacu.

Opadły ostatnie drobiny wosku, odsłaniając lśniąca, ciemną zawartość, która zdawała się jednocześnie tłuszczem i dymem. Mag umoczył w niej czubek najmniejszego palca lewej ręki i nakreślił tajemny znak po prawej stronie przezroczystych drzwi. Małym palcem prawej dłoni wyrysował ten sam symbol z drugiej strony.

Akiro spochmurniał, gdy runy zaczęły syczeć i wrzeć, ale nie stało się nic więcej. Zaczął szybko, bezdźwięcznie poruszać ustami. Znał zaklęcia wymawiane na głos, ale uważał je za niebezpieczne, niepewne i wstrętne. Wewnątrz głowy wyczuł narastające ciśnienie. Tworzyły je wezwane przez niego duchy zajmujące się otwieraniem tego, czego nie można otworzyć i podnoszeniem tego, czego nie można unieść. Ciśnienie narastało i mag wiedział, że duchy są mu posłuszne. Ciśnienie nadal rosnęło, rosnęło i...

Akiro sapnął i zatoczył się. Byłby upadł, gdyby nie wsparł się o ścianę.

— I co? — zapytał Bombatta.

Roztrzęsiony Akiro popatrzył na niepokonane drzwi. Ciśnienie mocy wystarczające do wyłamania potrójnej zamkowej bramy nie wywierało najmniejszego efektu.

— Wielce potężny czarnoksiężnik — wyszeptał, a potem, zajrzawszy do zwierciadlanej komnaty, dodał: — Jeżeli wierzycie w bogów, módlcie się.

XIII

Conan krążył powoli po zwierciadlanej komnacie, z mieczem przygotowanym do odparcia ataku. Olbrzymie lustra odbijały jego skradającą się sylwetkę, zwiokrotniając ją dziesięć tysięcy razy, i to samo czyniąc z promienistym klejnotem, który spoczywał na smukłej kryształowej kolumnie na środku pomieszczenia. W lustrzanej ścianie nie było najmniejszej przerwy i Cymmerianin w pewnej chwili uświadomił sobie, że nie jest już pewien, która tafla przysłoniła wejście.

Dotychczas omijał klejnot. Jego żar i kolor powiedziały mu wszystko, co potrzebował wiedzieć o jego naturze. Nigdy nie widział czegoś tak szkarłatnego. Sama barwa sprawiała, że chciał przymrużyć oczy. Już dawno nauczył się, że takie źródła czarnoksięskiej mocy są zbyt niebezpieczne, by ich dotykać. Jednakże klejnot był jedynym przedmiotem w komnacie i siłą rzeczy to na nim skupiło się jego zainteresowanie. Powoli zbliżył się do cokołu i wyciągnął rękę.

— Dostarczysz mi drobnej rozrywki, barbarzyńco.

Wielki Cymmerianin obrócił się szukając mówiącego, a kiedy go dostrzegł, był tak samo zaskoczony jak wówczas, gdy usłyszał słowa.

Jedno z wysokich lusterek nie ukazywało już barbarzyńcy z mieczem, ale człowieka w kapturze, w czerwonych jak krew szatach. Sądząc z głosu i sylwetki Conan założył, że to człowiek. Obszerny kaptur skrywał twarz obcego w głębokim cieniu. Fałdy cynobrowej szaty spływały aż do podłogi, a dłonie kryły się w szerokich rękawach.

— Nie dostarczę ci żadnej rozrywki, Stygijczyku — powiedział Conan. — Uwolnij dziewczynę, bo...

— Stajesz się nudny.

Conan zesztyniał, gdyż słowa te zostały wypowiedziane za jego plecami. Powtórzyło je dwadzieścia głosów, a wszystkie należały do Stygijczyka. Podejrzewając nieczystą sztuczkę, mającą na celu rozproszenie jego uwagi, Conan zaryzykował zerknięcie za siebie. I zmartwiało. Zakapturzona postać widniała teraz w dwudziestu lustrach.

— Zatrzymam dziewczynę, a ty nie możesz nic zrobić. — Ona jest Jedyną i jest moja.

— Muskuły i stał się niczym przeciwko mojej mocy.

Conan miał wrażenie, że wiruje mu w głowie. Z każdym wypowiedzianym słowem w lustrach pojawiało się coraz więcej postaci, aż został otoczony przez maga pomnożonego dziesiątki razy. Włos zjeżył się na karku Cymmerianina, a zęby błysnęły, gdy warknął głucho. Jednakże nie pierwszy raz miał do czynienia z własnym strachem. Ten złodziej woli i siły był mu równie bliski jak śmierć. Lecz podczas gdy śmierć pewnego dnia miała ostatecznie dopaść go i pokonać, strach nigdy nie miał takiej siły.

— Myślisz, że mnie nastraszysz, czarnoksiężniku? Pluję na twoją moc, bowiem skrywasz się jak tchórzliwy pies. Nie masz odwagi, by stawić mi czoło jak mężczyzna.

— Odważne... słowa... — powtórzyły rozwlekłe niezliczone odbicia. — Może powinienem to zrobić — nagle dwa wizerunki maga rozszczepiły się. Z obu lusterek wyciekły strugi szkarłatu, które zderzyły się i stopiły. W komnacie stanął mag. — Może wreszcie dostarczysz mi rozrywki, barbarzyńco. Zabiję cię powoli. Będziesz błagał o śmierć na długo przed tym, nim ona nadejdzie. Twoja siła w porównaniu z moją jest niczym siłą dziecka. Z każdym słowem widoczne w lustrach postacie dzieliły się i przez komnatę przemykały błyski purpury. Wtapiały się one w zakapturzoną postać, która powoli stawała się coraz większa.

Dwa razy, gdy krwawe smugi przelatywały obok, Conan ciął je mieczem. Stał nie napotkawszy najmniejszego oporu. Cymmerianin zrezygnował z daremnych prób, nie chcąc przedwcześnie tracić sił. Wreszcie ostatnie lustro udzieliło porcji szkarłatu spowitej w czerwonej szacie postaci. Mag był teraz wyższy od Conana o głowę i dwakroć szerszy.

— To nazywasz stawieniem mi czoła? — zadrwił Conan. — No to chodź.

Olbrzymia postać odrzuciła kaptur. Conan drgnął wbrew sobie, a z lusterek wytoczył się dudniący śmiech. Szkarłatne szaty wieńczyła czarna małpia głowa, której pysk wypełniały ostre kły do rozdzierania mięsa. W jej ślepiach płonął złowrogi, hebanowy ogień. Na końcach grubych włochatych palców połyskiwały tygrysy pazury. Stwór powoli zrzucił szaty, ukazując masywne owłosione cielsko i silne, wygięte w pałąk nogi. Nie wydawał przy tym żadnego dźwięku, nie było słychać nawet oddechu.

Conan pomyślał, że z pewnością jest to dzieło magii, ale miał nadzieję, że mimo wszystko można potwora zranić. Z rykiem skoczył przez komnatę, kręcąc młynka ostrym jak brzytwa ostrzem. Potężna małpa ze zwinnością lamparta uskoczyła poza jego zasięg. Poruszała się

szybciej od jakiegokolwiek innego stworzenia o podobnej masie. W trakcie wykonywania uniku uderzyła — zdawało się, że od niechcenia — i na piersi Cymmerianina pojawiły się cztery krwawe pręgi.

Conan nie miał zamiaru ustąpić. Jeszcze trzy razy zaatakował wielką bestię. Małpa trzy razy, szczerząc kły, umykała spod jego miecza niczym żywe srebro. Krew spływała już z ramienia, uda i czoła Cymmerianina. Z luster wydobywał się gromki śmiech, który zagłuszał wściekle przekleństwa Conana. Każdy ruch bestii był lekki, błyskawiczny, nie mający żadnego odniesienia do jej niezgrabnej sylwetki. Cymmerianin nie zdołał nawet drasnąć potwora.

Nagle monstrialna czarna małpa rzuciła się do ataku. W mgnieniu oka chwyciła barbarzyńcę i podniosła go ku rozwartej paszczy. Conan był zbyt blisko, by ciąć mieczem, jednakże zdołał przeciągnąć ostrzem po wykrzywionym pysku, rozcinając jedno ślepie i nozdrza. Z rany trysnęła zielona posoka, a potwór zacharczał z bólu. Masywne łapy naprężyły się i Conan poszybował przez komnatę.

W głowie Cymmerianina błysnęła myśl, że potwora można zranić, lecz chwilę później trzasnął w lustro i powietrze uciekło mu z płuc. Osunął się na posadzkę. Desperacko walcząc o odzyskanie tchu spróbował wstać, nie czekając, aż bestia dokończy dzieła. Podniósł się ociężale... i ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

Ogromna małpa opadła na cztery łapy i zataczała się z otwartym pyskiem. Była niema, więc w komnacie nie powinien rozbrzmiewać jej jęk. Jednakże słychać było pełną udreki skargę — powtarzaną sto razy przez każde odbicie maga. Widoczna we wszystkich zwierciadłach postać nekromanty kuliała się i zawodziła z bólu.

Nagle Conan zorientował się, że wcale nie we wszystkich. Lustro, z którym zderzył się po odepchnięciu przez potwora, pokryło się siecią pęknięć i ukazywało jedynie strzaskane odbicie Cymmerianina. Barbarzyńca bez namysłu trzasnął mieczem w sąsiednie zwierciadło. Gdy srebrzysta powierzchnia rozprysła się pod ciosem, postać Amon–Ramy zniknęła, a jęki pozostałych jego odbić przerodziły się w krzyk.

— Mam cię, czarnoksiężniku! — zawołał Conan, przekrzykując zawodzenie.

Ruszył pędem wzdłuż ściany, zatrzymując się tylko po to, by tłuc mijane lustra. Odbicia taumaturga zniknęły jedno po drugim w odłamkach szkła. Krzyki przemieniały się w wycie, to zaś w przeszywający wrzask.

Stukot pazurów po kryształowej posadzce ostrzegł Cymmerianina przed nadciągającym niebezpieczeństwem. Conan rzucił się na posadzkę i przetoczył w bok, o włos unikając pazurów małpy. Szeroki miecz błysnął w zamaszystym cięciu, gdy barbarzyńca zerwał się na nogi. Wzdłuż żeber nieziemskiego potwora otworzyła się głęboka rana. Conan spostrzegł, że bestia porusza się wolniej. Teraz nie była szybsza od zwykłego człowieka. Cymmerianin odwrócił się i ignorując potwora, ponownie skoczył ku lustrzanej ścianie. Ważniejsze było pokonanie Amon–Ramy.

Wbijał miecz w odbicia nekromanty lustro po lustrze. Wibrujący w komnacie wrzask wyrażał rozpacz i ból wykraczający poza ludzką zdolność pojmowania. Kątem oka Conan znów dostrzegł pełznącą ku niemu małpę. W jej jedynym ślepiu płonęło szaleńcze światło. Zwrócił uwagę, że bestia szerokim łukiem omija rozżarzony czerwony klejnot.

Nagle z pluskiem, jakby ostrze ugodziło w wodę, miecz Conana zapadł się w kolejną powierzchnię lustra. Cymmerianin stanął zdumiony. Stał przesyła zwierciadło i postać Amon–Ramy. W komnacie zapadła cisza, przerywana jedynie podzwanianiem opadających na kryształową posadzkę fragmentów zwierciadła. Wszystkie pozostałe lustra oprócz tego, w którym tkwił miecz, ukazywały teraz normalne odbicia. Małpa zniknęła tak, jakby nigdy nie istniała, choć palące rany na ciele barbarzyńcy dowodziły, że była prawdziwa.

Patrząca ze zwierciadła twarz o jastrzębich rysach skrzywiła się z niedowierzaniem.

Czarne oczy spojrzały z nienawiścią na wielkiego młodzieńca. Nagle w miejscu, gdzie klinga miecza wnikała w szaty maga, pojawiła się kula ognia. Spłynęła po ostrzu i wybuchła, uderzając Conana niczym ciśnięty z wielką siłą kamień. Cymmerianin potrząsnął głową i na wpół oszołomiony podniósł się z posadzki w chwili, gdy Amon–Rama wyszedł z lustra, którego powierzchnia najpierw wyrzusiła się wokół maga, a potem przemieniła w chmurę dymu.

Nekromanta nawet nie spojrzał na Conana. Raz tylko dotknął sterczącego w piersiach miecza, jakby chciał się przekonać, iż jest on prawdziwy. Chwiejnie ruszył w kierunku szkarłatnego klejnotu.

— Niemożliwe... — mruczał Stygijczyk. — Należały do mnie wszystkie moce. Wszystkie moce...

Jego ręka zacisnęła się na rozżarzonej kamieniu, a wycie — okropne, nie kończące się

wycie, jakie w tej chwili wydarło się z jego gardła — sprawiło, że w porównaniu z nim wszystkie poprzednie dźwięki zdały się szeptem. Spomiędzy palców maga zaczęło wyciekać szkarłatne światło, coraz jaśniejsze, aż w końcu Cymmerianin zobaczył, że sama ręka maga przybrała tę barwę.

— Na Croma! — wyszeptał Conan.

Czerwień rozprzestrzeniła się w górę ramienia czarnoksiężnika i ogarnęła płomieniem jego ciało, aż w końcu Amon–Rama upodobił się do posągu z zakrzepłej krwi. Za moment mag roztopił się w cynobrową kałużę, która pieniała się i wrzała. Uniosła się czerwona para i na posadzce pozostał jedynie miecz oraz klejnot na kryształowej kolumnie.

Conan tylko raz rzuciwszy okiem na szkarłatny kamień, ostrożnie sięgnął po broń.

Owinięta skórą rękojeść była gorąca, ale miecz nie wyglądał na uszkodzony. Barbarzyńca szybko cofnął się od czarodziejskiego kamienia.

Wtem z ogłuszającym traskiem wybuchło kolejne lustro i do komnaty wpadli towarzysze Conana.

— ...a mówiłem, że zadziała — trąkotał Akiro. — Trzeba było tylko śmierci czarnoksiężnika, by jego magia straciła moc.

— Na Zapłakane Oczy Ravany — rzucił pogardliwie Malak. — Powiedzieliście, że Conan miał szczęście, ale to nie było szczęście. Ten Stygijczyk powinien być mądrzejszy i nie stawać przeciw Malakowi i Conanowi.

Akiro spojrzał na Cymmerianina.

— A jednak miałeś szczęście, Conanie. Lecz pewnego dnia twoje szczęście wyczerpie się niczym piasek wysypujący się z klepsydry.

— Widziałeś moją przyszłość? — zapytał Conan.

Akiro skinął, a Zula zadrżała.

— Ta mała — mruknęła i rozejrzała się podejrzliwie.

— Zniknęła — zapewnił ją Conan. — Odnajdźmy Jehnnę oraz ten przeklęty przez Mitrę klucz, i również znikajmy.

Jak gdyby wezwana dźwiękiem swego imienia, Jehnna pojawiła się w luce pozostałej po lustrze, z którego wyszedł Amon–Rama. Za nią była ciemność, która przez kontrast z migocącym kryształem i ocalałymi zwierciadłami zdawała się jeszcze mroczniejsza. Smukła dziewczyna nie spojrzała na nikogo, ale wolnym, pewnym krokiem podeszła do promienistego klejnotu.

— Nie! — wrzasnęli razem Conan i Bombatta, ale nim ktokolwiek zdołał się poruszyć, Jehnna złapała kamień.

— Serce Arymana — rzekła cicho, uśmiechając się do spoczywającego w dłoni czerwonego klejnotu. — Oto klucz, Conanie.

— To? — zaczął Conan i zamilkł, gdy posadzką wstrząsnęło nagłe drżenie. Ściany zadygotały i w komnacie dały się słyszeć złowieszcze traski.

— Powinienem był was uprzedzić — stwierdził Akiro. — To wszystko istniało dzięki magii Amon–Ramy, a z jego śmiercią... — nagle przerwał i spojrzał na pozostałych. — Co? Nie słyszycie, co mówię? Uciekajmy, bo zginemy jak Stygijczyk! — jakby dla podkreślenia jego słów, przez pałac przebiegło kolejne drżenie.

— Do studni! — rozkazał Conan, chociaż myśli, że pałac może runąć w chwili, gdy będą przepływać przez rurę, sprawiła, że przeszły go ciarki.

Akiro potrząsnął głową.

— Pozwólcie mi pokazać, co potrafię — obrzucił Malaka znaczącym spojrzeniem. —

Patrz! — śpiewając milcząco, nakreślił rękami dziwne wzory, po czym klasnął i spomiędzy jego dłoni wystrzeliła błękitna kula uderzając w lustrzaną ścianę. Nie było wybuchu.

Przejrzysty kryształ zasyczał jak pergamin lizany językami ognia i pojawił się w nim wielki, okrągły otwór.

— Tędy — powiedział Akiro i obejrzał się na małego złodzieja. — Tak więc, Malaku, widziałeś coś, co prześciga...

Tym razem pałac zakołysał się i z głośnym traskiem runął fragment kryształowej ściany.

— Pogadamy o naszych triumfach później — przynaglił Conan i złapał Jehnnę za rękę.

Pozostali bez wahania skoczyli za nim w stworzone przez Akiro przejście.

Biegli nieziemsko pięknymi korytarzami, a kiedy te skręcały w niepożądanych kierunkach, Akiro wypalał kolejne dziury w roziskrzonych kryształowych ścianach. Wstrząsy następowały coraz częściej, aż wreszcie cały pałac zaczął wibrować. Ozdoby o zdumiewającej urodzie rozpadały się, a dwa razy tuż za ich plecami oberwały się olbrzymie kawały stropu.

Akiro raz jeszcze użył swej magii i w końcu znaleźli się na kryształowym stopniu. Jezioro

było wzburzone, spienione fale rozchodziły się od pałacu. Conan dźwignął skórzaną łódkę i spuścił ją na wodę. Pomógł wsiąść Jehnnie, a potem musiał przytrzymać czółno, bo wojownik o pociętej bliznami twarzy chciał odpłynąć nie bacząc, że inni jeszcze nie wsiadli. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Conan skoczył do łodzi i złapał wiosło.

— Teraz! — warknął na Bombattę. Zamorańczyk bez słowa zaczął wiosłować.

Za nimi kryształowy pałac, skrzący się wszystkimi barwami tęczy, jakby oszalał. Ze wszystkich iglic prosto w bezchmurne niebo strzelały błyskawice.

— Szybciej! — zawołał Akiro, zerkając niespokojnie przez ramię. — Szybciej! — spojrział z wściekłością na Conana i Bombattę, wymachujących wiosłami z całych sił. Stęknął, wsunął ręce w wodę i zaczął mruzczyć zaklęcia. Woda wezbrała pod dnem łodzi. Fala powiększyła się i pomknęła do brzegu, niosąc kruche czółno szybciej niż wiosła. Malak na cały głos modlił się do bogów ze wszystkich znanych mu panteonów.

— Za dużo magii — mruknął Conan.

— Może — zaczął Akiro — wolałbyś czekać, aż pałac... Z rykiem rozstępującej się ziemi kryształowa budowla rozpadła się na kawałki. Niezwykle silny wiatr uderzył ich w plecy, a potem fala, na grzbiecie której płynęli, została doścignięta i pokonana przez większą. Na szczęście czółno, choć ryzykownie przechylone, nadal płynęło. Conan mógł jedynie wbić wiosło w wodę i mieć nadzieję, że łódź nie zmieni kursu. Gdyby ustawili się bokiem do takiej ściany wody, byłiby zgubieni.

Plaża czarnego piasku zbliżała się w niewiarygodnym tempie, a potem nagle zniknęła pod falą. Dziób uderzył w zbocze krateru i łódź wyrzuciła się, wyrzucając wszystkich w spienioną wodę.

Conan walcząc z wodą z trudem stanął na nogi. Jehnna brnęła tuż za nim. Barbarzyńca złapał jej szatę i przyciągnął dziewczynę do siebie. Ona zarzuciła mu rękę na szyję i zasapana przywarła do niego kurczowo. Woda cofnęła się, pozostawiając ich na jednej czwartej wysokości zbocza.

— Nic ci nie jest? — zapytał Conan. Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy, potem podniosła do góry drugą rękę.

— Nawet nie zgubiłam klucza — szkarłatny żar sączył się spomiędzy jej palców.

Cymmerianin zadrżał i nie zaprotestował, gdy Jehnna odsunęła się od niego. Z fałd przemoczonego stroju wyjęła czarny aksamitny woreczek i wsunęła doń klejnot.

Conan potrząsnął głową. Im dłużej trwała ta wyprawa, tym mniej chciał brać w niej udział.

A jednak... jego ręka zamknęła się na złotym amulecie, który podarowała mu Valeria, a jednak miał powody, by nie rezygnować.

Był zaskoczony, gdy zobaczył, że wszyscy pozostali nie tylko żyją, ale nawet nie są ranni.

Byli przemoczeni, poturbowani i spoglądali na siebie z niedowierzaniem. Cymmerianin rozejrzał się po okolicy. Spłoszone konie mimo pęt wspięły się wyżej na stok i teraz parskają nerwowo. Łódź leżała poniżej, a jeszcze niżej walały się porzucane resztki obozowiska.

Kociołek do warzenia strawy zniknął, fala zabrała również połowę worków na wodę. Na krzakach pozostał jeden koc.

Po drugiej stronie jeziora zniknął jedyny znak świadczący o istnieniu pałacu. Była to rozległa dziura, którą napełniały szybko wody jeziora. Akiro patrzył na to ze smutkiem.

— Wszystko było dziełem jego woli — wyszeptał. — Wspaniałe.

— Wspaniałe? — powtórzyła Zula. Głos rwał się jej z niedowierzania. — Wspaniałe?

— Chciałabym jak najszybciej znaleźć się daleko stąd — powiedziała Jehnna. — Teraz, gdy mam klucz, czuję drogę do skarbu.

Malak zatarł ręce.

— Skarb — szepnął Cymmerianinowi do ucha. — Podoba mi się brzmienie tego słowa.

Weźmiemy sobie to, czego nie zechce dziewczyna, co? Wkrótce znów będziemy w Shadizar i pożyjemy sobie jak królowie.

— Niedługo — stwierdził Conan. Jego patrzące na Jehnnę oczy były pełne smutku, a ręka zacisnęła się na amulecie tak mocno, że złoty smok wbił się w skórę. — Niedługo.

XIV

Czy to możliwe, dumął Conan, gdy jechali na południe, by leki Akiro były gorsze od ran, które miały zagoić? Wokół piętrzyły się szare góry pocięte setkami dolin i niezliczonymi, krętymi rozpadlinami, w których łatwo było urządzić zasadzkę, ale on potrafił myśleć wyłącznie o bandażach wysmarowanych jakąś cuchnącą maścią. Nie dość, że opatrunek śmierdział, to, co gorsza, rany okropnie swędziały. Conan ostrożnie podrapał płócienne pasy owinięte wokół piersi.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Nie rób tego — rzekła szybko Jehnna. — Akiro mówi, że nie wolno ich ruszać.

— To głupota — burknął Conan. — Nieraz miewałem takie zadrapania. Trzeba tylko zmyć krew, a potem wystawić je na powietrze i słońce. To wszystko.

— To nie są zadrapania — upomniała go dziewczyna.

— A to mazidło cuchnie.

— To przyjemny ziołowy zapach. Zaczynam się zastanawiać, czy masz dość rozsądku, by o siebie dbać — mówiła dalej, nieświadoma zdumienia w jego oczach. — Zostaw te bandażę w spokoju. Akiro mówi, że maść w ciągu dwóch dni całkowicie zagoi ci rany. Dodał też, że muszę mieć na ciebie oko.

Conan wykręcił się w siodle i spiorunował wzrokiem siwowłosego czarnoksiężnika. Akiro odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem. Pozostali również mu się przyglądali. Malak i Zula wyglądali na niezwykle rozbawionych. Bombatta zdawał się zagubiony we własnych myślach, ale jego oczy mówiły, że nie zapłakałby, gdyby zadane przez małpę rany okazały się śmiertelne.

— Muszę powiedzieć, że nie sprawiasz wrażenia wdzięcznego — kontynuowała Jehnna.

— Akiro trzusi się, żebyś czuł się dobrze, a ty...

— Na Miłosierdzie Mitry, dziewczyno! — wszedł jej w zdanie Conan — czy musisz cały czas gadać?

Jehnna posmutniała, a zranione spojrzenie jej wielkich oczu sprawiło, że potężny młodzieniec poczuł się nieswojo.

— Wybacz — powiedziała oschle i wstrzymała konia. Jej miejsce u boku wielkiego Cymmerianina zajął Malak.

— Czasami myślę — powiedział Conan — że lubię tę dziewczynę bardziej, gdy lękała się własnego cienia.

— Ja lubię je najbardziej wtedy, gdy spoczywają w mych ramionach — powiedział Malak i aż podskoczył, spojrzawszy w zlodowaciałe nagle oczy Cymmerianina. — Ach, słuchaj, to nie o dziewczynie chciałem mówić. Wiesz, gdzie jesteśmy?

Conan skinął.

— Wiem.

— To dlaczego nie wybrałeś innej drogi? Inti, miej nas w opiece! Jeszcze najwyżej mila, a dotrzemy do wioski, w której znaleźliśmy Zule — żyłasty złodziej ni to westchnął, ni jęknął.

— Wieśniacy nie będą zadowoleni z naszego widoku, Cymmerianinie. Będziemy mieć szczęście, jeżeli wystrzelą z zasadzki nie więcej niż tuzin strzał.

— Wiem — powtórzył Conan. Obejrzał się na Jehnnę. Dziewczyna jechała z opuszczoną głową i kapturem nasuniętym głęboko, by ukryć twarz. Jej poza wyrażała głęboki smutek. — Czy musimy jechać do tej wioski? — zawołał.

Jehnna wyprostowała się i zamruwała.

— Co? Do wioski? — rozejrzała się, po czym wskazała na wschód, na przełęcz między dwoma szczytami okrytymi czapami śniegu. — Musimy jechać tam.

— Dzięki niech będą wszystkim bogom — wysapał z ulgą Malak i w tej samej chwili zza zakrętu doliny wypadło czterdziestu konnych Koryntiańczyków. W rękach żołnierzy połyskiwały długie miecze.

Conan nie tracił czasu na przekleństwa. Dobył miecza i ledwo zdążywszy sparować cios, który miał rozłupać jego czaszkę, wysadził z siodła wojownika w grzebieniastym hełmie i jednym, płynnym ruchem rozplątał mu gardło. Zobaczył, że Malak schyla się pod błyszczącym ostrzem swego przeciwnika i zatapia sztylet w szczelinie wypolerowanego napierśnika.

— Conanie!

Mimo że był pochłonięty walką z kolejnym żołnierzem, dobrze usłyszał ten przeszywający krzyk.

Wystarczył jeden rzut oka, by oddech zamarł mu w gardle. Roześmiany żołdak wplótł rękę w ciemne włosy Jehnny i jedynie zaciśnięte na łęku dłonie dziewczyny powstrzymały ją przed upadkiem pod kopyta tańczących koni.

Conan mógł poświęcić Jehnnie tylko jeden rzut oka, a kiedy z powrotem odwrócił się do swego przeciwnika, Koryntiańczyk aż jęknął na widok tego, co zobaczył w szafirowych oczach Cymmerianina, była to bowiem śmierć. Mężczyzna zręcznie posługiwał się mieczem, lecz nie miał najmniejszych szans w starciu z ponurym przybyszem z Północy. Ich ostrza spotkały się tylko raz, a potem Conan zawrócił konia i odjechał od skrwawionego trupa. Cymmerianin wbił pięty w boki wierzchowca i pogalopował ku Jehnnie. Smukła dziewczyna trzymała się łęku już tylko jedną ręką, która właśnie zaczęła się ześlizgiwać, drugą szarpała pięść wczepioną w swe włosy. Konie stawały dęba.

Koryntiańczyk odchylił głowę w tył i zanosił się ochrypłym śmiechem.

— Niech cię Crom zdepcze, psie! — warknął Conan i stanął w strzemionach wkładając w cios całą swoją siłę. Jego wściekłość była tak wielka, że nawet nie poczuł oporu, gdy ostra jak brzytwa stal zderzyła się z karkiem roześmianego żołnierza. Głowa sfrunęła z ramion, a usta Koryntiańczyka na zawsze zamarły w grymasie rozbawienia. Fontanna krwi trysnęła z tułowia, który jeszcze przez chwilę siedział wyprostowany, a potem zwałił się przez zad stojącego dęba konia. Palce wplecione we włosy Jehnny prawie ściągnęły ją z siodła, lecz w końcu rozluźniła je śmierć. Dziewczyna przechyliła się przez łęk i zanosząc się niepohamowanym płaczem, patrzyła na pozbawione głowy ciało pod końskimi kopytami. Conan w jednej chwili zorientował się w sytuacji. Malak dosiadał teraz koryntiańskiego konia. Na oczach Cymmerianina przeskoczył na drugiego, szarpnął w tył głowę jeźdźca i jednym ruchem poderżnął mu gardło. Akiro miotał się po wąskiej dolinie, czemu towarzyszyły błyski i dudnienie. Gdy tylko brzuchaty czarownik miał czas na złapanie tchu, zaczynał wykonywać rękami gesty, które zapowiadały wezwanie kulistego pioruna, ale za każdym razem napastnicy zbliżali się zbyt szybko i Akiro, miotając przekleństwa, musiał straszyć ich wybuchami światła i dudnieniem gromu. Jednakże błyski i ogłuszające grzmoty nie wyrządzały nikomu szkody i stary mag miał coraz mniej czasu na wypróbowanie większych czarów. Zula i Bombatta starali się przedrzeć do Jehnny, ale błyskająca szabla i wirujący kij musiały ograniczyć się do odpierania nacierających żołnierzy. Na początku bitwy chaotyczny atak żołnierzy przechylił szalę powodzenia na stronę Zamorańczyków, ale jeźdźców w hełmach z czerwonymi grzebieniami było po prostu zbyt wielu. W każdej chwili mogło dojść do najgorszego.

— Rozproszyć się! — ryknął Conan. Dwaj następni Koryntiańczycy starli się z wielkim Cymmerianinem. Jego miecz zatoczył półkole, odrąbał w łokciu rękę jednemu i wgryzł się głęboko w ramię drugiego. Conan wyszarpnął klingę i znów wrzasnął: — Rozdzielić się! Są zbyt liczni! Rozdzielić się! — złapał wodze wierzchowca Jehnny i pognął ku wąskiej przełęczy, którą ona wcześniej wskazała.

Trzej Koryntiańczycy spięli konie, by przeciąć drogę uciekinierom. Wyszczeryli radośnie zęby widząc, że Conan nie zamierza skręcić. Radosne oczekiwanie przerodziło się w konsternację, gdy Cymmerianin pocwałował prosto na nich. Jego masywny zamorański ogier obalił mniejszego wierzchowca. Żołnierz runął z wrzaskiem i zawył, gdy koń przetoczył się po nim, wgniatając go w kamienisty grunt.

Dwaj pozostali spojrzeli na siebie z oszołomieniem w oczach i przygotowali się już nie do ataku, lecz obrony. Conan, który dodatkowo musiał prowadzić konia Jehnny, z zimnym opanowaniem dowiódł im, że popełnili śmiertelny błąd. Zostawił za sobą dwa nowe trupy i pogalopował ku przełęczy.

Nie mógł pozwolić sobie na zerknięcie w tył i świadomość tego okropnie mu doskwierała. Gdyby obejrzał się, mógłby zobaczyć jednego z towarzyszy w potrzebie... Nie mógł jednak zawrócić, by jechać na pomoc. Jehnnę trzeba było zawieźć do skarbu, a potem odprowadzić do Shadizar, dla Valerii. A nawet gdyby Valeria nigdy nie istniała, nie porzuciłby dziewczyny na łaskę losu. Mogłaby zostać zabita lub uprowadzona przez jakiegoś marudera, który uznał, że nie musi stawać do tak nierównej walki. Conan zacisnął zęby z taką siłą, że aż szczęki go rozboleły, i jechał dalej, starając się nie słuchać cichnących za jego plecami odgłosów bitwy.

XV

W dolinach zalegały purpurowe cienie gór, gdy w końcu Conan ściągnął wodze. Nie zmuszał wierzchowca do galopu przez cały czas. Konie nie zniosłyby takiego tempa nawet na płaskim terenie, a co dopiero w labiryncie górskich dolin, jednak nawet w rozsądnym tempie zwierzęta nie mogły iść w nieskończoność. Musiał znaleźć miejsce na nocleg.

Obejrzał się na Jehnnę, by sprawdzić, jak dziewczyna znosi podróż. Jej policzki były pokryte kurzem, w którym odznaczały się jaśniejsze ślady łez. Miała otwarte szeroko oczy i milczała uparcie. Trzymała się siodła obiema rękami i nie okazywała chęci przejęcia wodzy. W ciągu paru minionych godzin na jego nieliczne pytania reagowała jedynie kręceniem bądź kiwaniem głową. Zdawało się, że patrzenie na niego jest jej jedynym pragnieniem, a to zaczynało już działać mu na nerwy. Może przebywanie w środku bitwy pomieszało jej w głowie...

— Dobrze się czujesz? — zapytał szorstko. — No? Odezwij się, dziewczyno!

— Byłeś... straszny — rzekła cichym głosem. — Oni zamiast mieczy mogli mieć równie dobrze patyki.

— To nie była zabawa — burknął. — Nie zabawa, o której jak się zdaje, ciągle marzysz —

zastanawiając się nad przyczyną swej nagłej złości, ponownie zajął się wypatrywaniem miejsca na obóz.

— Chodzi mi o to, że nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego — mówiła. — To, co Zula zrobiła w wiosce, to, co się stało przy chacie Akiro, było inne. Ja byłam wówczas daleko... A z dala wszystko wyglądało jak występ aktorów czy akrobatów.

Conan nie zdołał powstrzymać się od przekleństwa.

— Ludzie umierają w czasie tych... przedstawień. Co prawda lepiej, żeby to oni ginęli, nie my, ale to nie zmienia istoty rzeczy. Nikt nie powinien umierać dla cudzej rozrywki — dostrzegł odpowiednie miejsce; dziesięć głązów wyższych od człowieka na koniu, leżących blisko siebie u podstawy stromego zbocza. Szarpnął wodze i skręcił w tę stronę.

— Nie miałam zamiaru cię obrazić, Conanie.

— Nie jestem obrażony — odparł ostrym tonem. Wprowadził jej konia między dwa głązy oddalone od

siebie na tyle, że zwierzęta z trudem mogły się przecisnąć. Znalazł wolną przestrzeń między kamieniami a zboczem. Miejsca było aż nadto dla nich i dla koni. Stwierdził, że głązy powstrzymają najgorsze górskie wichry i co ważniejsze, osłonią ich przed możliwym pościgiem.

Zeskoczył na ziemię, pomógł Jehnnie zsiąść i przystąpił do rozkulbaczania wierzchowców.

— Rozpał ognisko — powiedziała dziewczyna, otulając się szczelnie płaszczem. — Zimno mi.

— Nie — nawet gdyby w pobliżu było jakieś paliwo, nie zaryzykowałby rozpalania ognia, który mógłby zdradzić ich kryjówkę. — Masz — powiedział i rzucił jej derki spod siodła.

— Śmierdzą! — skrzywiła się, ale po chwili zarzuciła je sobie na płaszcz z białej wełny.

Cymmerianin przykucnął, by sprawdzić zapasy. Za swoim siodłem miał przytroczone bukłak i sakwę z suszonym mięsem, którego z powodzeniem mogło starczyć na kilka dni. Gorzej było z wodą. Mieli tylko połowę bukłaka.

— Myślisz, że oni też uciekli? — zapytała nagle Jehntta. — To znaczy Bombatta, Zula i tamci dwaj?

— Może. — Conan gwałtownie zerwał bandaż z głowy i zaczął odwijać ten z piersi.

— Nie! — zawołała Jehnna. — Musisz je zostawić.

Akiro mówi...

— Akiro i pozostali mogą być już martwi właśnie z ich powodu! — warknął. — Z mojego powodu — wytarł bandażami tłustą maść. Z wielkim zdziwieniem zobaczył, że rany prawie się zagoiły. W ich miejscu widniały jedynie lekko opuchnięte różowe pręgi, jakby od ich zadania minęło kilka dni.

— Denerwowały mnie, myślałem tylko o swędzeniu i smrodzie. Gdybym tego nie robił, ci Koryntiańczycy nigdy nie zaskoczyliby nas tak łatwo — zaklął i odrzucił bandaże.

— To nie była twoja wina — zaprotestowała dziewczyna. — Tylko moja. Dąsałam się jak dziecko, zamiast powiedzieć ci, którądy jechać. Gdybym to zrobiła, moglibyśmy skręcić, zanim nas napadli.

Conan potrząsnął głową.

— Głupstwa mówisz, Jehnno. W takiej okolicy, w najlepszym wypadku mogłabyś dostrzec właściwą drogę ledwie kilka chwil wcześniej, a Koryntiańczycy i tak zaatakowaliby zaraz potem. — Conan zajął się przeżuwaniami paska suszonej baraniny, twardego jak złe wyprawiona skóra i o podobnym smaku. Jehnna zmarszczyła czoło w zadumie.

— Może nie mogłam zrobić niczego więcej — powiedziała po dłuższej chwili — ale rozumiem, dlaczego oskarżasz siebie. Ty, oczywiście, wiesz, co dzieje się za każdym zakrętem i widzisz przez litą skałę, mogłeś więc nas ostrzec. Cudownie wiedzieć, że towarzyszy mi dwóch magów. Ale dlaczego nie dałeś nam skrzydeł, abyśmy mogli odlecieć? Conan niemal udławił się kęsami baraniny. Odzyskując dech spiorunował dziewczynę wzrokiem, ale ona znów wyglądała jak wielkookie wcielenie niewinności. Możliwe, pomyślał, że jest na tyle niewinna, by wierzyć w to, co powiedziała, by naprawdę sądzić, że on... Nie! Nie był takim głupcem, by przypuszczać, że ktokolwiek... Otworzył usta, by odpowiedzieć ostro, i zamknął je przekonany, że cokolwiek powie, zrobi z siebie jeszcze większego durnia.

— Jedz! — mruknął kwaśno, rzucając do jej stóp sakwę z suszonym mięsem.

Jehnna starannie wybrała kawałek i zaczęła skubać baraninę drobnymi, białymi ząbkami.

Conan nie mógł być pewien, ale wydało mu się, że na jej twarzy dostrzega leciutki uśmiech.

Nie poprawiło mu to nastroju.

Słońce schowało się za szczytami i w górach zapadł ametystowy zmierzch. Jehnna skończyła posiłek i zaczęła wiercić się tak, jakby szukała wygodniejszego miejsca na

kamienistym podłożu. Przesuwała koce to w tę, to w drugą stronę, aż w końcu poskarżyła się:

— Zimno mi, Conanie... Zrób coś.

— Żadnego ognia — odparł oschle... — Masz koce.

— Zatem połącz się pod nimi obok mnie. Jeżeli nie pozwalasz mi grzać się przy ogniu, możesz przynajmniej podzielić się ze mną ciepłem swego ciała.

Conan wytrzeszczył oczy. Niewinniejsza od dziecka, pomyślał.

— Nie mogę. To znaczy, nie chcę.

— Dlaczego? — zapytała. — Marznę. Czyż moja ciotka nie wysłała cię, byś mnie chronił?

Conan roześmiał się i jęknął równocześnie. Prosić wilka o pilnowanie owczarni!

Potrząsnął głową, by przegonić zbereżne myśli.

— Musisz uważać na Taramis, Jehnno, gdy wrócisz do Shadizar — zmienił temat.

— Na ciotkę? Ale dlaczego?

— Nie potrafię podać ci wyraźnego powodu — rzekł wolno. — Ale królowie i królowe, księżęta i księżniczki nie myślą jak zwyczajni ludzie. Nie postrzegają dobra czy zła w taki sam sposób.

— Niepokoi cię mój sen? Bombatta miał rację. To tylko sen, Conanie. Każdy mógł mieć złe sny w miejscu tak dziwnym jak ten krater. Taramis mnie kocha. Troszczyła się o mnie od dzieciństwa.

— Możliwe, Jehnno, ale gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy, przyślij wieść do tawerny Abutelesa w Shadizar, a ja natychmiast stawię się na twe wezwanie. Znam wiele miejsc, w których będziesz bezpieczna.

— Zrobię to — zapewniła, lecz on wiedział, że dziewczyna nie wierzy, by kiedykolwiek doszło do czegoś takiego. — Nadal mi zimno — stwierdziła podnosząc z uśmiechem róg koca.

Wielki Cymmerianin wahał się jeszcze chwilę. Potem mówiąc sobie, że naprawdę robi się coraz chłodniej, a wzajemne ogrzewanie się nie przyniesie nikomu szkody, odpiął pas z mieczem i usadowił się obok dziewczyny. Ona zarzuciła na niego nie tylko zalatującą koniem derkę, ale część własnego płaszcza. Okrycia zaczęły zsuwać się z ich pleców i gdy poruszyli się, aby temu zapobiec, Conan zdał sobie sprawę, że dziewczyna przytuliła się do niego. Instynktownie otoczył ją ramieniem. Jego dłoń wylądowała na ciepłym, krągłym biodrze, odsłodziła jak oparzona, musnęła jędrną pierś i w końcu spoczęła na talii.

— Ciepłej niż myślałem... — mruknął. Miał pot na czole. — Może powinienem się przejść — zastanowił się, ile cierpliwości bogowie mogą żądać od mężczyzny?

Jehnna przytuliła się do niego i palcem dotknęła złotego smoka na jego piersiach.

— Opowiedz mi o Valerii — zeszywniał, ona zaś zerknęła na niego spod oka. —

Słyszałam, jak rozmawiałeś z Malakiem. I z Akiro. Nie jestem głucha, Conanie. Jaka była?

— Zwyczajna — odparł. Ale wiedział, że krzywdzi Valerię takim stwierdzeniem. Dodał

więc: — Była kobietą jedyną z tysięcy, może jedyną na całym świecie. Była wojownikiem, przyjacielem, towarzyszem...

— ...I kochanką? — dopowiedziała Jehnna, gdy zawiesił głos. Conan zaczerpnął powietrza, by coś powiedzieć, ale ona ubiegła go: — Czy w twoim życiu znajdzie się miejsce dla innej kobiety?

Jak wyjaśnić to, co istniało między nim a Valerią? Kobieta, która ani nie chciała posiadać, ani być posiadaną, kobietą, która dzieliła z nim łożę z namiętnością tygrysicy, a dwie godziny później trącała łokciem niczym stary kompan, żeby przypadkiem nie zaniedbał zmierzenia wzrokiem jakiejś szczególnie urodziwej dziewczki.

— Są rzeczy między kobietami i mężczyznami — zaczął Conan jakby mimo woli — których ty po prostu nie potrafiłabyś pojąć, dziewczyno.

— Dużo wiem! — odcięła zapalczywie. — Długo rozmawialiśmy z Zulą o właściwych metodach... postępowania z mężczyznami.

Nagle złapała jego wolną rękę i wsunęła ją pod swoją szatę. Conan mimowolnie nakrył dłońią ciepły, twardo zakończony pagórek. Wróciła niedawna myśl: stworzony, by znaleźć gniazdo w męskich dłoniach.

— Nie wiesz, co czynisz... — wyszeptał chrapliwie.

Nim te słowa przebrzmiały, ona rzuciła się na niego. Jego zaskoczenie było tak wielkie, że dał się przewrócić na plecy, a ona znalazła się na nim.

— Zatem oświeć mnie — wymruczała i jej stódkie usta wypędziły z głowy Conan wszelkie rozsądne myśli.

Zimny, nocny wiatr z równin hulał po ulicach Shadizar, jak gdyby chciał wymieść z miasta całe jego zepsucie.

Taramis pomyślała, że wiatr to dobry omen. Symbol usuwania starych obyczajów i nadejścia nowego świtu. Jej błękitne jak niebo i zdobione złotem szaty zostały wybrane specjalnie, by obwieścić ów nowy wschód i nieuchronne nadejście nowego świata. Ciemne oczy księżniczki omiotły dziedziniec pałacu. Był wyłożony wielkimi płytami białego marmuru i otoczony alabastrową kolumnadą. Balkony były puste, a w żadnym z okien nie jaśniało światło. Pałacowe strażę pilnowały, by ciekawskie oko jakiegokolwiek niewolnika przypadkiem nie dostrzegło tego, co wydarzy się tu tej nocy.

Przed Taramis, na sofie z karmazynowego marmuru, spoczywała wielka postać Dagotha. Jest doskonalszy od każdego zrodzonego przez kobietę śmiertelnika, pomyślała. Wokół niej i Śpiącego Boga stali w kręgu kapłani.

Okrywały ich połyskujące złote szaty i wszyscy mieli na głowach złote korony z pojedynczym zębem nad czołem, na którym wyryte było oko. Był to symbol głoszący, że choć bóg śpi, oni nigdy nie zasypiają w jego służbie.

Korona z najdłuższym zębem spoczywała na głowie tego, który stał po prawej ręce księżniczki. Śnieżnobiała broda rozkładała się jak wachlarz na jego piersiach, a sucha niczym pergamin twarz była wizerunkiem uprzejmej łagodności. Mężczyzna dzierżył wysoką łaskę zwieńczoną błękitnym diamentem wyciętym na kształt oka, dwakroć większego od ludzkiego. Był to Xanteres, najwyższy kapłan. Najwyższy po Taramis.

— Oto noc trzecia — rzekła nagle księżniczka, a nad krąg kapłanów wzbilo się westchnienie uniesienia. — Noc trzecia dzieląca nas od Nocy Przebudzenia.

— Niech będzie błogosławiona Noc Przebudzenia — zaintonowali kapłani.

— Śpiący Bóg nigdy nie umrze! — zawołała, a oni odpowiedzieli:

— Tam gdzie jest wiara, nie morze być śmierci!

Taramis rozpostarła ramiona.

— Namaśćmy naszego boga pierwszym z jego olei.

— Chwała tej, która namaszcza Śpiącego Boga — zaśpiewali kapłani.

Zaczęły grać flety, z początku cicho i powoli, potem coraz szybciej i cienie. Spomiędzy kolumnady wyłonili się dwaj nowi kapłani. Między nimi szła dziewczyna, której krucze włosy upięte były wysoko na kształtnej głowie. Jej ciało spowijały białe kapłańskie szaty. Chwilę później dwaj słudzy boga obnażyli ją, o ona, nie okazując śladu zawstydenia, zbliżyła się do Dagotha. Jej oczy, wpatrujące się chciwie w boskie oblicze, wyrażały najczystszy zachwyty. Taramis i Xanteres stanęli po obu jej stronach.

— Aniyu — powiedziała Taramis. Naga dziewczyna niechętnie oderwała oczy od śpiącego Boga. — Ty — mówiła księżniczka — jesteś pierwszą wybraną, wyniesioną ponad twe siostry z powodu swej czystości.

— Wielki to zaszczyt dla marnej sługi — wyszeptła kornie dziewczyna.

— W dniu swych narodzin zostałeś przeznaczona Śpiącemu Bogu. Czy teraz chętnie mu posłużysz? — Taramis znała odpowiedź, jeszcze zanim światło ekstazy rozbłysło w oczach dziewczyny. Szlachetnie urodzona wiedziała, że nie może być inaczej. Wszak wcześniej poczyniła długie i niezawodne przygotowania...

— Nędzna sługa błaga, by służyć swemu bogu — odparła dziewczyna cicho, acz żarliwie. Flety zapiszczały przeraźliwie.

— O wielki Dagothcie! — krzyknęła Taramis. — Racz łaskawie przyjąć naszą ofiarę i błagania! Przyjmij ten pierwszy olej zwiastujący Noc Twego Powrotu.

Xanteres, którego twarz nadal była portretem łagodności, złapał Aniyę za włosy, przechylił ją nad alabastrowym posągami, a potem odchylił jej głowę do tyłu naciągając szyję. Z fałdów szaty wyjął sztylet o złożonym ostrzu, które gładko wcięło się w napiętą skórę. Na twarz boga bluznęła szkarłatna fontanna.

— O wielki Dagothcie! — krzyknęła Taramis. — Twój słudzy namaszcza cię!

— O wielki Dagothcie! — powtórzyli kapłani. — Twój słudzy namaszcza cię!

Taramis opadła na kolana i dotknęła czołem marmuru. Pogrążona w ekstazie nie słyszała szelestu szat padających na twarz kapłanów.

— O wielki Dagothcie — modliła się — twój słudzy czekają na Noc Nadejścia! Ja czekam na Noc Twego Nadejścia!

Kapłani powtarzali gorączkowo.

— O wielki Dagothcie, twój słudzy czekają na Noc Twego Nadejścia!

Ciało Aniyi drgnęło po raz ostatni i znieruchomiło tam, gdzie upadło, zapomniane. Szkliste oczy dziewczyny nie widziały już rosnącej na białych płytach kałuży krwi.

Koń Conana stapał między głazami zaścielającymi dno górskiej doliny. Jeździec miał kamienny wyraz twarzy. Był skoncentrowany wyłącznie na drodze, nie pozwalał sobie na żadne inne myśli.

— Musimy jechać dalej — powiedziała mu rankiem Jehnna, a jego rysy stwardniały. Milczał, póki nie dotarli na przełęcz, która wiodła do drugiej doliny. Dopiero wtedy odezwał się:

— Za dwa dni możesz być bezpieczna w Shadizar. Nawet za dzień, jeśli zajeżdżymy konie — ze wzniesienia widział góry ciągnące się ku wschodzącemu słońcu. Za nimi leżała zamorańska równina.

— A moje przeznaczenie? — zaprotestowała Jehnna.

— Twoim przeznaczeniem nie jest znalezienie śmierci w tych górach. Odwiozę cię do pałacu ciotki.

— Nie możesz sprzeciwić się memu przeznaczeniu!

— Niech Crom porwie twoje przeznaczenie! — warknął.

Popędziła konia i zrównała się z nim.

— A co z Valerią? — zapytała. — Wiem, jaką nagrodę obiecała ci ciotka.

Utrzymanie obojętnego wyrazu twarzy wymagało od Conana tytanicznego wysiłku, ale udało się. Dług będzie spleciony, nieważne jakim kosztem. Ale nie kosztem Jehnny.

— Mogę chronić cię w czasie podróży, ale nie wtedy, gdy sami będziemy szukać niebezpieczeństwa. A może myślisz, że ten skarb będzie leżał nie strzeżony?

— Valeria...

— Ona nie poprosiłaby mnie, bym wymieniał twe życie za jej — przerwał ostro. — Teraz bądź cicho i jedź za mną.

Przez pewien czas dziewczyna faktycznie milczała, lecz była nadszana i mruczała coś pod nosem ze złością. Pochłonięty własnymi kłopotami Conan nie przyjmował jej gniewu do wiadomości.

Nagle powiedziała:

— To tam. Wiem to, Conanie. Musimy tam jechać. Proszę!

Mimo postanowienia, że tego nie uczyni, spojrzął we wskazanym kierunku... Szara góra nie była wysoka, ale u jej stóp zbocze było nienaturalne pocięte w setki bazaltowych kolumn i iglic. Przypominał sobie, że Jehnna nazwała tę podróż wyprawą w głąb labiryntu. W rzeczy samej, przed nimi rozciągał się istny labirynt, w którym bez zdradzania swej obecności mogłaby przyhać cała armia. Nie było to miejsce odpowiednie dla młodej dziewczyny, nawet jeśli tam znajdował się upragniony skarb Taramis. Cymmerianin zdecydował, że skręcą na południe i szerokim łukiem ominą złowieszczą górę. W milczeniu jechał dalej.

— Conanie!

Nie słuchał jej.

— Conanie!

Nagle zdał sobie sprawę, że to nie głos Jehnny. Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza. To, że wołający znał jego imię, mogło oznaczać wiele albo nic. Po chwili z płytkiego zagłębienia wyłonił się koryntiański koń z wojskowym siodłem i żyłastym, ciemnokim jeźdźcem na grzbiecie.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Cymmerianina.

— Malak! — zawołał. — Bałem się, że nie żyjesz.

— Nie ja! — odkrzyknął mały złodziej. — Jestem zbyt przystojny, by umrzeć!

Za Malakiem wyłonili się Bombatta, Zula i Akiro wiercący się w siodle i narzekający na swe stare kości. Czarnoskóra kobieta podjechała wprost do Jehnny. Zbliżyły do siebie głowy, by wymienić słowa przeznaczone wyłącznie dla ich uszu.

— Co się stało z Koryntiańczykami? — zapytał Conan. — I jak nas znaleźliście?

Akiro otworzył usta, ale Malak był szybszy.

— Kiedy ci głupcy zobaczyli, że uciekacie na przełęcz, przeszło połowa pognęła za wami wrzeszcząc, że oni pierwsi zabawią się z dziewczyną. Nie patrz tak na mnie! Na Mitrę, to oni tak powiedzieli, nie ja! W każdym razie zmniejszenie liczby wrogów dało szansę naszemu magowi. Powiedz im, co zrobisz, Akiro.

Akiro znów otworzył usta.

— Sprawił, że pojawił się tygrys — ciągnął ze śmiechem Malak. — Wielki niczym słoń! Fidesa świadkiem, że nie przesadzam! Konie dosłownie poszwały — uchwycił spojrzenie starego maga i dokończył słabo: — Ty opowiedz resztę, Akiro.

— To była tylko drobna iluzja — podjął wątek Akiro. Mówiąc wciąż patrzył na Malaka, jakby się bał, że gdy tylko spuści go z oka, żyłasty złodziej znów nie da mu dojść do słowa.

— Nawet gdy część z nich odjechała, nie miałem czasu na nic więcej. Był to sam widok i

zapach, tygrys nie mógł się nawet ruszać, ale konie, na szczęście, o tym nie wiedziały. Rzeczywiście wpadły w szaf. Nasze też. Ale to umożliwiło nam ucieczkę. Jesteśmy bez jucznych, jak widzisz, ale z własnymi skórąmi w jednym kawałku.

Conan znów pomyślał, że tej podróży towarzyszy zdecydowanie za dużo czarów, lecz nie mógł się skarżyć, skoro uratowały jego przyjaciół.

— Istny traf, żeście nas znaleźli — powiedział. — Wjechaliśmy w te przeklęte góry razem i byłoby dobrze, gdybyśmy je razem opuścili.

Malak zaczął coś mówić, ale zamknął usta na widok wściekłego spojrzenia Akiro.

— Fortuna nie ma z tym nic wspólnego — wyjaśnił żółtoskóry mag. — Wszystko dzięki temu — wyciągnął rzemień z małym rzeźbionym kamieniem na końcu. Wprawił kamień w ruch obrotowy, jednakże prawie od razu krąg zaczął się wydłużać, po czym kamyk zawisł w powietrzu wskazując prosto na Conana.

Cymmerianin wciągnął głęboki oddech. Nowe czary!

— Nie lubię, gdy coś takiego wiąże się ze mną — powiedział. Z zadowoleniem stwierdził, że udało mu się nie wrzasnąć.

— Nie z tobą — rzekł Akiro. — Z twoim amuletem, chociaż muszę przyznać, że gdybym miał kosmyk twoich włosów albo strzęp ubrania, znalazłbym cię dużo szybciej.

— Na Croma! — wysapał Conan. Włosy! Nigdy nie zamierzał dopuścić, by znalazły się w posiadaniu jakiegoś czarownika, bez względu na to, jak przyjaznego.

Akiro ciągnął dalej tak, jakby Conan nic nie powiedział:

— Gdy celem jest przedmiot nieożywiony, krąg z początku prawie wcale się nie zmienia.

Bardzo trudno wówczas odczytać kierunek. Przypomina to szukanie drogi w ciemności.

— A Bombatta nie chciał jechać za wskazaniem kamienia — wybuchnął Malak. —

Powiedział, że nie ma zaufania do Akiro — ostatnie słowa złodzieja ścisły prawie do szeptu i Malak niespokojnie popatrzył na maga.

— Nie przerwałś mi — zapewnił go dobrodusznie Akiro. — Już skończyłem.

Podczas gdy oni rozmawiali, siedzący na koniu Bombatta przenosił wściekłe spojrzenie z Conana na Jehnnę i z powrotem.

— Czy on cię skrzywdził, dziecko?

Jehna przerwała rozmowę z Zulą i niespokojnie odwróciła głowę.

— Co? Nie rozumiem, o co ci chodzi, Bombatto? Conan chroni mnie, tak jak ty.

Jej odpowiedź najwyraźniej nie zadowoliła mężczyzny w czarnej zbroi. Twarz mu pociemniała, blizny stały się sine. Popatrzył na Akiro, zawahał się, po czym zapytał:

— Muszę wiedzieć, czarnoksiężniku. Czy ona nadal jest niewinna?

— Bombatto! — zaprotestowała Jehna, a Zula zawołała:

— Tego pytania nie powinno się ani zadawać, ani udzielać na nie odpowiedzi!

— Powiedz mi prawdę, czarnoksiężniku — nalegał Bombatta. — Od tego zależy nasze życie i dużo, dużo więcej, niż możesz się domyślać.

Akiro ściągnął usta, potem powoli pokiwał głową.

— Jest niewinna. Wyczuwam to tak silnie, że aż jestem zdumiony, że wy tego nie czujecie.

— Gdy Bombatta opadł na siodło z westchnieniem ulgi, gruby mag podjechał bliżej do Conana i zniżył głos: — To kwestia ducha, a nie ciała, jak już kiedyś mówiłem — wymruczał.

Conan zarumienił się, a gdy zdał sobie z tego sprawę, poczerwieniał jak burak.

— Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy! — syknął. — I nie używaj na mnie swoich czarów.

— Skorzystaj z flakonika, jaki ci dałem — poradził Akiro. — Użyj go i odjedź. Zabierz dziewczynę, jeżeli sobie życzysz. Nie wątpię, że za dwie czy trzy noce zdołasz nakłonić ją do wszystkiego — chytry uśmiech przemknął po twarzy maga. — Być może tam, dokąd zmierzasz, Cymmerianinie, nie czeka cię nic prócz ran z rodzaju tych, których nigdy nie widać i które nigdy się nie goją.

Conan spochmurniał. Oparł się pokusie i nie sprawdził, czy mały flakonik nadal spoczywa w sakiewce u pasa. Valeria... Dług nadal był nie splecony! Nagle uświadomił sobie, że słyszy głos Jehnny:

— Mówi, że mnie nie weźmie, ale ja wiem, że jesteśmy prawie na miejscu. Wiem!

Bombatta zwrócił groźnie oblicze w stronę Cymmerianina.

— Co słyszę, złodzieju, czy rezygnujesz ze swej cennej Valerii? Czy ci Koryntiańczycy przepędzili z ciebie odwagę? Albo może nigdy jej nie...?

Oczy Conana były tak lodowate, że wojownik urwał w pół zdania. Kolejne emocje wyraźnie odmalowały się na pokrytej bliznami twarzy; najpierw zrozumienie, potem gniew, że dał się przestraszyć, i wreszcie wściekłość, że inni to widzieli. Złapał szablę tak mocno, że

aż rękojeść zaskrzybiała, ale wielki Cymmerianin nie uczynił najmniejszego ruchu w kierunku swego miecza.

Cierpliwości, powiedział sobie Conan. W urwistych górach Cymmerii ten, kto nie umiał być cierpliwy, szybko umierał. Później będzie dość czasu na zabijanie. Kiedy przemówił, jego głos był zimny jak lód:

— Nie zabrałbym Jehnny tam, dokąd chce się udać, nie mając innych oczu do wypatrywania i dodatkowych mieczy do jej obrony. Teraz mamy jedno i drugie — podjechał do Bombatty. — Bez zbędnej zwłoki, Zamorańczyku. Musimy stawić się w Shadizar przed jutrzejszą nocą i tam załatwimy nasze porachunki.

— Będę wyglądał tego z utęsknieniem! — warknął Bombatta.

— I ja — zapewnił Conan, ruszając — o tym nie zapomnę.

XVII

Dotarcie do połamanych kamiennych iglic zajęło połowę dnia. Z bliska rumowisko nie wyglądało lepiej niż z oddali. Wokół wznosiły się szare ściany, a droga zwężała się tak, że w końcu zmuszeni byli jechać jedno za drugim. Setki wąskich korytarzy krzyżowały się niczym miniaturowe wawozy, a rozdzielały je grube kamienne płyty. Czasami mieli do wyboru dziesięć różnych dróg, a każda była węższa i bardziej kręta od poprzedniej.

— W prawo — powiedziała jadąca zaraz za Conanem Jehnna. — W prawo. Nie, nie tu! Tam! Już blisko. Och, posuwalibyśmy się dwa razy szybciej, gdybyś tylko pozwolił mi jechać na czele.

— Nie! — krzyknął Bombatta.

Conan nic nie rzekł, jedynie ściągnął wodze, by omieść wzrokiem trzy wąskie korytarze wiodące w różnych kierunkach. Nie po raz pierwszy Jehnna prosiła o to, by jechać z przodu, a on już dawno zmęczył się wyjaśnianiem jej jakie to niebezpieczne. W czasie drogi do labiryntu Bombatta uparcie jechał obok dziewczyny, bowiem oznajmił, że nie wierzy, iż Cymmerianin będzie kierował się jej wskazówkami. Po tym, jak Bombatta zachował się po połączeniu uczestników wyprawy, Conan był pewien, że Zamorańczyk po prostu nie chciał zostawić dziewczyny z nim sam na sam, jednak leżące przed nim niewiadome nie dawało czasu na Roztrząsanie tego problemu.

— Dlaczego stanęliśmy? — zapytała Jehnna. — To właściwa droga. Prosto — wskazała na środkowe przejście.

— Jest za wąskie dla koni — powiedział Conan. Z pewną trudnością zsunął się z siodła i wyszedł przed swego wierzchowca. — Będziemy musieli je zostawić.

Nie podobał mu się ten pomysł. Spętane wierzchowce nie odejdą daleko, ale tutaj nawet niewielka odległość mogła stanowić istotną różnicę. A bez koni, na Dziewięć Piekieł Zandru, nie było nadziei na dotarcie do Shadizar na czas. Inni też zsiadli i spętali przednie nogi wierzchowców.

— Malak — powiedział Conan — ty lepiej zostań z końmi. Mały złodziej drgnął i popatrzył na otaczające ich kamienie z chorym wyrazem twarzy.

— Tutaj? Na Czarę Sigyna, Conanie, chyba nie powinniśmy się rozdzielać. Musimy trzymać się razem, czyż nie? Tutaj dostownie nie ma czym oddychać!

Conan miał zamiar ostro go zbesztać, ale powstrzymał się. Sam przez chwilę myślał o tym, że kamienne ściany wznoszą się tak blisko siebie, iż prawie odcinają dopływ powietrza. Może jednak tylko na Malaka działały tak ciasne korytarze i zamknięta przestrzeń? Przyjrzał się twarzom innych i spróbował ocenić, czy czują to samo. Jehnna była zniecierpliwiona, twarz Zuli zaś była maską kogoś, kto w każdej chwili spodziewa się walki. Bombatta jak zwykle ciskał groźne spojrzenia, a Akiro, również jak zwykle, wyglądał na zadumanego. Może niepokój i poczucie zagrożenia rodziły się wyłącznie w wyobraźni Conana. A może nie...

— Tak, trzymajmy się razem — zdecydował. Ujął miecz w jedną, a sztylet w drugą rękę.

— Tak będziemy znaczyć drogę — sztyletem wydrapał w kamieniu strzałę, zwróconą grotem w kierunku koni — byśmy mogli łatwo znaleźć wierzchowce. Trzymajcie się blisko siebie. Conan ruszył korytarzem, choć nie tak szybko, jak chciałaby Jehnna. Co dziesięć kroków wydrapywał kolejną strzałę.

Czasami musieli przeciskać się bokiem.

Niektóre przejścia były tak wąskie, że nawet Jehnna nie mogła iść normalnie. Conan niezależnie od tego, w jaki sposób się posuwał, zawsze trzymał miecz wysunięty ostrzem do przodu i sztylet gotowy do walki ze wszystkim, czemu udałoby się minąć dłuższą broń. W miarę wchodzenia coraz głębiej w labirynt, wrażenie obecności zła narastało. Cymmerianin prawie mógł nazwać to, co zdawało się przesycać kamienie, wśród których się przeciskali.

Było to jak wspomnienie woni rozkładu — tak lekkie, że nos nie mógł go wyczuć, tak rozcieńczone, że umysł nie potrafił go pojąć, a jednak wykrywalne przez najpierwotniejsze instynkty.

Obejrzał się na innych i tym razem stwierdził, że ich twarze odzwierciedlają odczuwany przez niego niepokój — wszystkie, prócz twarzy Jehnny.

— Dlaczego idziemy tak wolno? — zapytała dziewczyna. Daremnie próbowała przepchnąć się obok wielkiego Cymmerianina. — Jesteśmy prawie na miejscu!

— Akiro? — rzekł pytająco Conan.

Oblicze siwowłosego czarownika było skrzywione tak, jakby miał w ustach coś o ohydny smaku.

— Wyczułem to od razu po wejściu w ten labirynt. Z każdym krokiem staje się silniejsze.

To... plugawość — zatrzymał się i splunął. — Ale jest stara, bardzo starożytna i nie sądzę, by nam zagrażała. Przybyliśmy o całe stulecia za późno.

Conan skinął głową i ruszył w dalszą drogę. Słowa czarnoksiężnika nie przekonały go.

Jego własne zmysły nie były magiczne, ale dzięki nim zachował życie w wielu przypadkach i one właśnie mówiły mu, że tu jest niebezpiecznie! Ani na chwilę nie rozluźniał palców zaciśniętych na broni.

Korytarz nagle wyszedł na otwartą przestrzeń. Tutaj w skalnym podłożu wryto skomplikowane wzory. Całość tworzyła wielki dziedziniec przed frontem świątyni wyciętej w zboczu góry. Wzdłuż fasady wznosiły się żłobkowane kolumny, a między nimi stały niegdyś dwie dziesiątki obsydianowych posągów wysokości czterech ludzi każdy. W całości zachował się tylko jedna z nich — czarny wojownik z długą włócznią. Wiatr i deszcze zatarały jego rysy. Z reszty posągów zostały tylko potrzaskane kawały czarnego kamienia i kikuty nóg.

Conan schował sztylet i przytrzymał Jehnnę za rękę, gdy dziewczyna próbowała pobiec do świątyni.

— Uważaj, dziewczyno — powiedział. — Tu ja będę nadstawiał karku. Tobie nie wolno ryzykować!

Bombatta złapał ją za drugą rękę i obaj mężczyźni lodowato zmierzli się wzrokiem ponad głową Jehnny. Bez słów obiecali sobie śmierć. To kolejny powód, by pragnąć jak najszybszego zakończenia tej podróży, pomyślał Conan. Taka obietnica nie mogła pozostać nie spełniona.

— Puśćcie mnie! — zawołała ze złością Jehnna, szarpiąc się w ich stalowych dłoniach. — Muszę znaleźć Róg! Jest w środku. Puszczajcie!

Zula patrząc drwiąco na obu mężczyzn położyła ręce na ramionach dziewczyny.

— Chcecie rozedrzeć ją na części? A może zmiażdżyć między sobą?

Conan cofnął rękę, Bombatta uczynił to mgnienie oka później. Zula odciągnęła dziewczynę, szepcząc jej coś do ucha. Conan bez zmrużenia powieki spojrzął we wściekłe oczy Bombatty.

— Musimy to załatwić, złodzieju — rzekł wojownik o porytej bliznami twarzy.

— W Shadizar — powiedział Conan, a tamten skinął głową na zgodę.

Akiro ruszył pierwszy i pochylił się przed resztkami posągu. Potem przyklęknął próbując wymyć palcami zatarte przez czas znaki na piedestale obsydianowego posągu. Niewiele ich pozostało.

— Co robisz? — roześmiał się Malak na ten widok. — Czytasz ozdoby? Widziałem już lepsze esy-floresy zrobione przez pewnego jednookiego pijaczynę...

Akiro westchnął, wyprostował się i otrzepał ręce.

— Przeczytałbym je, przynajmniej po części, gdyby nie były tak paskudnie zatarte. To pismo, nie ozdoby. Ta świątynia jest starsza, niż myślałem. Ostatnie znane zapiski w tym języku pochodzą sprzed ponad trzech tysięcy lat, a nawet wtedy był on już językiem martwym. Zachowały się tylko porozrzucone po świecie fragmenty. Może w środku znajduje coś więcej.

— Nie przyszedł tu po to, by odczytywać stare napisy! — warknął Bombatta.

W duchu Conan musiał przyznać mu rację, ale powiedział tylko:

— To chodźmy.

Skalne gołębie wystrzeliły z gniazd ukrytych nad masywnymi kolumnami. Trzepot skrzydeł zabrzmiał w ciszy jak huk. Conan podszedł do wysokich brązowych drzwi, porośniętych wielowiekowym grynszpanem. W zielonej masie zdołał dostrzec olbrzymie otwarte oczy wykute w metalu obu skrzydeł drzwi. Pod każdym wisiał wielki brązowy pierścień.

— Nigdy ich nie otworzymy — powiedział Malak patrząc z powątpiewaniem na spatynowane wrota.

Conan złapał za jeden pierścień. Ku jego zdumieniu potężne drzwi otworzyły się ze skrzypem. Powiedział sobie, że to przypadek, iż otworzyły się tak łatwo. Gdyby ktokolwiek korzystał z nich częściej, zawiasy z pewnością byłyby naoliwione. Nie spodobała mu się ulga, jaką odczuł na tę myśl.

— Bądźcie czujni — rozkazał — i pilnujcie się. — Potem wszedł do środka.

Na posadzce leżała gruba warstwa wiekowego kurzu. W złotych uchwytach na pokrytych płaskorzeźbami ścianach znajdowały się spróchniałe pochodnie, obwieszane festonami pajęczyn. Sklepienie ginęło w cieniu, a rozległa sala pogrążona była w mroku.

Nagle Zula wrzasnęła. Pająk — tak wielki, że jego rozpostarte odnóża mogłyby pokryć męską dłoń — przebiegł przez jej bosą stopę.

— To tylko pająk — powiedział Malak przydeptyując go butem. Odkopnął w bok zmiażdżone resztki. — Nie trzeba się bać... — żyłasty złodziej sapnął jękliwie, gdy kij Zuli śmignął w powietrzu i zatrzymał się o szerokość palca od jego nosa.

— Ja się nie boję! — wysyczała Zula. — Po prostu nie lubię pajaków... — w sali rozległy się szmery i czarnoskóra wojowniczką spojrzała niespokojnie w stronę, z której dobiegły — i szczurów — dodała. — Jeszcze bardziej nie lubię szczurów.

Conan zdjął ze ściany pochodnię i wyjął z sakiewki krzesiwo oraz krzesiwo.

— Może jeszcze da się ją zapalić... — zaczął.

Akiro poruszył ustami i nagle na jego złączonych palcach zatańczył płomień. Przynął rękę do pochodni, która zajęła się z niezwykle głośnym traskiem.

— Będzie się palić — stwierdził.

— Nie możesz poczekać, aż ktoś cię poprosi? — zapytał sucho Conan, chowając niepotrzebne krzesiwo. Akiro wzruszył ramionami.

Bombatta i Malak odpalili łuczywa od pochodni Conana i rozglądali się czujnie po wielkiej sali. Ich stopy deptały kurz, w którym poza tym odznaczały się jedynie ślady szczurzych łap. Wokół leżały porozrzucone kości małych zwierząt i ptaków, niektóre przysypane kurzem, inne nie. Minęło wiele czasu, od kiedy po raz ostatni przechodził tu ktoś poza gryzoniami i ich ofiarami.

Ruszyli w głąb świątyni. Ściagało ich popiskiwanie szczurów, wstrzymywanych przez blask ognia. Płomienie pochodni odbijały się w setkach maleńkich, głodnych ślepi. Zula mruczała i kręciła głową, próbując patrzeć we wszystkie strony naraz. Malak już z niej nie żartował. Unikając widoku błyszczących ślepi, monotonicznie recytował mieszaninę przekleństw i modlitw do dziesiątków bogów.

Po drugiej stronie sali znajdowały się szerokie schody wiodące na podest, na którym stał marmurowy tron z wysokim oparciem. Przed tronie leżał stosik wysuszonych kości, a na tronie drugi, zwieńczony ludzką czaszką. Puste, mroczne oczodoły wpatrywały się w Conana i jego towarzyszy. Zbroja, odzienie, korona — cokolwiek nosił zasiadający na tronie człowiek, dawno temu przemieniły się w proch.

Jehna wskazała na prawo, na skryte w ciemności sklepienie przejście.

— Tędy — powiedziała.

Conan westchnął z ulgą na myśl, że skarb — róg nie leży na tym tronie. Przed laty zabrał swój miecz z tronu nie tak znów bardzo różniącego się od tego i nie było to przeżycie, którego chciałby doświadczyć ponownie.

Ledwo przebrzmiały słowa dziewczyny, Bombatta ruszył ku mrocznemu przejściu.

— Schody! — mruknął unosząc pochodnię. — Jak głęboko musimy zejść?

— Tak głęboko, jak będzie trzeba — powiedział Conan i odsunawszy Bombattę na bok, ruszył w dół.

XVIII

Szerokie schody schodziły spiralnie w głąb góry. Conan zauważył po drodze ślady trzęsienia ziemi, które powywracało posągi przed świątynią. Ściany poryte były pajęczą siecią spękań, a raz natknęli się na uskok w schodach, wyglądający jak gdyby ktoś przeciął je w poprzek, a potem przesunął jedną część o szerokość dłoni w bok. Po ścianach łąziły pająki. Wielkie pajęczyny co chwila zamykały przejście, ale pod dotknięciem pochodni Cymmerianina z sykiem stawały w płomieniach i znikały.

— Nie podoba mi się tu, Conanie — wyszeptał głośno Malak.

— To wróć i czekaj na górze — odparł Conan.

— Ze szczurami! — zapiszczała mały złodziej, a Zula zachichotała.

Na końcu schodów ukazała się długa, wysoka komnata. Jej sklepienie podtrzymywały kolumny, które na pierwszy rzut oka zdawały się złote. Jedna z nich była wywrócona, a

połamane fragmenty walały się na zakurzonej mozaikowej posadzce. Po bliższych oględzinach okazało się, że kolumny zostały wykute ze zwykłego szarego kamienia i pokryte cienką warstwą złota. Na sklepieniu widniała plątanina dziwacznych symboli, z których Conan potrafił rozpoznać tylko jeden. Otwarte oko, takie jak na brązowych drzwiach, powtarzało się wśród wielu innych znaków. Barbarzyńca nawet nie próbował zgadywać, co ono oznacza.

— Conanie! — zawołał Akiro. — Wygląda na to, że mamy tu inne wyjście.

Czarownik stał pod ścianą komnaty, przy szerokich drzwiach, które wyglądały na żelazne, ale nie było na nich śladu rdzy. Nie miały również zawiasów. Wydawały się olbrzymią metalową płytą osadzoną w kamieniu.

— Oto droga — wyszeptła żarliwie Jehnna, wpatrując się intensywnie w drzwi. — Musimy tam iść.

Ciemnoszara powierzchnia drzwi była gładka. Urozmaicały ją jedynie otwarte oko pośrodku i dwa wyszczerzone demony blisko podstawy. Z otwartych, groteskowych paszcz wystawały kły wielkie jak szable dzika. Conan zapukał mieczem w zakrzywione pyski demonów. Z jednej paszczy wyskoczył szkaradny wij, którego ukąszenie powodowało pewną, powolną śmierć w męczarniach. Malak uskoczył mu z drogi. Za moment robak znalazł schronienie wśród szczątków zwalonej kolumny. Conan schował miecz do pochwy, podał pochodnię Zuli i przykucnął przed drzwiami. Wsunął ręce w paszcze demonów. Jak się domyślał, dłonie namacały otwory. Szarpnął w górę.

— Uchwyt! — zawołał Malak.

Conan napiął muskuły i zaczął zastanawiać się, czy miał rację, dochodząc do tego samego wniosku. Metalowa płyta ani drgnęła, jakby była częścią samej góry. Nagle obok niego stanął Bombatta i złapał za jedną z głów. Conan przesunął ręce i podwoił wysiłki. Ściągną nabrzmiały mu na karku i udach, a każdy mięsień wręcz krzyczał o litość. Ciemne cętki zatańczyły mu przed oczami. Wreszcie żelazna płyta uniosła się na szerokość dłoni. Powoli, z metalicznym zgrzytem drzwi ustąpiły. Conan i Bombatta podnieśli je tak, że znalazły się ponad ich głowami.

— Do środka — wydyszał Cymmerianin. — Prędkiej!

Pozostali precyzyjnie się spieszyli między dwoma siłaczami, po czym Bombatta puścił uchwyt i skoczył za nimi. Gonan zadygotał z wysiłku, samodzielnie trzymając drzwi. Wahał się je puścić, gdyż nigdzie nie mógł dostrzec otwartych pysków demonów ani innych środków służących do otwarcia drzwi z drugiej strony. Gdyby je puścił, mogli się znaleźć w pułapce. Lecz jeżeli zaraz nie znajdzie sposobu ich podparcia, będzie musiał je puścić... Akiro mruczając coś do siebie podszedł do ściany obok drzwi, gdzie z kamienia wystawał pręt brązu zakończony gałką. Mag położył rękę na ozdobionej wszechobecny okiem gałce, pchnął, i pręt wsunął się w ścianę.

Conan zamrugał. Dźwigany ciężar zmaleł. Rozluźnił mięśnie. Drzwi nie poruszyły się.

— Dziękuję — powiedział do Akiro — ale czy nie mogłeś otworzyć ich sam?

— Mogłem — odparł uprzejmie mag — ale sam mówiłeś, że bym nie robił niczego nie proszony. Skoro nie...

— Gdzie są inni? — uciął Conan.

Trzymaną przez maga pochodnia oświetlała koniec wąskiego korytarza, w którym prócz ich dwóch nie było nikogo. Nawet światła innych łuczycywn zniknęły w mroku. Cymmerianin zaklął i rzucił się w pogoń, nie zważając na Akiro sapiącego mu za plecami. Korytarz przemienił się w okrągłą komnatę. Obaj mężczyźni stanęli raptownie i szeroko otwarli oczy ze zdumienia. Pozostali już tu byli — wznosili wysoko pochodnie i rozglądali się ciekawie. Naprzeciw drzwi, którymi weszli, ze ściany wystawała wyszczerzona ogromna głowa z czarnego kamienia. Z komnaty wychodziło dwoje innych drzwi. Jedne z nich zostały niegdyś wyłamane i zasypane gruzem. Na pozostałych ścianach widniały płaskorzeźby przedstawiające baśniowe bestie z klejnotami w ślepiach, inne zaś szlachetne kamienie tworzyły ich kopyta, kły i rogi. Między reliefami osadzono wielkie złote płyty pokryte dziwnymi napisami. Nisko sklepiony sufit pokryty był onyksami oraz diamentami niczym gwiazdy na bezchmurnym niebie.

Akiro zbliżył się do jednej ze złotych tablic i przebiegł palcami po wrytych napisach, jakby nie dowierzał własnym oczom.

— To ten sam alfabet co na zewnątrz... Tutaj jest więcej napisów w tym języku niż we wszystkich innych miejscach na całym świecie. Potrafię je odczytać — stwierdził wpatrując się w litery: — I trzynastego dnia Ostatniej Bitwy bogowie weszli do walki, a góry zadygotały pod ich stopami...

Pulchny czarownik czytał dalej, ale Conana bardziej interesowało to, co pod czujnym

okiem Bombatty robi Jehnna. Tylko ona nie okazała zachwyty na widok bogactw tej komnaty. Jej oczy spoczywały na okropnej głowie z czarnego kamienia. Stała przed nią, nie patrząc nigdzie indziej. Pod stopami miała krąg wyrzeźbionych w marmurze posadzki runów z wplecionym w nie pentagramem.

Conanowi oddech uwiązał w gardle. Znał ten symbol aż nadto dobrze. Wzniósł dłoń, by powstrzymać dziewczynę... Ale chodziło przecież o Valerię! Jehnna powiedziała, że spełnia swoje przeznaczenie, że urodziła się, by zrobić to, co ma być zrobione... Wzniesiona dłoń zacisnęła się w pięść z taką siłą, że aż zatrzeszczały kostki. Conan mógł tylko patrzeć, co będzie dalej.

Z fałd szaty Jehnna wyjęła czarną sakiewkę, w której nosiła Serce Arymana. Gdy czerwony klejnot spoczął na jej dłoni, jego cynobrowy blask nappełnił komnatę, a szlachetne kamienie osadzone w stropie i ścianach zabłyśły z większą siłą. Jehnna ostrożnie położyła Serce w środku pentagramu. Było tam wgłębienie doskonale pasujące do klejnotu. Gdy dziewczyna wyprostowała się, w jej oczach brakowało świadomości. Pograżona w transie rozpoczęła pieśń, której słowa odbijały się echem od ścian. W miarę śpiewania blask Serca przybierał na sile, jednakże teraz oświetlał wyłącznie kamienną głowę. W końcu cała maskara skąpała się w szkarłatnym świetle. Czarne kamienne oczy zdawały się odbijać żar magicznego klejnotu, a w ich głębi — której nie było widać wcześniej — pełgały purpurowe cienie.

— Żyje! — syknęła Zula, a Malak zaczął recytować modlitwy.

— Trzeba ją powstrzymać — rzekł nagle Akiro. W jego głosie zabrzmiał niepokój. — Szybko, Conanie, musisz... — Przerwał raptownie z jękiem niedowierzania.

Kamienne szczęki potwornej głowy otworzyły się tak szeroko, że mogłyby pochłonać naraz trzech ludzi, a wewnątrz zapłonął ogień, jakiego nigdy wcześniej nie widziało ludzkie oko. Była to krew przemieniona w płomień. Conan nagle zdał sobie sprawę, że cofa się osłaniając twarz przed żarem, który zdawał się przepalać powietrze. Chociaż bolały go oczy, dostrzegł wśród płomieni kryształową iglicę. Była to przejrzysta kolumna taka sama jak ta, na której spoczywało Serce Arymana w pałacu Amon–Ramy. Jednak na szczycie tej leżał złoty róg, podobny do byczego. Postument i róg były nie tknięte przez szalejącą wokół ognistą burzę.

Jehnna wyglądała tak, jakby widziała rzeczy nie z tego świata. Jej ogromne oczy były puste, a twarz pozbawiona wszelkiego wyrazu. Powoli wzniosła ręce do ramion i szata spłynęła do jej stóp. Stała naga — szczupłe ciało skąpał żar ryczących płomieni. Znamię między jej drobnymi piersiami rozjarzyło się jak ogień. Szybkim, pewnym krokiem ruszyła do przodu. Nieruchomy jak skała Bombatta obserwował ją, a światło w jego ciemnych oczach mogło być odbiciem płomieni buchających z nadnaturalnego pieca.

— Nie! — krzyknął Conan, jednakże było już za późno.

Jehnna weszła w huczące palenisko. Płomienie zawirowały wokół niej. Lizały jej smukłe, nagie ciało, jednakże ona wchodziła coraz głębiej, niczego nieświadoma i nie oparzona.

Obiema rękami podniosła złoty róg i wróciła z nim z powrotem na pentagram.

Przez chwilę stała nieruchomo, podobnie jak pozostali, którzy jakby wrosli w podłogę.

Potem westchnęła, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Zula jej nie podtrzymała.

Czarnoskóra kobieta szybko ubrała dziewczynę.

— Dokonało się — rzekł cicho Bombatta. — Róg jest w rękach Jedynej.

— Conanie — zaczął drżącym głosem Akiro — jest coś, co musisz wiedzieć...

Nagle przez komnatę powiał wiatr — lodowaty podmuch, który przeniknął ich do szpiku.

Był to dziwny wiatr, bo płomienie pochodni nawet nie zachwiały się pod jego naporem.

Ucichł równie nagle, jak się pojawił, a ogień w olbrzymiej paszczy wygasł. Pozostał jedynie przeszywający chłód.

— Conanie... — zaczął znów Akiro.

— Później! — warknął Cymmerianin. Jak na jeden dzień, był świadkiem zbyt wielu czarów i to wyprowadziło go z równowagi. — Idziemy! — nie czekając, aż Jehnna zabierze Serce Arymana, wybiegł spieszenie z komnaty.

XIX

Conan wiódł małą procesję wąskim korytarzem. Jehnna niosła przytulony do piersi złoty róg, a Bombatta i Zula maszerowali tuż za nią.

Cymmerianin, choć zadowolony, że Jehnnie nic się nie stało, był zaniepokojony tym, co przeżyła, i równie zdenerwowany niesionym przez nią przedmiotem.

Akiro szarpnął go za łokieć.

— Muszę z tobą porozmawiać — rzekł cicho, zerkając niespokojnie na Bombattę. — Na osobności. To pilne.

— Tak, tak... — mruknął z roztargnieniem Conan. Myślał o tym, że w swoim młodym życiu miał do czynienia z czarami więcej razy, niż chciał pamiętać. Czasami odkrywał, że potrafi je wyczuć, a tym, co biło od niesionego przez dziewczynę złotego rogu, był odór zła. Bardzo pragnął oddalić się od tego miejsca, wrócić do Shadizar i mieć wszystko za sobą.

— Później, Akiro — mruknął.

Malak pobiegł przed nimi ogarnięty pragnieniem wydostania się na zewnątrz.

— Szybciej! — krzyknął przez ramię. — To miejsce jest złe! Na Mitrę! Szybciej! — zniknął z pola widzenia, a jego słowa ucichły w dali.

— Głupiec — mruknął Conan. — Nie pora na rozdzielanie sił — wszedł do komnaty o pozłacanych kolumnach i stanął jak wryty.

Malak był tam, nerwowo przewracając oczami. Przed nim stało ponad dwudziestu wojowników w starodawnych zbrojach z czarnej skóry, z pochylonymi długimi włóczniami. Najmniejszy z nich był wyższy i potężniej zbudowany od Conana czy Bombatty. Byli czarni jak obsydianowe rzeźby przed świątynią, ale Conan z ulgą spostrzegł, że ich piersi wznoszą się i opadają w rytm oddechów. Byli ludźmi, nie ożywionymi posągami. To była jego pierwsza myśl.

Dwaj wojownicy wysunęli się do przodu. Z brązowego hełmu jednego spływała kita długich białych włosów. Drugi miał na głowie czarną, skózaną, obcisłą czapkę, z której zwisały się długie frędzle z czerwonego włosia. Przemówił ten z białą kitą. Do Jehnny. — Długośmy na ciebie czekali, Jedyna. Spalimy jak nasz bóg i czekaliśmy cierpliwie na dzień twego przybycia. Zbliży się Noc Przebudzenia.

Bombatta przesunął się niespokojnie, a oddech ze świstem wyleciał spomiędzy zębów Akiro.

— Ta dziewczyna nie ma z wami nic wspólnego — powiedział Conan. — Prosimy o wybaczenie, jeśli przerwaliśmy wasz sen, ale czeka nas daleka droga i musimy ruszać. Przez cały czas badał wzrokiem czarnych wojowników. Nie pragnął z nimi walczyć, skoro można było tego uniknąć, ale ci ludzie zdawali się twierdzić, że to ich świątynia. A wyznawcy często stawali się porywcy, gdy uznali, iż obcy wtrącają się do ich religii. — Wy możecie odejść — odparł zwalisty wojownik. — W zamian za przyprowadzenie nam Jedynej, darujemy wam życie. Ona zostanie z nami.

Conan pozornie niedbale stanął pomiędzy wysokim wojownikiem a Jehnną.

— Ona nie jest tą, której szukacie — powiedział, ale wojownik zignorował go i znów przemówił do Jehnny:

— Od wieków pogrążeni we śnie strzeżliśmy Rogu Dagotha. Czekaliśmy na ciebie — Jedyną, która może dotknąć Rogu. Teraz Śpiący Bóg przebudzi się, a jego zemsta dotknie tych, którzy go zdradzili...

Conan kątem oka dostrzegł szybki ruch — ręka Bombatty śmignęła do przodu i w gardle wysokiego wojownika utkwiał sztylet. Krew trysnęła z ust czarnego olbrzyma i w komnacie rozpętało się piekło.

— Zawracać! — ryknął Conan. Do wyjścia prowadziła tylko jedna droga — przez wojowników, którzy nadstawili włócznie i ruszyli ławą dysząc z furii. — Cofnąć się! Szybko! — Cymmerianin cisnął pochodnię w twarz jednego woja, odbił w bok włócznię drugiego i ciał trzeciego przez brzuch.

Usłyszał grzechot. Rozpaczliwie odpierając mieczem coraz liczniej mierzące w niego włócznie, zaryzykował szybki rzut oka przez ramię. Wielkie żelazne drzwi opadały wolno i już tylko niewielka przestrzeń dzieliła je od podłogi. Zaatakował z rykiem, a wirujący miecz przemienił się w rozmazany krąg stali. Dzikość ataku zmusiła przeciwników do cofnięcia się, mimo iż mieli zdecydowaną przewagę. Conan natychmiast wykorzystał chwilę zaskoczenia. Obrócił się, rzucił na posadzkę i potoczył w kierunku domykających się drzwi. Ich skraj zadrapał go w ramię, potem znalazł się po drugiej stronie, a płyta osiadła z ciężkim, zgrzytliwym dudnieniem.

Akiro, Malak i Zula spojrzeli na niego niespokojnie, lecz nie było czasu na pytania.

— Musimy się śpieszyć — rzekł Conan, gdy tylko stanął na nogach. — Zaraz je podniosą!

— Zobaczę, co da się zrobić — powiedział Akiro. Wsunął rękę do sakiewki, wyjął kredę i zaczął rysować na drzwiach dziwne symbole.

— Mogłeś mnie ostrzec — syknął Conan do Malaka. — Krzyknąć, że opuszczacie drzwi.

— Bombatta nas zaskoczył — odparł Malak. — Złapał Jehnnę i nim zdołaliśmy się ruszyć, oni już byli z tej strony. Przypuszczam, że pociągnął za gałkę, gdy tylko znalazł się za drzwiami.

— Już — oznajmił Akiro, cofając się od płyty. Na drzwiach widniały lekko jarzące się symbole, na których nie można było skupić wzroku. — To powinno zatrzymać ich na jakiś czas.

Conan nagle stracił zainteresowanie drzwiami.

— Gdzie jest Jehnna? — zapytał. — I Bombatta? Zula odwróciła się szybko i rozejrzała po mrocznej sali.

— Tak martwiłam się o ciebie — wyszeptła — że nie... Jeżeli on ją skrzywdzi...

Conan nie czekał, aż kobieta dokończy. Jak najszybciej pomknął w kierunku sali z wielką kamienną głową. Komnata była pusta. Bez wahania wybrał jedyną drogę prowadzącą dalej — wejście do trzeciego korytarza.

Głowę przepelniały mu ponure myśli. Może Bombatta chce sam zawieźć Jehnnę do Shadizar. To bardzo podobne do tego Zamorańczyka, pomyślał Conan, tylko po to, by zaleźć mi za skórę, z przyjemnością pozbawiłby Valerię szansy powrotu do życia. Cymmerianin już nie chciał czekać na powrót do Shadizar. Pora wyrównania rachunków nadeszła!

Korytarz biegł prosto jak strzała, bez zakrętów, rozwidleń i bez przejść wiodących do innych komnat. Jego ściany i strop były wypolerowane niczym marmur. Posadzkę pokrywała gruba warstwa kurzu, a w nim w świetle pochodni widać było ślady tych, których Conan ścigał. Trop był tak wyraźny, jak koleiny w wiejskiej drodze. Odległość między poszczególnymi śladami powiedziała mu, że oni również biegną.

Nagle korytarz otworzył się na olbrzymią, kwadratową komnatę. Spękany strop podtrzymywały grube, blisko siebie osadzone kolumny. Wiele z nich było popękanych. Zdawało się, że wystarczy dmuchnąć, by się powywracały. Wszędzie leżały pokryte kurzem trójnogi, wysokie stojaki do osadzania pochodni i inne przedmioty, których przeznaczenia Cymmerianin nie potrafił odgadnąć.

Pochodnia wystarczała, by w jej chwiejnym świetle dostrzec kolejne drzwi — prostokąt czerni na tle szarych cieni. Szlak stóp wiódł prosto w tym kierunku, ale Conan zatrzymał się. Być może Bombatta krył się gdzieś między kolumnami, a trop prowadził w zasadzkę.

Cymmerianin przykucał, przygotowany do nagłego uniku. Z mieczem w pogotowiu ostrożnie ruszył do przodu. Jego oczy przepatrywały rozpościerającą się wokół ciemność, szukając najmniejszego śladu ruchu.

— Jehnna! — zawołał cicho, potem głośniejsz: — Jehnna! — Imię wróciło echem, a on wykrzyknął je, jeszcze głośniejsz: — Jehnna!

Potem zobaczył stojącego obok wejścia Bombattę. Wojownik miał w rękach gruby zardzewiały pręt, długi na dobre trzy kroki. Teraz wcisnął go między dwie spękane kolumny jak dźwignię i szarpnął z całych sił.

Conan miał wrażenie, że czas spowolnił bieg, gdy kolumny odchyliły się w przeciwnych kierunkach i zaczęły rozpadać się na części. Sklepienie zajęczało. Na barbarzyńcę posypały się kawałki skał.

Cymmerianin zawrócił i rzucił się do tyłu, byle dalej od walącego się sklepienia. Ryk spadającego stropu przetoczył się przez komnatę. Conan poczuł, że coś uderzyło go w głowę i wokół zamknęła się ciemność...

Jehnna kuciała tam, gdzie zostawił ją Bombatta. Niespokojnie patrzyła w głąb korytarza, którym uciekali. Uciekali! — pomyślała ze złością. Bombatta uciekł. A ona dała mu się wleć niczym tobołek. Nawet nie chciał wysłuchać jej błagań, że powinien pomóc pozostałym, potem zaś kazał jej czekać i zawrócił. Bardzo dobrze, że umieścił ją w bezpiecznym miejscu, ale mógł przecież posłuchać jej wcześniej. Przez szczelinę w wielkiej kamiennej płycie za jej plecami wpadały złotoczerwone promienie słońca, lecz ona nawet na to nie spojrzała. Po drugiej stronie tej grubej płyty czekał dzień i powrotna droga do Shadizar, ale Conan nadal był gdzieś w głębi. A jeżeli został ranny i potrzebował jej? A jeżeli...

Szybkie kroki zapowiedziały powrót Bombatty. Wojownik w pośpiechu pokonał stromą pochylnię korytarza.

— Nic ci nie jest? — zapytała.

Wojownik był okryty kurzem i brudem, z zadrapania na policzku sączyła się krew. Zaczął mijać Jehnnę, lecz nagle stanął z pobladłą twarzą.

— Gdzie jest róg, dziecko? Na Dziewięć Piekieł Zandru, jeśli go zgubiłaś...

— Jest tutaj — pokazała mu węzełek zrobiony z oddartych od płaszcza pasów. Wiedziała, że wyprawa po Róg Dagotha była jej przeznaczeniem, ale w złotym przedmiocie było coś, co sprawiało, że nie chciała go dotykać. Serce Arymana i Róg Dagotha były teraz razem, otulone w warstwy białej wełny, a ona pragnęła, żeby tych warstw było dużo więcej. — Gdzie jest... gdzie są inni?

— Nie żyją — odparł zwięźle Bombatta. Napinając mięśnie, napał na masywną kamienną płytę.

Jehna siedziała jak rażona gromem. Nie żyją? Conan nie może być martwy. Nie potrafiła wyobrazić go sobie jako martwego. Ani innych. Zula, Akiro, nawet Malak nabrali dla niej szczególnego znaczenia. Nie chciała myśleć, że któreś z nich zostało zranione. Ale wysoki młodzieniec o dziwnych szafirowych oczach i dłoniach, które potrafiły być delikatne, gdy nie dzierżyły miecza, był dla niej bardziej niż szczególnie...

— Nie wierzę — wyszeptła. Wielka płyta przewróciła się z trzaskiem, wzbijając chmurę pyłu i wpuszczając do środka powódź słonecznego światła. — Słyszałam, jak wykrzykiwał moje imię. Jestem tego pewna.

— Chodź, Jehno. Mamy niewiele czasu, dziecko.

Bombatta złapał ją za rękę i wyciągnął przez otwór. Znajdowali się na skraju olbrzymiego świątynnego dziedzińca. Słońce już malowało purpurą zachodu szczyty gór. Bombatta rzucił okiem na spiżowe drzwi świątyni i klnąc pod nosem, wciągnął Jehnę w labirynt kamiennych słupów i iglic.

— Nie wierzę, że Conan nie żyje — powtórzyła dziewczyna.

— Jeden ze znaków — mruknął odziany w czarną zbroję wojownik, wskazując na wydrapaną w skale strzałę. — Teraz łatwo znajdziemy konie. Do zmroku będziemy o milę stąd.

— Bombatto, nie wierzę w to! Widziałeś, jak padał?

— Widziałem — odparł szorstko Bombatta. Nie zwolnił, a żelazna dłoń zaciśnięta na nadgarstku zmuszała Jehnę do dotrzymywania mu kroku. — Uciekał, jak przystało na psa i złodzieja, którym był, a czarni wojownicy dopadli go. Jego i innych. Musiałem zwalić strop, by odciąć im drogę. Ach, konie!

Spętane wierzchowce nadal stały razem. Jehna nie poświęciła im uwagi, jej myśli były zajęte czym innym.

— Może został tylko ranny... — przerwała, widząc dziwne spojrzenie, jakim obrzucił ją Bombatta.

— Możemy udać się wszędzie — rzekł łagodnie wojownik. — Możemy jechać do Aghrapur. Jakiś turański czarnoksiężnik, czy nawet sam cesarz Yildiz za niesione przez ciebie rzeczy daliby nam dość, byśmy resztę życia mogli spędzić w zbytku — posadził dziewczynę w siodle. — Strzeż ich dobrze, Jehno — upomniał i zaczął zdejmować pęta z nóg koni. Przywiązywał wodze każdego uwolnionego konia do siodła poprzedniego i kiedy skoczył na siodło, za nim ustawiły się cztery wierzchowce.

— Co ty robisz? — zapytała Jehna. — Nie możemy ich zabrać.

— Będziemy ich potrzebować. Do Aghrapur daleka droga.

— Jedziemy do Shadizar, nie do Aghrapur. I nie zostawię innych bez koni, póki istnieje choć cień nadziei, że ktoś pozostał przy życiu. Jeżeli chcesz je zabrać, najpierw musisz zaprowadzić mnie do świątyni i pokazać mi ciała!

Bombatta potrząsnął głową.

— To zbyt niebezpieczne.

— Nieważne — upierała się dziewczyna. — Bez tego nie odjadę.

Twarz wojownika wykrzywiła taka wściekłość, że Jehna miała ochotę skulić się ze strachu. Zachowanie wyprostowanej postawy i patrzenie mu w oczy z pozornym opanowaniem wymagało całej jej siły woli.

Bombatta rzucił wodze luzaków i podjechał do dziewczyny.

— On! On, i jeszcze raz on! Możemy jechać wszędzie — każde jego słowo było twarde jak żelazo. — Wszędzie, dziecko — nagle oszpecone bliznami oblicze skrzywiło się z bólu.

Jehna nigdy nie widziała takiego Bombatty. Pęten udręki grymas trwał ledwie chwilę, potem jego twarz znów przybrała normalny wyraz. Tylko oczy stały się jakby mętne i puste. —

Dobrze, jedziemy do Shadizar — rzekł chrapliwie wojownik i wyjąwszy wodze z jej bezwolnej ręki, ruszył między skały.

Jehna przycisnęła do piersi tobolek zawierający wszystko to, po co została wysłana. Nie obejrzała się za siebie. Conan albo przeznaczenie... Jedno kosztem drugiego. Nie wiedziała tylko, czemu czuje tak ogromny ból. Jak bogowie mogli na coś takiego pozwolić? Zgarbiona, nie mogąc już znaleźć sił, by siedzieć prosto, łkała cicho i pozwalała się prowadzić.

XX

Świadomość Conana wolno przedzierała się przez spowijające ją ciemności. Wreszcie Cymmerianin otworzył oczy i wstał podnosząc miecz. Akiro i Zula popatrzyli na niego ze

zdmieniem. Malak rzucił kamień w cienie między kolumnami i otrząsał ręce.

— Przebudziłeś się w porę — powiedział mały złodziej. — Na Łuski Mehena, zaczynałem myśleć, że będziesz spał, póki wszyscy nie pomrzemy.

— Jak długo byłem nieprzytomny? — zapytał Conan. Pomacał obolałą głowę. Była opatrzona, a włosy pod bandażem zlepiła zeschnięta krew.

Malak wzruszył ramionami, ale Akiro powiedział:

— Dwa obroty klepsydry, może trochę dłużej. Trudno powiedzieć. Znaleźliśmy cię, gdyś leżał niczym ogłuszony wół. Zrobiłem, co mogłem, ale po uderzeniu w głowę najlepiej jest, gdy świadomość wraca w sposób naturalny.

— Mam zioła, które pomagają w takich przypadkach — powiedziała Zula — ale nie ma wody, by je przygotować.

Cymmerianin skinął głową i natychmiast pożałował tego gestu, bo komnata zawirowała mu przed oczami. Desperacko zwalczył ogarniające go oszołomienie. Teraz nie mógł pozwolić sobie na słabość.

Drugi koniec mrocznej komnaty zasypany był szczątkami żłobkowanych kolumn przemieszanych z kawałkami sklepienia. To wszystko oświetlały trzy metalowe stojaki, w które ktoś z obecnych wstawił pochodnie. Ogień rzucał na posadzkę bladeżółte plamy światła, które ginęły nieco dalej w cieniach między kolumnami. Jednakże pochodnie nie były jedynym źródłem światła. Z korytarza, którym przybyli, dochodził migocący, lazurowy żar, od którego bolały oczy.

— Co to za niebieskie światło? — zapytał Conan.

— Wybuchające pułapki, które zarazem dają znać o odległości wroga — wyjaśnił mu Akiro. — Zdołałem założyć dziewięć, nim ci wysocy wojownicy otworzyli drzwi. Potem musiałem odpalić pierwszą i mogłem zastawić dalsze. To niebezpieczne, gdy któraś z nich już płonie.

— Jak długo... — zaczął Conan i dostał odpowiedź, nim zdołał dokończyć pytanie.

Lazurowe migotanie zwiększyło tempo. Akiro schylił się i narysował palcem w pyle jakiś symbol. Jego usta poruszały się, formując nieme inkantacje. Błękitne światło rozbłysło i zniknęło. Po chwili znów zapłonęło, a w korytarzu odbił się echem przesywający wrzask. Akiro pochylał głowę, jakby nasłuchiwał, potem westchnął.

— Jeden z wojowników za bardzo się pośpieszył, ale szkoda, że nie był to ich czarnoksiężnik. Skoro Bombatta zabił jednego z nich, mógł równie dobrze trafić tego w czerwonej czapce. On jest ich magiem i bez niego nie zdołaliby nawet otworzyć tych drzwi, nie mówiąc o zbliżeniu się do moich pułapek. Żeby z nim walczyć, potrzeba czegoś więcej niż rak.

— Nie rozumiem, dlaczego Bombatta to zrobił — powiedziała ze złością Zula. — Nie grozili nam, mówili tylko, że... — urwała, patrząc współczująco na Conana, ale on nie zwrócił na nią uwagi.

— Wątpię, czy pozwoliliby nam odejść bez walki — powiedział. — Nie z Jehnną. Zresztą nie pozwolę, by zadźgali mnie jak dziką świnię tylko dlatego, że Bombatta zaczął.

— Właśnie — zgodził się Malak. — Na Paznokcie Nóg Ogona, jeżeli ktoś cię atakuje, ty go zabijasz. Jeżeli później okaże się to pomyłką, zawsze możesz zapalić kadzidło za duszę pechowca.

— Nie zawsze jest to najlepsze rozwiązanie — rzucił sucho Akiro. — Ale ci ludzie są plugawi.

— Nie widziałam w nich nic plugawego — sprzeciwiła się Zula.

— To dlatego że nie jesteś magiem i nie czytałaś tych starożytnych tablic — odparł Akiro.

— Odczuwany przez nas niepokój jest wynikiem obecności tych ludzi i innych, którzy przychodzili tu wieki przed nimi. Składanie ludzkich ofiar jest najmniejszą z ich zbrodni. Robili rzeczy, w porównaniu z którymi te, przy których razem byliśmy obecni, zdają się dziecinną igraszką.

— Nie obchodzi mnie to, nawet gdyby byli kanibalami — powiedział Conan. — Czas mija, a musimy się stąd wydostać. Bombatta i Jehnna z każdą chwilą są bliżej Shadizar, a nie wątpię, że ten zdrajca opowiadając Teremis o tym, co tu się wydarzyło, zręcznie pominie nasz udział. Nie dopuszczę, by pozbawił mnie nagrody.

Akiro spojrział na niego z żalem, a Zula otworzyła usta.

— Ale myślałam... że Jehnna... — bezradnym gestem wskazała na zwał kamieni po drugiej stronie komnaty.

— Bombatta je zrzucił — wyjaśnił Conan. — Ten podlec nie chciał czekać na uczciwą walkę w Shadizar. Ale nie sądzę, by zerwał strop na głowę własną czy Jehnny. Przekopimy sobie drogę i podążymy za nimi. Tylko noc i jeden dzień dzielą nas od wyznaczonego

terminu.

— Zamierzasz przekopać się przez tę górę? — zapytał z niedowierzaniem Malak.

Pozostała dwójka spojrzała na Cymmerianina tak, jakby stracił rozum.

— Widziałem, jak ta komnata wyglądała wcześniej — powiedział Conan, podchodząc do sterty kamieni. — Wiem, ile się zawałiło — złapał wielki jak tułów człowieka fragment kolumny i podniósł go. Mniejsze kamienie osunęły się z łoskotem i zaczęły podskakiwać wokół jego nóg. — Przejście, którym uciekł Bombatta, jest nie dalej niż dziesięć kroków od nas. A my musimy oczyścić drogę tylko na tyle, by się precyzyjnie — odniósł kamień daleko między kolumny i dopiero tam go rzucił. Kiedy wrócił, jego towarzysze stali tak, jak ich zostawił, patrząc na niego w milczeniu.

— Co?! — warknął. — Wolicie tu umrzeć?

Zula bez słowa zabrała się do oczyszczania przejścia. Malak zerknął znacząco na starego czarownika.

— Nie masz zamiaru pomóc, Akiro? Mógłbyś pomachać rękami i sprawić, by ten gruz zniknął.

— Otwarcie okazujesz swoją głupotę! — prychnął Akiro. — Muszę pilnować, by podpalić następną pułapkę, gdy ta zgaśnie. A może wolisz, żeby strażnicy weszli tu, zanim skończycie? Wtedy pierwszym znakiem ich obecności będzie włócznie, na którą nadzieją cię niczym jagnię!

— Rozpal je wszystkie naraz, starcze. Wtedy będziesz mógł nam pomóc.

Siwowłosa czarnoksiężnik roześmiał się szyderczo.

— Czy ja cię uczę kraść, mój mały złodzieju? Zajmij się tym, na czym się znasz.

Conan pracował jak machina, koncentrując się wyłącznie na odzyskaniu wolności i nie pozwalając, by ogrom zadania odebrał mu siły. W czasie gdy Zula i Malak wspólnie odrzucali jeden kamień, on odsuwał dwa. Pot zalewał mu oczy, a wkrótce cała jego skóra połyskiwała w świetle pochodni jak natarta tłuszczem. Kiedy niespodziewana kamienna lawina zasypała dotychczasowy wykop, nie dał sobie ani pozostałym ani chwili odpoczynku. Musiał dotrzeć do Jehnny. Musiał spłacić dług zaciągnięty u Valerii. Jehnna. Valeria. Dwie dziewczyny wirowały w jego myślach, aż w końcu nie wiedział już, na której bardziej mu zależy. Kiedy zgasła kolejna pułapka i Akiro zajął się otwieraniem następnej, Malak przerwał pracę. Masując krzyż, obserwował poczynania maga.

— Naprawdę odczytałeś te napisy na tablicach, Akiro? — zapytał.

— Do roboty! — warknął Conan i Malak, rzuciwszy okiem na ponurą twarz Cymmerianina, posłusznie pochylił się nad kolejnym kamieniem.

Jednakże wyglądało na to, że Akiro ma ochotę na pogawędkę. Mag usadowił się na zwalonej kolumnie i stwierdził:

— Tak, odczytałem je. Przynajmniej wystarczająco dużo. Złoty róg, który... — zmarszczył brwi, spojrzął na Conana, po czym rzekł: — jest Rogiem Dagotha.

— Tak nazwał go ten czarny wojownik — wysapał Malak.

— Nie przerywaj! — skarcił go cierpko czarownik. — Tysiące lat temu między bogami toczyła się wojna, co w owych czasach nie było rzadkością. W wielkiej bitwie Dagoth został pokonany, gdy zdarto mu z głowy Róg, który zawierał to, co można by nazwać życiodajną siłą. Pozbawiony jej Dagoth powoli obrócił się w kamień. Według tablic, śpi, a przebudzi się, kiedy Róg znów zostanie umieszczony na jego głowie.

— Więc to dlatego Taramis pragnie go mieć — wtrącił Conan nie przerywając pracy. — By przebudzić boga. Z pewnością bóg zdoła wrócić życie Valerii.

— Tak — westchnął Akiro. — Przypuszczam, że Dagoth mógłby przywrócić jej życie.

— Zatem Taramis nie kłamała — stwierdził z zadowoleniem Conan i zabrał się do pracy ze zdwojonym wysiłkiem. Gdy inni zwalniali, on odrzucał kamienie w coraz większym tempie. Zula próbując mu dorównać upadła i już nie mogła się podnieść. Conan odciągnął ją do maga, po czym wrócił do pracy. Później, kiedy na ziemię osunął się Malak, odepchnął go jedynie na bok, by nie tarasował mu przejścia.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że minął już koniec komnaty i znajduje się w tunelu, lecz przed nim nadal piętrzyły się pokruszone skały. Widział to, ale przyjęcie tego faktu do wiadomości oznaczało początek końca. Bezlitośnie stłumił w sobie tę wiedzę. Czas stracił dla niego znaczenie. Wysiłek stracił znaczenie. Jak gdyby sam był z odpornego na zmęczenie kamienia, atakował przeszkodę bez chwili przerwy. Sił dostarczały mu dwa wizerunki. Valeria i Jehnna... Wiedział, że nie przestanie, póki będzie tliła się w nim choć iskra życia. Szarpnął mocno wielki głaz zaklinowany pośród innych. Kamień wyskoczył, a wtedy runęła ku niemu cała lawina skał. Zatoczył się w tył, przeklinając siarczyście. Tylko cudem uniknął pogrzebienia w gruzie po piersi. Już zaczął odwracać się, by wynieść wyrwany

kamień, gdy nagle znieruchomiał. Zdał sobie sprawę, że patrzy na jaśniejącą w dali plamę bladego światła. Spojrzał raz jeszcze, by upewnić się, że wyobraźnia nie płata mu okrutnego figla. Jasność nadal przenikała nad stosem skalnych okruchów. Puścił kamień i wrócił do komnaty.

Akiro siedział ze skrzyżowanymi nogami, z grobową miną wpatrując się w lazurowe światło w korytarzu. Zula ledwo uniosła powieki, a Malak, nie ruszając się z miejsca, wycharczał:

— Więc i ciebie pokonało zmęczenie, co, Cymmerianie?

— Przebiłem się — wydyszał Conan. — Widać światło. Może to światło słońca. — Malak wydał dziwny dźwięk, i zadrżał. Dopiero po chwili Conan zrozumiał, że mały złodziej trzęsie się ze śmiechu.

— Udało się! — wysapał Malak. — Na Najciemniejsze Piekło Zandru i Kości Mitry, nawet góry nie mogą nas powstrzymać, Cymmerianie!

— Jesteś pewien, Conanie? — zapytał Akiro z niepokojem.

— Mogą to być pochodnie w następnej komnacie — odparł Conan — ale wówczas musiałyby być ich dziesiątki. Korytarz biegnie w górę — nie chciał tego mówić, ale światło mogło być wynikiem czarów. Nawet sam przed sobą nie chciał przyznać, że jasność w tunelu może nie być naturalnym blaskiem dnia.

— Musimy mieć nadzieję, że to słońce — zdecydował Akiro. — Siódma pułapka nadal trzyma, chociaż niedługo to potrwa. Jeszcze dwie czekają w pogotowiu. Musisz jak najszybciej zabrać stąd Zulę i Malaka. Ja też nie będę się ociągał — ruszył na swój posterunek u wylotu korytarza.

Conan postawił Zulę na nogi i odwrócił się do Malaka, ale złodziej już sam sobie poradził. Czarnoskóra kobieta próbowała iść o własnych siłach, jednakże Conan musiał pomóc jej precyzyjnie się nad kupą kamieni. Spiesznie ruszyli w kierunku światła. Ten blask posiadał przywracającą siły moc, bowiem gdy Akiro ich dopędził, zarówno Zula, jak i Malak szli już bez pomocy.

— Szybciej! Szybciej! — zawołał mag, a w jego głosie było coś, co zmusiło ich do zwiększenia tempa.

Korytarz kończył się prostokątnym otworem, przez który cała czwórka wypadła na dziedziniec świątyni. Przywitało ich słońce wyłaniające się zza szczytów gór.

Conan spojrzął na świątynię z jej ogromnymi kolumnami i obalonymi posągami. Jeśli wysocy wojownicy nie są głupcami, pomyślał, musieli wystawić posterunki. Jednakże gdy przebiegali przez wyłożony rzeźbionymi płytami dziedziniec, w świątyni nie poruszyło się nic prócz skalnych gołębi, wylatujących z gniazd za kolumnami.

Gdy weszli do labiryntu, rzenie spragnionych koni szybko doprowadziło ich we właściwe miejsce. Conan zauważył, że pęta zniknęły, a wodze są powiązane. Wszyscy rzucili się do bukłaków. Cymmerianin, mimo że gardło miał suche jak piach pustyni, najpierw napił swego wierzchowca. Kiedy nadeszła jego kolej, odchylił głowę i pił, póki nie stracił tchu. Nabrał powietrza pozwalając, by woda ściekała mu po twarzy, a potem łączywie pił dalej. Później jeszcze raz napił konia. Wierzchowiec bardziej potrzebował odświeżenia niż on, bowiem droga do Shadizar była daleka, a należało pokonać ją jak najszybciej.

Nagle grunt zadygotał im pod stopami. Conan złapał wodze, ale nim zdążył uspokoić wierzchowca, kolejne drzenie wstrząsnęło ziemią, a od strony świątyni dobiegło głucho dudnienie.

— Co to było, na Dziewięciokroć Złożone Imiona Kreprzy?

Akiro roześmiał się z zadowoleniem.

— Nieco zmieniłem zaklęcie. Kiedy przedarli się przez siódmą pułapkę, dwie ostatnie zwały się w jedno. Ci włóczęgowie już nigdy nie przebudzą się, by zabijać niewinnych w imię Dagotha — uśmiechnął się nagle do Malaka. — Rozumiesz teraz, dlaczego nie mogłem wyzwolić wszystkich naraz?

— Dobrze, że już nie będą sprawiać nam kłopotów — powiedział Conan, dosiadając konia. — Musimy jechać, jeżeli chcemy dotrzeć do Shadizar przed nocą ceremonii. Nie pozwolę, by Bombatta odebrał mi Valerię. Uśmiech zniknął z twarzy Akiro.

— Nie powiedziałem ci tego wcześniej, Conanie, bo byłem pewien, że wszyscy umrzemy, a człowiek w chwili śmierci nie powinien być obarczany sprawami, których nie może zmienić. Próbowałem temu zapobiec, gdy było to możliwe, zanim ona weszła do tego pieca, lecz okazałem się zbyt wolny.

— Bredzisz, Akiro! — warknął Conan. — Mów, o co ci chodzi albo daj mi jechać do Shadizar.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Wszystko było na tablicach. Rytuał Przebudzenia trwa przez trzy noce, a w każdą składana jest w ofierze dziewczyna. W Trzecią Noc ofiarą jest Jedyna, Ta która Nosi Róg, niewinna. Będzie nią Jehnna.

— Może nie — rzekła Zula. — Może Bombatta zabrał ją gdzieś indziej.

— Bombatta nazywał ją Jedyną — westchnął stary czarownik. — On wie, że dziewczyna musi umrzeć.

Conan dotknął amuletu ze smokiem. Przepęłniał go ból i chciał wykrzyknąć go tak głośno, jak nigdy wcześniej. Valeria...

— Jehnna nie umrze — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Ja też lubię tę dziewczynę — powiedział Malak, ignorując wściekłe spojrzenie Zuli — ale, na święte Pośladki Badby, wszyscy jesteśmy zmęczeni i nie zdążymy do Shadizar przed zapadnięciem nocy. Chyba że zajeździmy konie.

— Więc niech konie zginą — odparł ponuro Conan. — Ja pojadę, a gdy nie stanie koni, będę się czołgał. Lecz przysięgam na wszystkich bogów, że nawet jeżeli będę musiał umrzeć, Jehnna przeżyje tę noc! — nie czekając na innych trącił konia piętami i ruszył do wyścigu ze wschodzącym słońcem.

XXI

Taramis patrzyła z balkonu na pałacowy dziedziniec, na którym spoczywał Śpiący Bóg. Baldachim ze złocistego jedwabiu osłaniał posąg przed promieniami słońca. Wokół klęcząco? dziesięciu spoconych kapłanów w rytualnych szatach i złotych koronach. Oni nie opuścili dziedzińca od Pierwszego Namaszczenia. Bez przerwy ofiarowywali swoje modły Dagothowi, z jedyną przerwą w noc przed Drugim Namaszчением.

Taramis przebiegła wzrokiem po innych balkonach wychodzących na dziedziniec.

Wiedziała, że nie zobaczy nikogo, kogo być nie powinno. Przez trzy dni ta część pałacu była zamknięta dla nie wtajemniczonych. Żadnemu niewolnikowi ani słudze nie wolno było się tu nawet zbliżyć, a strażnicy mieli rozkaz uśmiercenia każdego, kto nie posłuchał rozkazu.

Taramis nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia. Obawiała się czego innego.

Niepewnie spojrzała na słońce, potem odwróciła głowę. Żółta kula już minęła zenit, a wieczór miał przynieść konfigurację gwiazd, która nie powtórzy się przez następny tysiąc lat.

Jeżeli Bombatta nie przywiezie Jehnny w ciągu paru godzin, jeżeli dziewczyna nie będzie miała tego, po co została wysłana... Taramis zagryzła usta, nie bacząc na krew i ból.

Nieosiągalne. Tak nie może się stać. Nie mogłaby umrzeć ze świadomością, że nieograniczona władza i nieśmiertelność przypadną za tysiąc lat komuś innemu.

Pełne szacunku kasznięcie sprawiło, że odwróciła się szybko, gotowa obłupić ze skóry każdego, kto śmiał ją niepokoić.

W drzwiach stał Xanteres. Jego twarz była zwodniczo łagodna, jak zawsze, ale w ciemnych oczach błyszczało podniecenie.

— Przybyła — oznajmił dostojnie. — Bombatta ją przywiódł.

Taramis zrezygnowała z godności. Odepchnęła białobrodego kapłana i pobiegła. W szaleńczym tempie pokonała korytarze i schody, aż w końcu wypadła do wielkiego holu z alabastrowymi kolumnami. Tu stał zakurzony, zszargany, zmordowany podróżą Bombatta z hełmem pod pachą. Obok Jehnna przyciskała do piersi brudną zawiniątko z ledwie rozpoznawalnej niegdyś białej wełny. Taramis nawet nie spojrzała na potężnego, odzianego w szarą od pyłu zbroję wojownika. Widziała jedynie dziewczynę.

— Masz? — zapytała szeptem zbliżając się powoli. — Na wszystko co święte, dziecko, masz to?

Jehnna z wahaniem wyciągnęła w jej stronę węzełek, który tak kurczowo tuliła do piersi.

Zachwiała się i Taramis zobaczyła, że dziewczyna jest krańcowo wyczerpana. Jednak czas na odpoczynek jeszcze nie nadszedł. Najpierw inne, ważniejsze sprawy...

Taramis obejrzała się, gorączkowo szukając wzrokiem najwyższego kapłana. Xanteres pojawił się właśnie niosąc misternie rzeźbioną żółtą szkatułę, w której znajdowała się kryształowa podstawka zrobiona przez Taramis z pomocą wszystkich jej czarnoksiężskich umiejętności.

— Połóż to tutaj, dziecko! — rozkazała Taramis. Jehnna wyjęła z zawiniątka żarzące cię czerwono Serce Arymana i włożyła je do szkatuły. Taramis wstrzymała oddech. Brudna biała wełna opadła na posadzkę i Jehnna ujęła w dłonie złoty Róg Dagotha.

Jego również ułożyła na kryształowej podstawce. Taramis zadrżała. Tak bardzo pragnęła go dotknąć! Nie teraz! — upomniała się. W tej chwili przyniesie on śmierć każdemu poza Jehnną, kto ośmieli się ująć go w dłonie. Dopiero później będzie można zrobić to bez

narażania życia...

Taramis niechętnie zamknęła złotą szkatułę.

— Zabierz ją — rozkazała najwyższemu kapłanowi. — Odpowiadasz życiem za jej zawartość.

Xanteres skłonił się i wyszedł, a ona skierowała uwagę na Jehnnę i Bombattę. Dziewczyna znów się zachwiała.

— Gdzie są dziewczki łąziebne?! — zawołała Taramis. — Czy mam kazać wychłostać te głupie dziewczuchy?

Przez salę przemknęły odziane w biel dwie młode kobiety. Rzuciły się na kolana przed swą panią.

— Szlachetna Jehnna jest zmęczona podróżą — rzekła księżniczka. — Macie ją wykapać i wymasować. I trzeba ją odpowiednio ubrać.

Jehnna uśmiechnęła się ciepło do służących, które do niej podbiegły.

— Jak dobrze znów was widzieć — powiedziała. — Wydaje się, że minęły lata, od kiedy ostatni raz zażywałam kąpeli. Ale gdzie Aniya i Lyella?

Twarze kobiet w bieli straciły wyraz.

— Są chore, dziecko — odpowiedziała szybko Taramis. — Zobaczysz je później.

Zabierzcie ją! Nie widzicie, że siania się ze zmęczenia? — patrzyła, jak służebne wyprowadzają Jehnnę z sali. Po chwili uśmiechnęła się do Bombatty. — Zatem wszystko przygotowane... — westchnęła z ulgą.

— Wszystko — powtórzył, ale coś w jego oczach sprawiło, że księżniczka podejrzliwie ściągnęła brwi.

Zastanowiła się gorączkowo, czy aby na pewno zostało zrobione wszystko, co trzeba.

— A co z tym złodziejem? Nie żyje?

— Nie żyje — powiedział Bombatta.

— Zabiłeś go mieczem.

— Nie, ale...

Jej ręka skoczyła ku jego twarzy. Rozległ się głośny trzask.

— Kiedy Róg znajdzie się w rękach Jedynej — zaczęła cytować — złodziej o oczach w kolorze nieba musi umrzeć. Gdy żyw będzie, jego ramię przywiezie niebezpieczeństwo, a śmierć pokieruje jego prawicą... — wzięła głęboki oddech. — Przecież wiesz, co jest napisane w zwojach!

— Cymmerianin leży pogrzebany pod połową góry! — warknął ponuro Bombatta.

— Głupcze! Jeżeli własną ręką nie dotknąłeś trupa... Nie będę ryzykować, Bombatto.

Wszystko jest zbyt bliskie urzeczywistnienia. Potrój straż!

— Z powodu jednego złodzieja, który z pewnością jest martwy? — warknął drwiąco czarny wojownik.

— Zrób to! — rozkazała lodowatym tonem księżniczka. — Żeby nawet mysz się nie przecisnęła w obręb pałacowych murów — nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i odeszła. Róg w końcu znalazł się w jej posiadaniu. Nawet jeśli nie mogła go dotknąć, mogła na niego patrzeć. Musiała go zobaczyć...

Miasto Shadizar zwane było Przeklętym, a oczy jego mieszkańców widziały wszystko, co mogło zdarzyć się pod Słońcem, jednakże tłumy na ulicach ze zdumieniem rozstępowały się przed małą kawalkadą, która wjechała do miasta o zmroku.

Konie były spienione, a jeźdźcy — w tym jedna kobieta — zdawali się nieludzko zmęczeni. Jednakże w ich oczach jarzył się posępny ogień, szczególnie mocno w niebieskich oczach młodego olbrzyma, który jechał na czele. Jego ponure spojrzenia sprawiły, że nawet strażnicy miejscy postanowili odwrócić głowy i gdzie indziej szukać złoczyńców i łapówek.

Conan wiedział, w którym miejscu są najbliższe pałacu Taramis stajnie i nim konie zostały oddane pod opiekę stajennego, on już wypadł na ulicę.

Akiro dopędził go z trudem.

— Zwolnij, młody przyjacielu! Musisz obmyślić plan.

— Nie ma czasu! — warknął Conan. — A może nie patrzyłeś na słońce?

Przed nimi pojawił się pałac Taramis. Wysokie, okute żelazem wrota były zamknięte.

Strzegło ich sześciu strażników z pochylonymi włóczniami. Na murach czuwali inni, do których właśnie dołączyli następni. Po chwili wartownicy znieruchomieli w odległości dwóch kroków jeden od drugiego, otaczając szczelnie cały pałac.

Czarownik pchnął Conana w wylot pobliskiego zaułka.

— Czy teraz widzisz, że potrzebujesz planu?

Malak porwał pomarańczę z wózka ulicznego handlarza. Sprzedawca już otworzył usta,

spojrzał na towarzyszy małego złodzieja i zamknął je z powrotem.

— Teraz widzę, że plan nic nam nie da — odparł powoli Conan. — Muszę próbować ją ratować, bo to przysięgłem, ale boję się, że ani ja, ani nikt inny może nie przeżyć tej próby. Będzie lepiej, jeżeli zostawicie mnie i odejdziecie.

— Ja pójdę z tobą — powiedziała stanowczo Zula. — Winnam ci życie i będę szła za tobą, póki nie spłacę długu.

— Jesteś głupcem — rzekł Akiro z rozpaczą w głosie. — Zamierzasz przypuścić szturm na pałac, tak jakbyś był całą armią?

Szczęka handlarza pomarańczy opadła.

— Co z tobą, czarowniku? — zapytał Malak z pełnymi ustami. — Nie możesz nam pomóc czarami?

— Bez wątpienia — rzekł oschle Akiro — mógłbym cisnąć kulę ognia, która zniszczyłaby bramę tak, jakby była z pergaminu. Lecz aby to zrobić, musiałbym stanąć na otwartej przestrzeni, co zakończyłoby się w ten sposób, że ktoś nabiłby mnie na włócznię. Wtedy wy musielibyście sami walczyć z dwunastoma strażnikami. O ile nie jest ich dwakroć więcej. Przekupień, z rozszerzonymi ze strachu oczami, napał na dyszel wózka i odjechał szybko. — Według mnie nie jest to dobry pomysł. — Malak roześmiał się słabo. — Na Mitrę, któż uwierzyłby, że można mieć kłopot z dostaniem się do pałacu, skoro mój kuzyn zdołał tam wejść i wyjść.

— Myślałem, że twój kuzyn umarł w lochach — mruknął z roztargnieniem Conan. Patrzył to na pałac, to znów na szybko ciemniejące niebo.

Malak potrząsnął głową.

— Dwaj z nich umarli. Jeden uciekł... — urwał, gdy Conan przekręcił głowę i spojrzał na niego bacznie. — To znaczy, umarł. Wszyscy umarli. Nie wiem nic o tunelach ani o czymkolwiek tego rodzaju. Nie pamiętam. Przysięgam!

— Mogę skrócić mu kark — wymruczała Zula.

— Wtedy nie będzie mógł mówić — stwierdził Akiro. — Ale by gadać, nie potrzebuje swego przyrodzenia. Mogę sprawić, że mu uschnie.

Conan jedynie pogładził rękę sztyletu. Mały złodziej przynosił wzrok z jednej pary oczu na drugą, a w końcu westchnął z rezygnacją.

— Dobrze. Pokażę wam.

Conan ruchem ręki kazał mu stanąć na czele i szybko ruszył za nim, gdy Malak skierował się w głąb zaułka.

Mały złodziej obrał krętą drogę, wiodącą cuchnącymi uliczkami. Coraz bardziej oddalał się od pałacu. W końcu, za kamiennym budynkiem, wiele ulic dalej, skoczył w mroczną bramę. Cymmerianin deptał mu po piętach, gdy zbiegli po stromych schodach w zatęchłą ciemność.

— Potrzebujemy światła — rzekł barbarzyńca. — Akiro? Na czubkach palców maga pojawiła się świetlista kula.

Znajdowali się w piwnicy pełnej skrzyń i połamanych beczek. Wszędzie zalegał kurz i pajęczyny. Akiro wypatrywał wśród tych kłopotów pochodnię i przeniósł na nią ogień z palców.

— Stąd wiedzie droga do pałacu? — zapytała z niedowierzaniem Zula.

Malak opadł na kolana i zaczął odliczać kwadratowe kamienne płyty posadzki.

— Tutaj — powiedział, wskazując jedną. — To ta, o ile dobrze pamiętam.

— Lepiej, żeby tak było — rzekła posępnie czarna wojowniczką.

Conan ukląkł przy kamieniu. Po jednej stronie była szczyrba na tyle duża, że zdołał wsunąć w nią palce. Uniósł płytę, wsunął dłonie głębiej i odrzucił ją na bok. Poniżej widniał ciemny otwór. Cymmerianin wziął pochodnię od Akiro i poświecił. Szyb był ocembrowany kamieniami, a wzdłuż jednego boku biegły wgłębienia, stanowiące oparcie dla rąk i nóg.

— Ach! — zawołał Akiro. — Ten, kto zbudował pałac, był mądrym człowiekiem.

Nieważne, jak silna jest forteca, zawsze dobrze jest mieć jedną czy dwie zapasowe drogi ucieczki. Nie wątpię, że są inne.

Conan wsunął nogi do otworu.

— Czy ten tunel doprowadzi nas w obręb pałacowych murów?

— Nie zapomniałeś o dwóch setkach strażników? — zapytał Malak. — Na Czarę Sigyna, Cymmerianinie, ich liczba nie zmniejszy się ani o jednego tylko dlatego, że ty znajdziesz się w środku.

— Masz rację — przyznał Conan. — To tajemne wejście niewiele poprawia nasze szansę.

Wykonałeś swoją robotę, przyjacielu. Nie musisz iść dalej.

Zula splunęła, a Malak skrzywił się.

— Klejnoty Amphratesa — westchnął ciężko — są chyba warte więcej, niż myślałem.

Conan wyszczerzył zęby i ruszył w dół.

XXII

Zmierzch zapadał w Shadizar, gdy Taramis znów spojrzała z balkonu na dziedziniec, na którym leżał Śpiący Bóg. Baldachim zniknął, ale wokół boga wciąż modlił się krąg kapłanów w złotych szatach. Czterech przybocznych strażników i sześciu dodatkowych wojowników, osobiście wybranych przez Bombattę, stało na straży. Nie podobało jej się to. Dotąd byli wierni, ale nigdy nie widzieli nawet części żadnej ceremonii, a nikt z zewnątrz nie powinien być świadkiem tego, co wydarzy się tej nocy. Niestety, głupota Bombatty sprawiła, że taka ochrona stała się konieczna.

Prawda, mało prawdopodobne, by złodziej przeżył. A nawet gdyby, to z pewnością jeden człowiek nie mógł pokrzyżować jej planów. Lecz Zwoje ze Skelos wyraźnie wspominały o takiej możliwości... Nie, mówiły wprost o niebezpieczeństwie grożącym ze strony błękitnookiego złodzieja. A ten głupiec Bombatta miał czelność dąsać się za to, że go zganiła! Gdy noc dobiegnie końca, musi coś z nim zrobić. Księżniczka rzuciła ostatnie spojrzenie na ciemniejące niebo i wróciła do swych komnat. Miała wiele do zrobienia. Z hebanowej skrzyni wykładanej srebrem wyjęła zwitek pergaminu. Nalała wina z kryształowej karafki do kutego ze złota pucharu. Obok, na tacy z laki, stał drugi, jeszcze pusty. Biały proszek z pergaminu szybko rozpuścił się w winie.

Mikstura nie miała nic wspólnego z czarami, ale była pozbawiona smaku i miała odpowiednie inne własności.

Taramis klasnęła w dłonie i kiedy pojawiła się niewolnica w białej tunice, rozkazała:

— Sprowadź szlachetną Jehnnę. — Już niedługo, pomyślała. Niedługo...

Conan, zgarbiony, oświetlając drogę pochodnią, biegł nisko sklepionym tunelem.

Kamienne ściany były szare od pleśni.

— Nie tak szybko! — jęknął Malak. — Na Kości Mitry, czy ci budowniczkowie byli karłami?

— Ty możesz się wyprostować — zadrwiła Zula przynaglając małego złodzieja szturchnięciem kija między żebra.

Malak spiorunował ją wzrokiem, ale rzekł tylko:

— Mam nadzieję, że na drugim końcu zrobili przyzwoite schody.

Conan zaklął, gdy światło pochodni ukazało mu pustą ścianę, a potem zdał sobie sprawę, że sufit jest wyższy. Wyprostował się i zrozumiał, że znajduje się w kolejnym szybie — takim samym jak ten, którym zeszli do podziemi. Zaczął się wspinać bez chwili wahania.

— Plan! — zawołał za nim chrapliwie Akiro. — Nie wiesz, co jest na górze.

Conan nie przerwał wspinaczki. Wchodzenie z pochodnią w rękę wymagało zręczności akrobaty. Trzeba było opierać stopy w zagłębieniach i balansować ryzykownie, wolną ręką szukając w ciemności kolejnego uchwytu. Jeden błąd, a czekałby go krótki lot do dna szybu. Taka wspinaczka siłą rzeczy musiała być wolna i ostrożna, ale Conan nie miał czasu na ostrożność. Wspinał się po ścianie jak po drabinie.

U szczytu szybu namacał żelazny uchwyt do osadzania pochodni. Teraz należało stanąć okrakiem nad otchłanią w bezpośrednim sąsiedztwie płomieni łuczywa. Umieszczony nad głową kamień wyposażony był w pierścień.

Pochodnia osmalila Conanowi plecy, gdy naparł na kamienną płytę. Odrzucił ją potężnym pchnięciem i zajrzał do lochu oświetlonego jedynie przez blask jego pochodni. Ściany były topornie wycięte w kamieniu, a podłogę pokrywała słoma. Jakies drobne stworzenia rozpierzchły się z piskiem, gdy Cymmerianin wyłonił się z szybu. Potężny młodzieniec zatrzymał się tylko na chwilę, aby zabrać pochodnię, po czym ruszył żwawo do okutych żelazem drzwi. Mała płytka po drugiej stronie przysłaniała szczelinę służącą do podglądania więźniów. Ostrożne pchnięcie wykazało, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Cymmerianin powoli otworzył celę, krzywiąc się, gdy zawiasy skrzyknęły przeraźliwie. Korytarz po drugiej stronie był pusty i ciemny.

— Powinieneś być zaczekać! — sapnął Akiro, gramoląc się z szybu. — Nie mogłeś wiedzieć, co jest po drugiej stronie płyty.

— Mogły być tylko lochy — powiedział oschle Conan. — Kuzyn Malaka raczej nie uciekał z wielkiej sali czy sypialnej komnaty Taramis.

Stary czarownik popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Mądrze pomyślane. Nie spodziewałem się tego po tobie. Wyglądasz na człowieka, który zawsze rozwiązuje swoje problemy za pomocą miecza, nie zaś rozumnego myślenia.

Malak, który pozwolił, by Zula pomogła mu wydostać się z szybu, mruknął urażony:

— Skąd wiesz, że mój kuzyn nie uciekł z sypialni Taramis? W mojej rodzinie mężczyźni zawsze cieszyli się wielkim powodzeniem u kobiet.

Zula parsknęła, a Malak znów otworzył usta, lecz Conan zdecydowanym ruchem ręki przeciął rodzącą się sprzeczkę.

— Później — powiedział i ruszył korytarzem.

Wybór kierunku był prosty. Jedna droga wiodła w ciemność, na końcu drugiej pełgało światło. Conan wyciągnął miecz i ruszył w stronę światła. Przystanął dopiero niedaleko miejsca, z którego blask wylewał się na korytarz.

Światło płonęło w komórce dozorca, dobrze rozjaśnionej przez trzy pochodnie osadzone w żelaznych uchwytach. W kącie stała prymitywna prycza. Naprzeciw wejścia zaczynały się wiodące w górę schody. Na środku pomieszczenia, przy stole z nie heblowanych desek siedział wielki, łysy mężczyzna, który na rękach i nogach miał tyle włosów, ile niegdyś zapewne porastało jego głowę. Przeżuwał kawał wołowiny trzymany w grubych palcach, drugą zaś ręką drapał się pod skórzanym kaftanem. Siedział twarzą do korytarza, w którym kryła się czwórka awanturników. Gdyby coś go zaalarmowało, dozorca znalazłby się w połowie schodów, nim Cymmerianin zdołałby dotrzeć do stołu.

Gdy Conan spał się, by mimo wszystko zaryzykować, Zula dotknęła jego ramienia i potrząsnęła przecząco głową. Szybko ściągnęła pas materiału, który przysłaniał jej drobne piersi. Malak oblizał się znacząco, ale ona zignorowała go. Zatknęła zdjęty fragment ubrania za opaskę na biodrach, a następnie z miłym uśmiechem na twarzy weszła do komórki dozorca. Wspierała się na swym nieodłącznym kijku tak jakby była to laska.

Łysy znieruchomiał z mięsem w połowie drogi do ust.

— Skąd się wzięłaś, na Dziewięć Piekieł Zandru? — wyjąkał. — Nie jesteś moim więźniem.

Zula bez słowa szła ku niemu, zmysłowo kołyszając biodrami.

Dozorca rzucił mięso nie trafiając do wyszczerbionej glinianej miski i grzbietem ręki otarł zatłuszczone usta. Wstał i obszedł stół.

— Skoro nie jesteś więźniem, nie powinno cię tu być — wymamrotał niewyraźnie. — A skoro jesteś tam, gdzie nie powinnaś być, musisz zostać poddana przesłuchaniu. A przesłuchanie bywa bolesne. Dlaczego nic nie mówisz? Nie masz języka? Nieważne. Jeżeli chcesz uniknąć gorącego żelaza, dziewczko, musisz traktować mnie jak wcielenie boga.

Wyciągnął ku niej ręce. Twarz Zuli nie zmieniła wyrazu, gdy kij, nagle ujęty oburącz, trafił wielkiego mężczyznę w krocze. Zduszony jęk wyrwał się z gardła dozorca, a oczy nieomal wyskoczyły mu z orbit. Zwinął się we dwoje, a kij Zuli zawirował i trzasnął w bok łysej głowy. Dozorca z urywanym jękiem osunął się na kamienną posadzkę. Zula spokojnie nałożyła opaskę na piersi.

— Sprytne — pochwalił ją Akiro, gdy wszyscy podeszli do czarnoskórej wojowniczkii.

Malak przezornie skrył się za Cymmerianinem.

Conan nie tracił czasu na rozmowy. Z mieczem w ręku pomknął po schodach.

— Posłałaś po mnie, ciotko? — zapytała Jehnna, stając w progu.

Taramis uśmiechnęła się, jak miała nadzieję, serdecznie. Ta dziewczyna ma do spełnienia jeszcze jedno zadanie, pomyślała księżniczka, i musi zostać odpowiednio przygotowana.

Grube czarne jedwabie kryły ponętne kształty Jehnny. Czarne włosy spływały jej na ramiona, a twarz nie nosiła śladu różu. Twarz była obrazem niewinności, czarny jedwab zaś hołdem dla Nocy. Czerń dziewczyny doskonale kontrastowała ze szkarłatnymi jedwabiami Taramis, rozciętymi głęboko, by jej zmysłowa figura jak najkorzystniej objawiła się obudzonemu bogu.

— Tak, dziecko — odparła Taramis. — Dziś twoje urodziny, a wieczorem dopełni się twe przeznaczenie. Chodź, wychyl ze mną puchar wina na jego cześć — napełniła drugi kielich, po czym podała pierwszy dziewczynie. — Jesteś już dość dorosła, by pić wino.

Jehnna z wahaniem ujęła puchar i zerknęła ciekawie na ciemną, rubinową zawartość.

— Często zastanawiałam się, jak smakuje wino — powiedziała.

— Pij do dna. Tak smakuje najlepiej. — Taramis wstrzymała oddech, gdy Jehnna patrzyła niepewnie na kielich, potem odetchnęła z ulgą. Smukła dziewczyna wzniosła naczynie, wychyliła je i roześmiała się, odstawiając prawie pusty puchar.

— Ale rozgrzewa, mam wrażenie, że wszystko wokół mnie wiruje.

— Czujesz się oszołomiona? To się zdarza.

— Czuję... czuję... — Jehnna urwała z chichotem.

Taramis wyjęła złoty puchar z palców Jehnny i spojrzała uważnie w ogromne oczy dziewczyny. Wino nie mogło podzielać tak szybko, nawet na kogoś, kto pił je po raz

pierwszy, ale proszek musiał wyrzucić taki efekt...

— Ukłęknij, dziecko — rozkazała księżniczka.

Jehna z uśmiechem, jakby ciotka kazała zrobić jej rzecz najzwyczajszą pod słońcem, osunęła się na kolana.

Proszek działa równie dobrze jak czar, pomyślała Taramis. Nie będzie zbędnego wahania w decydującym momencie.

— Wstań, dziecko — rozkazała głośno. Gdy Jehna podniosła się, zawołała: —

Xanteresie! Dziewczyna jest już gotowa.

Kapłan o łagodnej twarzy wszedł spieszenie do komnaty. Niósł złotą szkatułę. Chciał sam ją otworzyć, ale Taramis zdecydowanie odsunęła jego dłoń. To było jej zadanie. Kiedy podniosła wieko, ledwo zwróciła uwagę na żarzące się Serce Arymana. Jutro będzie mogła bezpiecznie dotknąć tego kamienia i dokona za jego pomocą wielu potężnych cudów. Dzisiaj jedynie Róg Dagotha miał znaczenie.

— Weź Róg, dziecko — powiedziała Taramis, po czym patrzyła z zazdrością, jak smukłe palce Jehny obejmują złoty przedmiot.

Na dziedzińcu rozbrzmiał dźwięk czterech gongów z brązu. Zapadła noc.

— Chodź, dziecko — rzekła piękna księżniczka i Jehna, niosąc przed sobą Róg Dagotha, ruszyła ku swemu przeznaczeniu.

Conan ostrożnie przemierzał pałacowe korytarze, nie zwracając uwagi na bezcenne vendhiańskie kobierce na marmurowych posadzkach, czy starożytne iranistańskie gobeliny na ścianach obwieszonych złotymi lampami. Jego towarzysze czujnie podążali za nim. Wszędzie kręciły się strażę. Już dwa razy musieli kryć się w bocznych korytarzach, gdzie Conan zgrzytał zębami z niecierpliwości, podczas gdy obok przechodzili uzbrojeni żołnierze. Póki nie było takiej potrzeby, wolał nie wdawać się w żadną potyczkę. Skoro chcieli ocalić życie Jehnie, musieli odnaleźć ją bez przyciągania niczyjej uwagi.

Cymmerianin zatrzymał się na skrzyżowaniu dwóch korytarzy i skrzył skórzanej zbroi ocalił mu życie. Tuż za nim, opierając się o ściany, które zasłaniały ich wcześniej, stali strażnicy w czarnych napierśnikach i hełmach z osłonami na nosy. Na widok Conana ich ręce skoczyły do mieczy. Nie było czasu do namysłu!

Chwyciwszy oburącz rękojeść, obrócił się w lewo i ciął napierśnik jednego strażnika, gdy broń drugiego była jeszcze do połowy skryta w pochwie. Nie przerywając obrotu, jednym płynnym ruchem wyszarpnął stal. Drugi strażnik wyciągnął szablę i popełnił błąd, składając się nie do sztychu, lecz cięcia. Czubek rozpędzonego miecza Conana trafił mężczyznę między żebra. Strażnik odruchowo szarpnął się w tył, a Conan zakończył obrót i zbliżywszy się o krok, rozłupał mieczem czarny hełm. Drugi trup runął na posadzkę w czasie potrzebnym na jedno uderzenie serca.

Malak zagwizdał z podziwu, a Zula z czią spojrzała na zwycięzcę.

— Szybki jesteś — wydyszała. — Nigdy nie widziałam...

— Ci ludzie — przerwał jej Conan — wkrótce zostaną znalezieni.

— Chcesz powiedzieć, że dwunastu strażników dowie się, że tu jesteśmy? — zapytał piskliwie Malak. — Na Kościsty Zad Dahna!

— Wracaj do lochów — rzuciła z pogardą Zula. — Droga jest jeszcze wolna.

Malak skrzywił się, po czym wyciągnął sztylet.

— Zawsze chciałem zostać bohaterem — oznajmił słabo.

Conan warknął, by przestali gadać.

— Nie ma czasu na ostrożności — stwierdził. — Musimy znaleźć Jehnę. Szybko! — ruszył dalej jak polujący lampart.

Pełne podziwu westchnienie wyrwało się z ust zgromadzonych kapłanów, kiedy na dziedziniec weszła mała procesja. Taramis pławiła się w ich zachwycie. Wiedziała, że westchnienie wywołał widok idącej za nią dziewczyny — Jedynej, i niesionego przez nią Rogu Dagotha, ale to ona, Taramis doprowadziła do tego wszystkiego.

Zmysłowa arystokratka odsunęła się na bok odsłaniając Jehnę i jej brzemię, a odziani w złociste szaty kapłani padli na kolana. Xanteres, dzierżący teraz wysoką złotą laskę z lazurowym okiem na czubku, szedł obok dziewczyny. Uznawszy, że hołdy kapłanów po części należą się również jemu, z zadowoleniem pogładził długą białą brodę.

— Śpiący Bóg nigdy nie umrze! — zaintonowała Taramis.

— Tam gdzie jest wiara — nadeszła zawodząca odpowiedź klęczących kapłanów — nie może być śmierci.

Taramis rozpostarła ręce.

Jordan Robert - Conan niszczyciel

— Oto Noc Przebudzenia!!! — krzyknęła. — Oto bowiem nadchodzi Jedyna!

Odpowiedź odbiła się echem od ścian.

— Chwała Jedynej, która służy Śpiącemu Bogu! Odziani w czarne zbroje strażnicy stanęli na baczność.

Zza kolumnady dobiegła piskliwa muzyka fletów, rozpoczynających obrzęd poświęcenia i namaszczenia. Aksamitne sklepienie nieba nad dziedzińcem usiane było gwiazdami ustawionymi w sposób, który miał powtórzyć się dopiero za tysiąc lat. Nadeszła odpowiednia chwila.

Władza! — pomyślała z zachwytem Taramis, gdy echa fletów drżały jeszcze w powietrzu. Do niej należała władza i nieśmiertelność.

Conan zatrzymał się gwałtownie, gdy przed nim w korytarzu pojawił się jakiś człowiek. Miał na sobie czarną zbroję i był równie wysoki i masywny jak Cymmerianin. W dłoni trzymał obnażoną szablę.

— Wiedziałem, że musisz tędy iść, złodzieju — rzekł miękko Bombatta. Jego wyzierająca spod hełmu, poznaczona bliznami twarz była ponura bardziej niż kiedykolwiek. — Kiedy znalazłem ciała, wiedziałem, że przeżyłeś. I wiedziałem, że popędzisz na wielki dziedziniec, by ją ratować. Ale skoro ja nie mogę jej mieć, Jehnna nie będzie należała do żadnego śmiertelnika — jego broń skoczyła w górę, błyskając w świetle lampy. — Ona jest oblubienicą boga, złodzieju!

Conan ruchem ręki dał znać, że pozostali mają się odsunąć. W wąskim korytarzu mogli stanowić jedynie zawadę. Ujął miecz oburącz i ustawił go pionowo przed sobą.

— Straciłeś język? — zapytał Bombatta. — Mówię ci, że właśnie w tej chwili dziewczyna umiera w samym środku dziedzińca. Wściekaj się, złodzieju, bo przegrałeś. Okaż swą rozpacz i wyzwól moją, która znajdzie ukojenie po twojej śmierci.

— Nie czas na gadanie! — warknął Conan. — Czas umierać!

Dwa ostrza skoczyły jednocześnie. Przenikliwy szczęk rozbrzmiał w korytarzu, gdy stał tkąła śmiertelnością koronkę między walczącymi. Wymiana ciosów następowała tak szybko, że migoczące klingi zdawały się tańcem błyskawicy.

Nagle miecz wyleciał z ręki Conana. Triumf zapłonął w oczach Bombatty, ale w chwili gdy ponury wojownik złożył się do zadania ostatniego ciosu, Conan kopniakiem wytrącił mu broń. Dwaj potężni mężczyźni zwarli się w uścisku. Przez chwilę próbowali sięgnąć do sztyletów, potem olbrzymie dłonie Bombatty zacisnęły się na głowie Conana i skrzyżowały ją w bok. Cymmerianin zaś złapał czarny hełm, jedną ręką u podstawy karku, drugą za czoło. Stopy z szurgotem przesunęły się po posadzce, gdy walczący starali się nie stracić równowagi. Prócz szybkich oddechów był to jedyny dźwięk świadczący o zażartej walce. Masywne mięśnie pęczniały, a ścięgna skrzypiały z wysiłku.

Nagle rozległ się chrzęst, niezbyt głośny, a jednak zagłuszył wszystkie inne odgłosy.

Conan zdał sobie sprawę, że dźwiga bezwładny ciężar. Przez chwilę patrzył w czarne, zgaszzone przez śmierć oczy, potem pozwolił Bombattcie upaść.

— Czas ucieka — powiedziała Zula — a my nadal nie wiemy, gdzie jej szukać.

Conan rozmasował kark i podniósł miecz.

— Wiemy. Powiedział nam przecież. Na wielkim dziedzińcu w środku pałacu.

— Powiedział również, że ona umiera — przypomniał mu Malak.

— Zatem nie pora na gadanie. Chodźmy!

— O wielki Dagothcie! — zaintonowała Taramis. — W Noc Przebudzenia my, twoi słudzy, przychodzimy do ciebie.

Flety zapiszczały przeraźliwie, gdy księżniczka złapała Jehnnę pod rękę. Xanteres zajął miejsce z drugiej strony dziewczyny i razem powiedli ją do wielkiego kamiennego boga, którego szlachetne czoło szpeciło ciemne, okrągłe wgłębienie. Jehnna, trzymając Róg w wyciągniętych rękach, szła bezwolnie, ani myśląc o stawieniu oporu.

— O wielki Dagothcie! — śpiewała księżniczka. — W Noc Przebudzenia twoi słudzy wznoszą modły ku tobie! — Szeptem zwróciła się do Jehnny: — Róg, dziecko! Włóż Róg tak, jak ci mówiono.

Jehnna zamruwała i zawahała się, a Taramis wstrzymała oddech. Przestraszyła się, że przemija oszałamiające działanie mikstury. Po chwili jednak dziewczyna osadziła podstawę Rogu w zagłębieniu na czole Dagotha.

Drżenie wstrząsnęło alabastrową postacią. Zniknęła jej marmurowa twardość, kamień przybrał odcień ludzkiej skóry. Powieki drgnęły.

Taramis zachwiała się ogarnięta nagłą falą ulgi. Śpiący Bóg budził się. Trzeba było tylko

szybko zakończyć rytuał.

— O wielki Dagothcie! — zawołała. — Przyjmij naszą ofiarę. Przyjmij trzecie namaszczenie. Namaszczenie Jedynej!

Jehna nawet nie drgnęła, gdy Xanteres wplótł lewą rękę w jej włosy i przechylił ją nad głowę boga. Złocony sztylet błysnął we wzniesionej dłoni.

Conan wpadł na dziedziniec i natychmiast objął wzrokiem rozgrywającą się przed nim scenę. Zobaczył dziesięciu strażników w czarnych zbrojach, klęczących kapłanów w złotych szatach, olbrzymią rogatą postać, Jehnnę z szyją wygiętą w łuk i nóż w ręku białobrodego mężczyzny.

Zareagował błyskawicznie. Przerzucił miecz do lewej dłoni, trzasnął głowicą w hełm najbliższego strażnika, a drugą ręką wydarł mu włócznię. Cisnął ją w chwili, gdy sztylet ruszył do gardła Jehnny. Włócznia zatoczyła półkole nad dziedzińcem i sztylet upadł z brzękiem na marmurowe, płyty. Xanteres, charcząc przeraźliwie, zacisnął ręce na przeszywającym jego piersi grubym czarnym drzewcu. Na dziedzińcu zapanował chaos. Strażnicy skoczyli w stronę Conana, u którego boku stanął Malak. Zula popędziła przez dziedziniec roztrzaskując kijem kapłanów. Dopadła do Jehnny, złapała ją za rękę i odciągnęła od drgającej postaci.

— Jeszcze jest czas! — wrzasnęła Taramis. — To musi zostać zrobione! Musi! — gwałtownie rzuciła się po upuszczony sztylet.

Dagoth usiadł. Był to olbrzymi mężczyzna, zbyt przystojny by należeć do ludzkiego rodzaju, ze złotym rogiem sterczącym na czole. Powietrze na dziedzińcu zlodowaciało. Wszyscy obecni znieruchomieli. Głowa Dagotha obróciła się, a wielkie złote oczy omiotły dziedziniec. Potem nagle głowa odchyliła się w tył i Dagoth zawył. Chwiał się i wył z taką udręką, jakiej nigdy nie słyszało ucho śmiertelnika.

Przerażający dźwięk wyrwał Conana z otępienia. Zdał sobie sprawę, że znów może się poruszać. Uniósł miecz, ale strażnicy rzucili się do ucieczki. Przemknęli obok barbarzyńcy ignorując wzniesione ostrze. Na dziedzińcu znajdowało się coś budzącego o wiele większą grozę.

Ciało Dagotha zafalowało, jakby pod jego skórą zaciągały się grube węzły. Bóg puchł, wykrzywił się, rósł i przemieniał. W mgnieniu oka jego skóra stała się szorstka. Czoło cofnęło się, a szczeka wysunęła do przodu. Zza ściągniętych warg wyłoniły się ostre kły. Ręce i nogi wydłużyły się, z palców wysunęły zakrzywione pazury. Skóra na grzbiecie pękała i ze szczeliny wychyły błoniaste skrzydła. Dagoth — groteskowy potwór, zgarbiony i poskręcany, trzy razy wyższy od dorosłego mężczyzny, wstał wolno. Jedynie wielkie złote oczy pozostały nie zmienione.

Te oczy spoczęły na Taramis, klęczącej ze sztyletem przyciśniętym do piersi. Przerazenie wykrzywiło piękne rysy księżniczki.

— Ty! — słowo to zagrzmiało niczym grzmot. — Własnymi ustami, Taramis, obiecałaś mi siebie!

Nadzieja zajaśniała na twarzy księżniczki.

— Tak! — wydyszała. Zerwała się i podbiegła do boga. — Jestem ci obiecana! — krzyknęła. — A ty nagrodzisz mnie władzą i nieśmiertelnością. Dasz mi...

Szponiaste łapy chwyciły Taramis i przyciągnęły bliżej. Spowiły ją nietoperzowate skrzydła. Spod nich dobył się nagły krzyk najczystszej bólu i niedowierzania. Po chwili skrzydła rozchyliły się i Dagoth odrzucił w bok szatę ze szkarłatnego jedwabiu.

— Tak jest — zadudnił — znać boga i być znanym przez boga!

Zula z przerażeniem spojrzała na strój, będący wszystkim, co pozostało z Taramis. Obok stała Jehna, zupełnie nieświadoma tego, co działo się wokół.

Conan skoczył ku nim i pchnął je w kierunku pałacu.

— Biegnijcie! — krzyknął, a one pobiegły.

— Nie, śmiertelniku! — ryknął Dagoth. — Ona jest Jediną, a Jedyna należy do mnie!

Conan poczuł, jak ziemia zadrżała mu pod stopami, gdy Dagoth uczynił pierwszy krok.

Kobiety nie miały szans skryć się przed tym potworem! Chyba że da się im czas... Conan, po raz pierwszy w życiu pewien, że stawia czoło czemuś, czego nie zdoła pokonać, ruszył, by powstrzymać boga.

Nagle nad jego głową przemknęła kula ognia, która trafiła Dagotha w pierś. Odbiła się niczym kamień od góry, jednakże po chwili uderzyła następna i jeszcze jedna.

— Uciekaj, Cymmerianinie! — wrzasnął Akiro. — Nie mogę tego zrobić w nieskończoność!

Skrzydła Dagotha zeszywniały, potem zderzyły się za jego plecami z trzaskiem pioruna.

Jakaś siła poderwała Akiro w powietrze i cisnęła go do tyłu.

— A ty, śmiertelniku! — zagrział Dagoth do Conana. — Śmiesz sprzeciwiać się bogu? Poznaj strach, jakim za to zapłacisz.

I Conan poczuł, że ogarnia go przerażenie, przerażenie tak potworne i potężne, że miał wrażenie, iż wszystkie kości miękną i rozplývają się pod jego wpływem. Upiorne fale strachu napierały na niego, spychając coś, co zwało się Conanem z Cymmerii w tył, poza ogładę cywilizacji, poza ogień czy mowę, do poziomu pierwotnego stworzenia, które nie znało bogów — stworzenia, które przeżyło mimo braku pazurów i kłów, bowiem było groźniejsze od niedźwiedzia i lamparta. To stworzenie znało tylko jedną odpowiedź na strach. Z rykiem znanym jedynie mieszkańcom jaskiń, Conan zaatakował.

Jego miecz wżarł się głęboko w ciało boga. Dagoth zatrzęsł się ze śmiechu, który przetoczył się nad dziedzińcem niczym sztorm. Z rany, która zagoiła się w chwili zadania, nie popłynęła nawet kropla krwi. Szponiaste ręce schwyciły Cymmerianina i wzniosły go ku kłapiącym kłom, lecz Conan nie zważając na nic rąbał z szaleńczą furją, która miała ustać dopiero w chwili śmierci.

Jednakże mimo tego zapamiętania usłyszał słowa: Róg! Róg! — Jakaś część świadomości Cymmerianina starała się je zrozumieć, podczas gdy większa pałała ślepą żądzą mordy. Akiro! — rozpoznała ta mniejsza część.

— Można go zranić jedynie uderzając w róg! — krzyknął czarownik.

Conan znajdował się właśnie na wysokości złotych oczu. Bojowe szaleństwo, które znało tylko zwycięstwo albo śmierć, przemogło strach. Cymmerianin roześmiał się. Rzucił miecz i zacisnął ręce na rogu. Miał wrażenie, jakby złapał błyskawicę, jednakże nie przestał się śmiać. Masywne ramiona nabrzmiały, gdy zaczął wyłamywać złoty róg z potwornej głowy. Cierpienie zapłonęło w żółtych oczach boga, a zębaty pysk rozwarł się, by rozdrzeć na strzępy człowieka, który go ranił, ale Conan ogarnięty szaleńczą wściekłością wyrwał róg, odwrócił go, wraził ostry koniec we wlepione weń złote oko i pchnął z całej siły.

Wycie, jakie wydał Dagoth wcześniej, było szeptem w porównaniu z wrzaskiem, jaki rozległ się teraz. Conan zawirował w powietrzu i trzasnął o kamienne płyty. Wrzask stawał się coraz wyższy i wyższy. Nagle przestał być słyszalny, ale Cymmerianin miał wrażenie, że rozpalone do białości sztylety wwiercają się w jego uszy. Złapał głowę rękami i zaczął podnosić się z dziedzińca. Musiał walczyć. Musiał zabić. Musiał...

Przez ból przebił się cień rozsądku, gdy uświadomił sobie, że widzi gwiazdy. Poprzez Dagotha... Gigantyczna postać nadal wznosiła się na środku dziedzińca, przyciskając do twarzy szponiaste ręce. Przypominające rubiny krople krwi wypływały spomiędzy palców i skapywały na kamienie, dźwięcząc niczym okruchy kryształu. Na oczach Cymmerianina Dagoth stawał się coraz bardziej przejrzysty. Nagle bóg zniknął, a wraz z nim ból przesywający głowę Conana.

Barbarzyńca niepewnie rozejrzał się po dziedzińcu. Kapłani uciekli, a z czarnych wojowników pozostali jedynie dwaj zabici przez niego i Malaka. Zula siedziała obok Jehnny, kołysząc dziewczynę w ramionach.

— Padła bez zmysłów, kiedy wydarłeś róg — powiedziała czarnoskóra kobieta. — Ale myślę, że to tylko sen. Nic jej nie będzie.

— Hej, Conanie! — zawołał Malak. Mały złodziej opierał się o marmurową kolumnę.

Akiro, który poruszał się tak, jakby od stóp do głów był jednym wielkim siniakiem, zawiązywał mu opaskę na skrwawionym udzie. — Oberwałem włócznią, ale wygraliśmy. Na Kamienie Hanumana, Cymmerianinie, wygraliśmy!

— Może — rzekł ze znużeniem Conan. Chwycił amulet ze smokiem z taką siłą, jakby chciał go zmiażdżyć. — Może...

EPILOG

Z alabastrowego balkonu pałacu, który niegdyś należał do Taramis, Conan obserwował wschód słońca. Po raz drugi przyglądał się wschodzącemu słońcu z tego samego miejsca. Miał dzień i noc na wypoczynek oraz na zastanowienie się nad przyszłością. Podjął decyzję, potem wydał kilka rozkazów.

— Conanie, panie mój — odezwała się służąca za jego plecami. — Księżniczka Jehnna błaga cię o przybycie. — Kobieta zarumieniła się słysząc własne słowa. Zamoranka ze szlacheckiego rodu nigdy nie zniżyła się do błagania. A zwłaszcza księżniczka.

— Nie jestem panem — rzekł Conan, po czym dodał: — Zawieź mnie do księżniczki Jehnny.

Obwieszona gobelinami komnata, do której został wprowadzony, przeznaczona była na

prywatne audyencje. Za tron służyło krzesło z polerowanego hebanu z wysokim oparciem, stojące na wyniesieniu wysokim jedynie na stopień. Jehnna dobrze na nim wygląda, pomyślał, zwłaszcza w szatach z białego jedwabiu. Pozostali również tu byli. Malak ukradkowo obmacywał złotą czarę, Akiro patrzył niecierpliwie na trzymane rękopisy, Zula opierała się na kiju obok tronu Jehnny, jakby była jej przybocznym strażnikiem.

— Conanie — rzekła dźwięcznym głosem Jehnna na jego widok. — Król Tiridates nadał mi tytuł księżniczki Zamory i obdarzył włościąmi Taramis.

— To dobrze — powiedział Cymmerianin, a ona spojrzała nań chmurnie.

Po chwili jej oczy roz pogodziły się i podjęła:

— Poprosiłam was o przybycie, bowiem mam zaszczyt złożyć wam propozycję. Ty pierwszy, Malaku. — Mały złodziej jak oparzony odsunął palce od czary. — Proszę cię, byś zamieszkał w moim pałacu. Tym samym zawsze będę pamiętała, że człowiek może być głupi, ale zarazem odważny i dobry.

— Nawet moja matka nigdy nie nazwałaby mnie dobrym — powiedział wolno Malak.

Jego oczy z powrotem powędrowały ku złotej czarze. — Ale zostanę w twoim pałacu. Przez jakiś czas...

— Zatem lepiej przydziel mu strażnika — rzucił sucho Akiro i wyszczerzył zęby na widok pełnego oburzenia spojrzenia Malaka.

— Ty również, Akiro, musisz ze mną pozostać — powiedziała Jehnna. — Jesteś człowiekiem obdarzonym niezmierną wiedzą, a w dni i lata, które nadejdą, będę potrzebowała mądrego doradcy.

— To niemożliwe — odparł czarnoksiężnik. — Pewni dzicy szamani na kothyjskiej granicy mają się ohydnych praktyk, którym muszę położyć kres.

— Wyślę żołnierzy, by rozprawili się z szamanami — powiedziała na to Jehnna i dodała chyttrze: — Taramis zostawiła kilka komnat pełnych magicznych ksiąg, które mógłbyś studiować tak długo, jak tylko zechcesz.

— Żołnierze... — mruknął Akiro. — Przypuszczam, że żołnierze istotnie mogliby rozprawić się z tymi szamanami. Ile dokładnie jest tych komnat?

— Wiele — roześmiała się Jehnna. — Zula, ty również nie możesz mnie opuścić.

Pokazałaś mi, że kobieta może sama stanowić o swym losie, ale jest jeszcze wiele do nauczenia. Na przykład to, jak posługiwać się takim kijem. Czarnoskóra wojowniczką westchnęła z żalem.

— Nie mogę. Winnam życie Conanowi i muszę podążać za nim, póki...

— Nie! — uciął ostro Conan. — Długów nie należy spłacać w ten sposób.

— Ale...

— Nie, Zula. Zrozumiałem, że pewne długi nie muszą być spłacane tym, którym jesteśmy je winni. Uratuj życie komu innemu.

Zula powoli pokiwiała głową, po czym zwróciła się do księżniczki.

— Zostanę, Jehnno.

— Conanie — zaczęła Jehnna, a gdy Cymmerianin otworzył usta, dodała spiesznie: — Wysłuchaj mnie, Conanie. Zostań ze mną. Zasiądź przy mnie na tronie.

— Nie mogę — odparł łagodnie Conan.

— Ale dlaczego? Na wszystkich bogów, chcę ciebie i potrzebuję.

— Żyję z rozumu i miecza. Czy chcesz, bym stał się salonowym pieskiem? Tylko tym mogę tu być. Nie jestem stworzony do pałaców i jedwabiu.

— Zatem ja udam się z tobą — oznajmiła księżniczka i zeszywniała, gdy Conan wybuchnął śmiechem.

— Turańczycy mają pewne przysłowie, Jehnno. Orzeł nie biega po lesie, a lampart nie fruwa po niebie. Mój tryb życia przyprawiłby cię o chorobę równie szybko, jak twój mnie.

Nie ma dnia, bym nie musiał walczyć o życie lub uciekać. Droga, jaką podążam, jest kręta i wyboista, i ty nie możesz pójść ze mną.

— Ale Conanie...

— Żegnaj, Jehnno, i niech bogowie obdarzą cię szczęściem.

Odwrócił się i wyszedł z sali. Wydawało mu się, że słyszy wołanie dziewczyny, ale nie chciał słuchać. Jak rozkazał, przed pałacem czekał osiodłany koń.

Słońce dochodziło do zenitu, gdy dotarł do prymitywnego kamiennego ołtarza na równinie.

Widząc naniesiony przez wiatr piasek pomyślał, że Malak może mieć kłopot z odnalezieniem miejsca, w którym zostały zagrzebane klejnoty Amphratesa, ale poza tym nic się nie zmieniło.

Zdjął amulet z szyi i położył go na ołtarzu. Z sakiewki wyjął otrzymany od Akiro flakonik.

Niektórych długów nie można spłacić tym, u których się je zaciągało...

— Żegnaj, Valerio — rzekł miękko. Zerwał pieczęć z flakonika i wypił zawartość...

Jordan Robert - Conan niszczyciel

Żar przeniknął ciało i Conan mocno zacisnął powieki. Koń zatańczył, gdy mimowolnie szarpnął za wodze. Kiedy znów otworzył oczy, gorąco zniknęło. Zobaczył w dłoni zmiażdżone resztki flakonika i zastanowił się, skąd one się wzięły. Zaintrygował go błysk złota w słońcu. Zobaczył wisiołek w kształcie smoka, spoczywający na dziwnej stercie kamieni. Pochylił się w siodle, ale znieruchomiał, nim jego palce dotknęły złota. Coś, czego nie rozumiał, powiedziało mu, że nie powinien go zabierać. Czary, zdecydował. Cóż, w Shadizar jest mnóstwo złota, które nie jest zaczarowane, a hoże dziewczki chętnie pomogą mu je wydać, gdy tylko je ukradnie. Roześmiał się, uderzył piętami boki wierzchowca i pogalopował do miasta. Ani przez moment nie miał ochoty obejrzeć się za siebie.